

ANDRZEJ PILIPIUK

Wampir
z M-3

Ilustracje Andrzej Łaski



**BESTSELLER
POLSKIEJ
FANTASTYKI**

Lublin 2011

COPYRIGHT © BY Andrzej Pilipiuk

COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2011

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-458-3

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Magdalena Zawadzka

ILUSTRACJE ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Andrzej Łaski

REDAKCJA Katarzyna Pilipiuk

KOREKTA Magdalena Grela-Tokarczyk, Bogusław Byrski

SKŁAD Dariusz Nowakowski

WYDAWCA Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.



Pilipiuk Andrzej - zawód wyuczony - archeolog, wykonywany - literat.

Z Fabryką Słów opublikował (nie licząc wznowień i reedycji) jak dotąd 22 książki. Pierwszą były *Kroniki Jakuba Wędrowycza*, otwierające megabestsellerowy cykl opowieści o wiejskim egzorcysty i bimbrowniku, i kontynuowany w tomach: *Czarownik Iwanow*, *Weźmiesz czarno kure.... Zagadka Kuby Rozpruwacza*, *Wieszać każdy może* oraz *Homo bimbrownikus*.

Autor trzypiętomowego *Norweskiego dziennika*, trylogii: *Kuzynki*, *Księżniczka*, *Dziedziczki*, powieści *Operacja Dzień Wskrzeszenia* i zbiorów znakomitych opowiadań: *2586 kroków*, *Czerwona gorączka*, *Rzeźnik drzew*. W 2008 r. rozpoczął nowy cykl - *Oko Jelenia*, w którym dotychczas ukazało się 5 tomów. Wydany w 2009 r. *Rzeźnik drzew* został nagrodzony przez Polską Izbę Książki oraz Holmen Paper Polska wyróżnieniem w konkursie „Najpiękniejsza książka wydana na papierze Ecco-book”. Również w 2009 roku Andrzej Pilipiuk otrzymał nagrodę „Bestseller EMPiK-u” za *Homo bimbrownikusa*. W plebiscycie Nautilus 2009 w

kategorii powieść zajął II i III miejsce, a w kategorii opowiadanie -I i II miejsce.
Jest jednym z najbardziej aktywnych współczesnych polskich pisarzy. Słynie z doskonałego kontaktu z fanami swoich książek.



Spis treści

Przebudzenie
Księga
Druga krew
Płaszcz
Wieczny Robol
Kapłan
Czarna Wołga
Lot
Epilog Trzecia krew

Przebudzenie



Liceum zaległo wśród drzew morwy i grzało się w promieniach wiosennego słońca niczym wielki szary kot. Budynek wzniesiono wedle projektu typowego dla „tysiąclatek”. Był brzydki, ale funkcjonalny. Silikatowa cegła już się sypała. Duże okna straszyły brudnymi

szybami.

Było może trzydzieści sekund po dzwonku, gdy Gosia zadyszana wpadła do klasy.

- Małgorzata Brona jak zwykle spóźniona - zrymowała nauczycielka. - Na maturę też się spóźnisz? Siadaj! - westchnęła, robiąc znaczek przy nazwisku.

- Przepraszam - bąknęła dziewczyna. - Tramwaj mi uciekł...

- Po raz piąty w tym tygodniu? - zakpiła kobieta, rzucając okiem w dziennik.

Gosia zajęła swoje miejsce, obok Marty. Założyła nogę na nogę. Położyła na blacie podręcznik, oprawiony w papier z nadrukowanym portretem Limahla. Obok wylądował zeszyt obłożony w okładkę z Limahlem. Wyjęła jeszcze piórnik z nadrukiem przedstawiającym Limahla i dopiero rozejrzała się po klasie.

Dziś przyszli prawie wszyscy. Bronek, drobny brunet w okularach siedzący po drugiej stronie przejścia, spojrzał na nią tęsknie. Pewnie znowu spróbuje zaprosić ją do kina. Sentymentalny dureń, tylko siedzi i książki czyta. I to jakie! Aż się skrzywiła z pogardą na samo wspomnienie tytułów. Same badziewne przedwojenne horrory.

Odwróciła się demonstracyjnie w stronę Konrada. Niestety, największy klasowy przystojniak nie patrzył na nią, tylko schowawszy pod ławką najświeższy numer tygodnika „Veto”, przeliczał sobie na końcu zeszytu kursy walut.

- Nie rozglądaj się tak - szepnęła Marta. - Baba jest dziś wściekła. Podobno znowu przesunęła ją na koniec.

- Na koniec? - nie zrozumiała Gosia.

- No, w kolejce na przydział mieszkania. Powiedz ojcu, niech zadzwoni gdzie trzeba, popchnie sprawę i maturę masz w kieszeni - doradziła przyjaciółka.

W jej głosie zabrzmiała jakby nutka zazdrości.

- Przyniosłaś mi Tolkiena? - koleżanka z ławki wołała zmienić temat.

- Zapomniałam.

Nauczycielka skończyła sprawdzać listę obecności.

- Wyciągamy karteczki - oznajmiła i zaczęła dyktować.

Pytania były jak zwykle trudne, na szczęście Marta jakimś cudem znała odpowiedzi.

Gosia, zapuszczając co chwila żurawia, coś tam naskrobała. W końcu od czego ma się przyjaciółki?



Dzwonek na przerwę wybawił ją od męki... Gosia wyszła z klasy i rozejrzała się za swoim chłopakiem. Nigdzie go nie było widać. Obeszła pół szkoły, nim wreszcie go spostrzegła. Konrad siedział na parapecie i ostentacyjnie liczył swoje cztery banknoty jednodolarowe. Cztery? Nie! Teraz miał ich sześć. Widać wyszedł mu jakiś interes.

- Coś taka skwaszona? - zapytał, gdy podeszła.

- Pokłóciłam się rano z ojcem - westchnęła.

- Myślałam, że uda się pojechać na wakacje do Szwecji, ale uparł się na tę pieprzoną Bułgarię! - wybuchła.

- Niby że arbuzy i ciepłe morze... Wolałabym do Turcji, skórzaną kurtkę bym kupiła...

- Bułgaria? - W oczach chłopaka błysnęło zainteresowanie.

- Można tam zawieźć walizkę kremów Nivea, spylić po dolarze za sztukę i kupić zegarki

elektroniczne albo...

Skrzywiła się w duchu.

- A po co mam się bawić w jakąś handlarę? - wydeła wargi.

Nie odpowiedział. Schował walutę do kieszeni i zastanawiał się nad czymś.

- Widziałeś moją nową bluzkę? - Wyeksponowała dekolt, podstawiając mu piersi niemal przed nos. - Niemiecka, z Peweksu.

Zgodnie z jej oczekiwaniami instynkt przeważył. Konrad, zamiast podziwiać ciuch, zerknął gdzie trzeba.

Nameńczyła się jak diabli nad tym biustonoszem. Dwa tygodnie dziergała go szydełkiem z kordonka, ale była bardzo zadowolona z efektu. Wyszedł tak ażurowy, że więcej w nim było dziur niż koronki. Niestety, widok niemal nagich piersi wzbudził w chłopaku jedynie przelotne zainteresowanie.

- No, niezła - mruknął. - Tylko czemu znowu z tym pedałkowatym typkiem? -
Spostrzegła, że zamiast na jej biust gapi się na portret Limahla. - Rzygać mi się już chce na widok tego blondaska...

Miała na końcu języka ciętą ripostę, ale zadzwonił dzwonek. Chemia... Kolejne lekcje wlokły się jak pociąg osobowy. Polonista wyrwał ją do odpowiedzi z lektury. Nie czytała, więc przylufiła. Na matmie okazało się, że nie zabrała z domu zeszytu. Brak pracy domowej. Ponownie przylufiła...

- Co za dzień popierdolony - żaliła się, zakładając kurtkę.

- Ciesz się, że już piątek - skwitowała Marta. - Odpoczniesz przez weekend... Wiosna jest, trzeba spojrzeć na świat z optymizmem. Wykrzesać z siebie trochę radości życia...

- W sobotę muszę posprzątać, w niedzielę ojciec wlecze mnie na Dni Kultury Czechosłowackiej. Wynudzę się jak mops! I wypożyczalnię wideo ubecja zamknęła. A w poniedziałek oddadzą klasówki z historii. Do bani to wszystko. Jak tu żyć? I jeszcze te wakacje w Bułgarii...

- Ty weź nie narzekaj! Co ja mam powiedzieć? Ojca znowu pominęli przy podwyżkach - westchnęła koleżanka. - Ty sobie popływasz w ciepłym morzu, a ja co najwyżej z wiejskimi dziewczuchami w stawie u dziadków.

- Jak się zwąchał z Solidarnością, to niech teraz cierpi. - Gosia wzruszyła ramionami. -
Do zobaczenia! - rzuciła i pobiegła po schodach na górę.

Po chwili była już przed budą.

- Cześć, Gośka - znajomy głos wyrwał ją z zadumy.

Obejrzała się. Drobną blondyneczką z warkoczem miała na imię Iza. Chodziła do pierwszej klasy, ale mieszkała niedaleko, więc znały się z widzenia.

Ubrana jak bazarowa księżniczka, pomyślała Gosia, czując ukłucie zazdrości. Tatuś milicjant nieźle prywatną inicjatywę skubie. Ten to się ustawił. Pewnie co miesiąc słono mu płacą za święty spokój...

Iza ubrana była w prawdziwe lycry, włoską haftowaną bluzeczkę i zagraniczne pantofelki. Na ramiona narzuciła kurtkę z jeansu, i to prawdziwą amerykańską, szytą żółtą nitką. Pod szyją miała turecki szaliczek, połyskujący jadownicę intensywną barwą odbłaskowej zieleni. No i woniało od niej dobrą turecką podróbką dezodorantu Fa.

- Cześć - mruknęła Gosia. - Co się stało?

- Sprawę mam... Paskudną raczej. Dalej chodzisz z Konradem?

- A co ci do tego? - nastroszyła się.

- Konrad kumpluje się z moim bratem.

- No... I co z tego? - powtórzyła z roztargnieniem.

- Wiesz, jaki jest mój ojciec. Pracoholik, nawet po domu w mundurze chodzi. Całe mieszkanie naćkał mikrofonami. No i wczoraj... Nagrało się coś, o czym powinnaś wiedzieć. - Iza podała jej kasetę. - Skasuj potem... To niby sekret, ale tacie się nie przyda, a do tego po prostu uznałam, że muszę cię ostrzec...

- Khm... Dziękuję - bąknęła Gosia, wrzucając kasetę do torby.

- To na razie. - Iza pobiegła po schodach, żółta kitka włosów podskakiwała na plecach. Gosia powlokła się na przystanek tramwajowy.

Gdybym miała walkmana, tobym sobie od razu posłuchała, rozczulała się nad sobą. Ale nie. Ojcu żal głupich kilkudziesięciu dolarów. Zebrał na swoich wyjazdach i handelkach z pięć tysięcy i tylko kisi gdzieś w słoiku zakopane... I po co mu to? Sam nie korzysta, a innym nie daje. Się w końcu wnerwie, to przekopię rabatki i tyle!

Dojechała na plac Komuny Paryskiej. Wsiadła z tramwaju. Krzaki porastające wały starego carskiego fortu obsypane były żółtymi kwiatkami. Ruszyła wzdłuż nasypów. Pogoda była naprawdę fajna, ale Gosia naburmuszyła się jak gradowa chmura.

- Ech - westchnęła. - Wiosna. I z czego tu się niby cieszyć? Za rok o tej porze matura...

Zagłębiła się w płataninę uliczek Żoliborza Oficerskiego. W ostrym słońcu przedwojenne domki straszły poszarzałymi elewacjami, poczerniała i omszała dachówka prosiła się o wymianę. Kute ogrodzenia oblażyły z farby, odsłaniając bąble i sople rdzy. Kocie łby pokryto nierówno asfaltem.

Wreszcie dziewczyna stanęła przed willą. Namacała w kieszeni jeansów klucze. Furtka zaskrzypiała przeraźliwie...

- Wezmę oleju w strzykawkę i puszcę wreszcie w zawiasy - obiecała sobie licealistka, tak jak co dnia od kilku miesięcy.

Suka Luna usłyszała ją i zaskamlała. Gdy tylko Gosia otwarła drzwi, zwierzę wybiegło radośnie do ogrodu.

Babcia Adelajda siedziała w swoim pokoju przytulona do radia. Na uszach miała toporne ebonitowe radzieckie słuchawki. Na widok wnuczki zsunęła je z uszu.

- Jak było w szkole? - zapytała.

- Zamiast słuchać tej Wolnej Europy, byś się psem czasem zajęła - burknęła dziewczyna.

- A już byłam z Luneczką na spacerku, jakim szła do kościółka - powiedziała babcia. - Poza tym to nie żadna Wolna Europa, tylko Głos Ameryki. Też byś czasem posłuchała, ciekawe rzeczy mówią. I do kościoła powinnaś się wybrać...

Gosia skrzywiła się demonstracyjnie i poszła do swojego pokoju. Na wprost wejścia na meblościance wisiał wielki plakat z podobizną Limahla. Uśmiechał się, jakby na powitanie. Druga podobizna, mniejsza, ale ładniejsza, oprawiona w ramkę stała na komodzie. Trzeci Limahl spoglądał z nad biurka. Dziewczyna cisnęła torbę na łóżko. Zeszyty i książki wysypały się kaskadą.

Obróciła kasetę w dłoniach. Po chwili zastanowienia wsadziła ją do magnetofonu i wcisnęła odtwarzanie. Jakość nagrania była rewelacyjna. Dwa głosy. Jeden niewątpliwie należał do Konrada. Wsłuchiwała się w dialog.

- Z tej twojej Gośki to niezła dupa.

- Że co? To ty chyba porządnej dupy na oczy nie widziałeś.

- Dała ci?

- Co dała?

- No, bzykałeś ją już?

- A po cholere? - zdziwił się Konrad. - Kiepska jest. Ani tyłka, ani cycków, ładna też nie. Chuda taka, wypłoszowata. Głupia do tego jak but. No, może nogi ma niezłe, ale bzyknąć to bym

chciał Mariolkę.

- To po co chodzisz z Goską?

- A ty wiesz, kim jest jej ojciec?

- To ten Brona, co go czasem pokazują w telewizji, ekspert rządowy znaczy się od czegoś?

- No ba. Wiesz, jaka to szycha? Dokckandyduje. Służbową ładę dostał. W willi mieszka, i to niezłej. Dla niego załatwić mi paszport to tyle co splunąć. Jeden telefon i na talerzyku przyniosą. Dlatego gadam tej kretyńce, jak bardzo ją kocham, i czekam, aż mnie przedstawi rodzicom. Przecież przysłemu zięciowi to i owo załatwią. A jak już będę po tamtej stronie żelaznej kurtyny, to zostaję, i niech mnie cmokną w trąbę.

Gosia wdusiła przycisk „stop” z taką siłą, że magnetofon zarzęził.

- Ty gnoju! - ryknęła. - Ty gównu! Ty ścierwo!

Limahl z plakatu patrzył na nią współczująco.

- Mogłabym mu wybaczyć, gdyby łąził za mną tylko po to, żeby mnie przelecieć! - powiedziała z nienawiścią. - Ale tego, że od mojej cnoty wołał paszport, nie daruję mu nigdy! Co za parszywe bydlę! Zaraz mu wygarnę, co o nim myślę!

Zerwała się z fotela i ruszyła w stronę aparatu, ale zatrzymała się w pół kroku. No tak. Rodzina Konrada od dwudziestu lat czekała na instalację telefonu...

- A dość już tego! - warknęła. - Przesrane życie, szykują się tragiczne wakacje, parszywy świat, szkoła do dupy. A ja wam wszystkim o! - Pokazała światu gest

Kozakiewicza. Wściekłość aż ją dusiła. I naraz błysnął jej isticie genialny pomysł. - Ja wam, ścierwa, pokażę!

Z łazienki przyniosła pasek do szlafroka. Postawiła stołek pośrodku pokoju. Zaplątała stryczek jednym końcem do żyrandola. Drugi uformowała w pętlę.

- Tylko ciebie kocham - powiedziała do Limahla. - Tylko ty byś mnie zrozumiał...

Gdybyś oczywiście gadał po naszemu...

Plakat nie odpowiedział, jedynie patrzył z jeszcze większym współczuciem. Założyła pętlę na szyję i zdecydowanym ruchem kopnęła stołek w kąt. Poczowała jeszcze, jak pasek miażdży jej krtań, i zapadła ciemność.



Ocknęła się zupełnie nagle, w jednej chwili przechodząc od snu do pełnej przytomności. Wciągnęła nosem woń kurzu i piwnicznej stęchlizny. Kichnęła jak z armaty.

- Co jest grane? - zdziwiła się.

Leżała na czymś miękkim, choć zarazem niewygodnym. Wokół panował dziwny, zgaszony półmrok. Nad głową miała pikowaną wyściółkę. Zbadała otoczenie rękami. Ściany? Uniosła głowę i wyteżając wzrok, spróbowała cokolwiek dojrzeć. Minęła dłuższa chwila, nim pojęła całą straszliwą prawdę.

- Leżę w trumnie!?! - wyszeptwała.

Z wrażenia próbowała usiąść, ale tylko z rozmachem wyrznęła głową w wieko. Mimo wyściółki zadudniło jak pusta beczka, a dziewczyna przed oczyma zobaczyła wszystkie gwiazdy moskiewskiego Kremla. Dłuższą chwilę masowała obolałe czoło. Rozejrzała się wokół raz jeszcze. W półmroku wyraźnie widziała charakterystyczny kształt pudła, w którym była

zamknięta.

- No, jak w mordę strzelił! - powiedziała na głos.

Zmarszczyła brwi. Przecież trumnę mieli w domu.

Widziała ją nieraz. Ojciec kupił „dębową jesionkę” jeszcze w stanie wojennym.

Brakowało wtedy wszystkiego, nawet wyżsi funkcjonariusze partyjni szynkę jadal tylko co trzeci dzień. Tata pojechał akurat z delegacją KCna wizytację fabryki mebli w Henrykowie. Oczywiście towarzysze wyższej rangi zgodnie z regułą dziobania mieli pierwszeństwo. W mig wyczyścili wzorcownicę z ciekawszych kredensików i stolików. Ale trumną akurat nikt z nich nie był zainteresowany. Trafiła się okazja, to nie namyślał się długo. Kupił za bezcen, przywiózł do domu na dachu malucha i przewidując rychły zgon babci, ustawił w piwnicy willi. Tylko że babcia jakoś nie wybierała się na tamten świat. Mebelek od paru lat stał w kącie, porastając kurzem.

- Czyli to głupi dowcip kochanego braciszka i jego porypanych kumpli... - domyśliła się Gosia. - Tylko czemu cokolwiek widzę? Powinno być ciemno.

Zamrugła powiekami. W półmroku majaczyły jej nawet noski tenisówek, które miała na stopach.

- Pewnie tkanina nasączona fosforem albo coś wydedukowała.

- Tylko że to diabelnie trujące!

Pchnęła wieko. Nie ustąpiło. Kopnęła kolaniem. Wreszcie załomotała pięścią.

Odpowiedziało tylko głuche echo.

- Radek, ty palancie - warknęła. - Poczekaj, tylko stąd wylezę, a dostaniesz takiego kopa...

Uderzyła raz jeszcze. Gucio. Podkuliła nogi i kopnęła w deskę na końcu. Nic z tego. Braciszek pewnie siedzi sobie obok i zaśmiewa się do łez z tym swoim kumplem Mariuszem. Może nawet kamerę wideo przynieśli.

- To wcale nie jest śmieszne, ty głąbie! - wrzasnęła.

- Otwieraj w tej chwili!

Odpowiedziało jej milczenie. A gdyby tak przewrócić trumnę na bok? Może wtedy góra odpadnie? Napała na ściankę i poczuła wyraźnie, że konstrukcja drgnęła. Powoli udało jej się rozhuścić. Jeszcze trochę... Jeszcze...

Trumna upadła na bok, przekreśliła się, dachowała, a potem spadła jakby ze stopnia. Trzasnęła pękająca płyta paździerzowa. Wieko nareszcie odpadło.

Gosia wygrzebała się z wnętrza zła jak osa. Wyprostowała i boleśnie uderzyła o coś głową.

- Co jest grane!?

Rozejrzała się i z wrażenia opadła jej szczeka. Do tej pory sądziła, że znajduje się w piwnicy pod własnym domem. Teraz ze zdumieniem patrzyła na wnętrze niewielkiej, półkuliście sklepionej krypty. Pod ścianami na ceglanych podestach stały cztery trumny. To znaczy stały trzy, bo jej własna przecież spadła.

Dziewczyna machinalnie wepchnęła zdezelowaną skrzynię na miejsce. Wrzuciła do środka poduszkę i przywaliła wszystko wiekiem.

To chyba nie jest dowcip braciszka, pomyślała.

Usiadła na wilgotnym kamieniu i ścisnęła skronie. Zaraz... Jak to było? Ta mała blondynka, nagranie, ten palant Konrad... Na samo wspomnienie załała ją fala wściekłości. Przypomniała sobie, jak wiąże pętlę do lampy, stołek bujający się pod stopami, słodkie spojrzenie Limahla, ciemność...

- Powiesiłam się! - powiedziała na głos. - Ale żyję! Czyli widocznie jakiś niedouczony

konował stwierdził zgon i ot tak wpakowali mnie do grobu!

Chciała ponownie zerwać się na równe nogi, ale w porę sobie przypomniała, że sufit jest nisko. Rozejrzała się po wnętrzu krypty. Drewniane trumny były prze-próchniałe i przeżarte przez korniki. Aplikacje z miedzianej blachy pozieleniały. W skrzyniach z pewnością spoczywały szkielety pradziadka i innych krewnych.

- Błę! - wzdrygnęła się. - Umarlaki.

Ciarki chodziły jej po plecach, ale z drugiej strony sądziła, że przestraszy się bardziej. W ogóle krypta trochę ją rozczarowała. Wyglądała mało efektownie. Żadnych przegniłych kości, pokrytych pleśnią czaszek, pajęczyn, szczurów, nietoperzy... Nawet mech nie porastał ścian. Schodki... Weszła po kilku stopniach i zatrzymała się przed żeliwną płytą. Pchnęła ją bez przekonania. Wmurowana? Drzwiczki może? Walnęła raz jeszcze. Płyta słabo drgnęła. Po kilku solidnych uderzeniach przeszkoda uchyliła się z piskiem zardzewiałych zawiasów, wpuszczając do wnętrza krypty światło i powietrze.

- No, nareszcie wolna - westchnęła Gosia, wychodząc na zewnątrz.

Odetchnęła głęboko kilka razy i rozejrzała się. Alejka, stare grobowce, kasztany gubiące liście. Powązki. Zatem... Odwróciła się. Nad dziurą wiodącą do podziemi wyraźnie widniał wykuty w piaskowcu napis. „Grób Rodziny Brona”. Czyli słusznie się domyślała. Pochowali ją w grobowcu pradziadka.



Ależ idiotyczna przygoda, pomyślała wesoło. Kumpel nie uwierzą, jak opowiem.

Zatrzasnęła drzwiczki. Siadła na ławeczce, by trochę się pozbiierać do kupy. Miała wrażenie, że jest kompletnie rozkojarzona, ale ostatecznie nie co dzień ucieka się z trumny. Kasztan pacnął o alejkę tuż obok jej stóp. Kolczasta łupina pękła, odsłaniając błyszczącą brązoworudą kulkę.

- Do diaska - wymamrotała pod nosem licealistka.

- Co jest, do cholery, grane!? Skąd tu kasztan?

Rozejrzała się wokoło. Teraz dopiero spostrzegła leżące wszędzie liście.

- Jesień!? Gdzieś mi się parę miesięcy zgubiło... Jak to możliwe? - zastanawiała się. - Chyba że... Oż, do cholery... Widocznie gdy się powiesiłam, pętla coś uszkodziła. Rdzeń kręgowy? A może ustał dopływ krwi do mózgu? Pewnie byłam potem nieprzytomna przez całe lato i w końcu zapakowali mnie do trumny i pogrzebali. Tak. To jedyne sensowne wyjaśnienie. Nie ma co się zasiadywać. Trzeba prędko wracać do domu i odkręcić całą sprawę.

Ruszyła przez cmentarz. Po drodze zaczęła zbierać sobie bukiet z pięknych złocistych liści, ale po chwili go wyrzuciła. Brama była zamknięta, więc skierowała się w stronę kościoła Świętego Karola Boromeusza. Tak jak przypuszczała, tamtędy dało się przejść. Dotarła na przystanek tramwajowy. Dwie staruszki siedzące na ławeczce na jej widok wstały, przeżegnały się i chyłkiem umknęły.

- Demonstracyjne zachowania religijne w miejscu publicznym. Co za zabobon - parsknęła.

Od strony Żoliborza powiał wiatr, ale mimo że ubrana była w letnią sukienkę, nie poczuła chłodu.

Ciepła jesień tego roku, pomyślała leniwie.

Wreszcie nadjechała jedyńka. Dziewczyna wskoczyła do drugiego wagonu. Nie miała biletu, ale specjalnie jej to nie obeszło. Była tak wkurzona, że gdyby jakiś kanar ją wyhaczył, to chyba podrapałaby mu głowę do krwi.

Koło Dworca Gdańskiego wdrapała się na estakadę wiaduktu i przesiadła w szóstkę. Nie minął kwadrans, gdy była na miejscu. Zapukała do drzwi, a po chwili zniecierpliwiona nacisnęła dzwonek.

Luna zaszczekała we wnętrzu domu. Gosia uśmiechnęła się. Radek otworzył drzwi. Przez sekundę patrzył w zdumieniu na siostrę.

- Co się gapisz, jakbyś ducha zobaczył! - warknęła.

- Wampir! - ryknął, uciekając w głąb mieszkania.

- Palant! - rzuciła za nim, pakując się do przedpokoju.

Pies na jej widok zaskamlał żałośnie i z podwiniętym ogonem czmychnął do kuchni.

Ojciec stanął w drzwiach salonu. Na widok córki jego twarz w jednej chwili pokryła się trupią białością.

- Jezus Maria! - wrzasnął komunista-ateista.

- Krzyż! Dawajcie krzyż!

- Skąd ci wezmę krzyż w partyjnym domu? - lamentowała matka, wybiegając z kuchni z tłuczkiem do mięsa w ręku.

- A ten srebrny?

- Sprzedaliśmy!

- Może babcia ma? - Z nadzieją spojrział w lewo. W szparze między skrzydłem a framugą błyszczało ciekawskie oko.

- Mam, ale nie dam - zarechotała starowinka. - Smażcie się w piekle, czerwone antychrysty.

Dziewczyna skrzywiła się demonstracyjnie.

- Może starczy już tych głupot! - warknęła. - Mamy dwudziesty wiek!

- Czosnek! - Ojciec nadrabiał miną. - Dawaj, stara, czosnek.

- Skąd wezmę? - pisnęła znowu matka. - Kryzys jest! Nawet sól czosnkowa się skończyła! I nie mów do mnie stara!

- Czy wyście pogłupieli? - parsknęła Gosia rozżalona. - Przestańcie się miotać. Pochowali mnie omyłkowo, to się zdarza! Widać jakiś konował się pomylił i wystawił akt zgonu. Ocknęłam

się w trumnie i wyszłam...

- Pochowali cię sześć miesięcy temu! - warknął Radek, stając w drzwiach salonu, uzbrojony w dębowy stołek. - Wracaj do grobu, upiorze!

- Jak mnie nazwałeś, palancie? Odszczekaj!

Próbowała go trzepnąć, ale zasłaniał się meblem, a gdy podeszła bliżej, dźgnął ją boleśnie nogami taboretu.

- Mówiłam, księdza wezwać i mszę zamówić - dogadywała babcia ze swojego pokoju.

- Ale nie, uparliście się na świecki pogrzeb, to teraz macie! - zarechotała złośliwie.

- Nie czas teraz na reakcyjne dyrdymały! - wrzasnął pan domu.

- Trzeba się jej pozbyć!

- Przyznaj się - chichotała staruszka. - Boisz się, że córcia wampirzyca popsuje ci karierę?

To ci dopiero będzie skandal! Jak się towarzysz Pierwszy dowie, to cię z PZPR wywalą w pięć minut.

- Pozbyć się mnie!?! - Gosia ryknęła, aż zabrzęczały wisioriki żyrandola.

- Odwaliło wam?

- Lecę po dubeltówkę! - krzyknął brat i pocwałował po schodach na górę.

Gosia pchnęła drzwi swojego pokoju.

- Ożeż wy! - ryknęła. - Co to ma znaczyć!?

Jej kolekcja plakatów z tygodnika „Razem” znikła bez śladu. Szafka z ciuchami była pusta. Tylko piękne kolorowe zdjęcie Limahla, to, które oprawiła w ramkę po zdjęciu ślubnym pradiadków, leżało porzucone na parapecie.

- Coście zrobili z moimi ciuchami!?! - złapała portret idola i wróciła do przedpokoju wściekła jak osa. Ojciec na jej widok wycofał się rakiem w stronę salonu.

- Wyrzuciliśmy - bąknął.

Otwarła z rozmachem szafę.

- Ha!

Jej śliczna jeansowa kurteczka na szczęście ciągle wisiała na wieszaku.

- Znalazłam czosnek! - Matka wybiegła z kuchni, trzymając w ręce torebkę. - Ten, co z Czechosłowacji przywiozłeś. Granulowany chyba może być? A kysz! -Sypnęła na oślep.

- Jau!

Drobinki, które do niej doleciały, zapiekły jak smagnięcie pokrzywą. W tym momencie u szczytu schodów pojawił się Radek wymachujący dubeltówką.

- Giń, potworze! - wrzasnął i wypalił.

Uchyliła się w ostatniej chwili. Ciężka breneka na dzika rozbiła lustro.

- Moje kryształowe zwierciadło! - ryknęła matka. -Osiemdziesiąt tysięcy w Desie kosztowało! Uważaj, jak strzelasz, idioto!

- Zaraz ją kropnę! - Braciszek najwyraźniej szykował się, by wygarnąć z drugiej lufy.

- Daj, ja lepiej strzelam! - spod kanapy w salonie dobiegł głos ojca.

Gosia, widząc palec braciszka na spuście, zrozumiała, że to nie przelewki. Szarpnięciem zerwała kurtkę i rzuciła się w drzwi. Ściskając w objęciach portret Limahla, wyskoczyła z domu. Huknął drugi strzał. Kuleczki śrutu rykoszetowały od płytki chodnika, kilka smagnęło ją boleśnie po nogach. Skoczyła w stronę furtki.

- Gdzie jest amunicja!?! - usłyszała krzyk ojca. - Dawajcie tę na jelenie!

Zadyszana wypadła na ulicę. Przy chodniku naprzeciwko jej willi stał nieco zdezelowany mały fiat. Drzwiczki od strony pasażera były gościnnie otwarte.

- Wskakuj - rozległo się ze środka.

Usłyszała świst koło ucha i po ułamku sekundy huk kolejnego wystrzału. Wskoczyła do

auta, zatraskując drzwi. Fiacik ruszył z piskiem opon. Kierowca prowadził jak wariat. Mknął wąskimi brukowanymi uliczkami, aż resory malucha podejrzanie rzęziły. Z daleka dobiegł jeszcze jeden wystrzał.

- Marek jestem - odezwał się niespodziewany wybawca.

- Gośka - przedstawiła się odruchowo. - Czemu pan... W każdym razie dziękuję za ratunek.

- Drobiazg. Przepraszam za mały poślizg, liczyłem, że zdołam przechwycić cię, zanim dotrzesz do domu, ale echo telepatyczne nie zawsze daje się precyzyjnie namierzyć.

- Przechwycić? Echo? Tele... Co!? Kim pan, do cholery, jest!?

- Wytrzeszczyła oczy. - To bardzo częste u świeżo przebudzonych, że skołowani idą tam, gdzie dawniej mieszkali. No i jest z tego powodu masa kłopotów.

Z wprawą prowadził auto przez labirynt uliczek wytyczonych na zachód od Cytadeli.

Kierowali się na południe, w stronę dworca Warszawa Gdańska.

- Zaraz. - Potrząsnęła głową. - Jeszcze raz od początku. Proszę mi wytłumaczyć...

- A co tu dużo tłumaczyć - zirytował się. - Popełniłaś samobójstwo. Sądząc po tej uroczej bruździe wisielczej, powiesiłaś się. Dziś obudziłaś się w trumnie, wyszłaś z grobu, otumaniona wsiadłaś do tramwaju i pojechałaś do domu.

- Skąd pan wie...

- Jak już mówiłem, telepatia. - Postukał się palcami po skroni. - Młodego wampira bardzo łatwo wyczuć.

- Wampira!?

- Jesteś wampirem. Wampirzycą.

- No bez jaj!

Zaparkował samochód na parkingu koło basenu przy Inflanckiej. Za płotem wznosił się bury pagórek namiotu pneumatycznego, kryjącego kąpielisko. Wokół było zupełnie pusto.

- Uspokój się - powiedział mężczyzna łagodnie. - To się po prostu zdarza.

- Nie jestem żadnym wampirem. Co za kosmiczna bzdura! Przedwcześnie mnie pochowali... - bąknęła.

- Nie powiedziałbym.

- Co?

- Nieboszczyków się grzebie. To normalne.

- Ale ja żyję.

- Wydaje ci się. My, wampiry, jesteśmy martwe.

Wytrzeszczyła oczy. Facet nie sprawiał wrażenia świra. Ba, wyglądał zupełnie zwyczajnie. Miał, na oko sądząc, jakieś dwadzieścia kilka lat. Ciemnowłosa, trochę opalony, gładko ogolony... Nawet dość przystojny. W swetrze. Dłonie oparte na kierownicy były splekane, widać było, że pracuje fizycznie...

- Czy może pan powtórzyć? - wybąkała.

- Jeszcze raz od początku? - Nawet jeśli się zirytował, nie było tego po nim widać. -

Dobrze. Jesteś wampirem. Wampirzycą. Jak ja. To znaczy ja nie jestem wampirzycą, tylko wampirem płci męskiej. Starsze wampiry pomagają trochę nowym. Taka solidarność gatunkowa. Dlatego przybyłem wybawić cię z opresji. Proste?

- Chyba cię... Znaczy pana porąbało!

- I oczywiście nie żyjesz. Oboje nie żyjemy. Jesteśmy bytami bionekrotycznymi.

- Co to znaczy, że nie żyję? - wściekła się. - Co za pierdoły pan wygaduje!?

- Oż, w mordę - westchnął ciężko. - Popatrz tylko na siebie. Błada jesteś jak ściana, bo serce nie bije i nie ma krążenia. Twoja skóra jest zimna, no tak dokładniej, to ma temperaturę ciut

wyższą niż otoczenie. Jakieś przemiany chemiczne wewnątrz generują trochę ciepła. Dzięki temu nie zamrzamy zimą, choć palce potrafią na mrozie nieźle zesztywnieć.

Gosia spojrzała za okno auta. Wokół było jasne, ciepłe jesienne popołudnie. Na basen ciągnęły grupki ludzi. Jakiś psiak podlewał beztrząsowo drzewko. W oddali zabrzączał ruszający z przystanku tramwaj.

- Nie jestem wcale zimna - odparowała i przyłożyła dłoń do czoła. - Ciepłutkie...

Było lodowate, ale nadrabiała miną.

- Nie czujesz tego, bo... No, nie wiem czemu. Może dlatego, że i palce masz zimne.

Przeprogramowało się odczuwanie różnic temperatury albo co? Może żebyś nie marzła, śpiąc w trumnie. Przystosowanie takie. Zresztą sama możesz to sprawdzić. - Otworzył znoszoną skórzaną teczkę i przez chwilę grzebał wewnątrz jedną ręką.

Wreszcie podał jej radziecki termometr laboratoryjny.

- Co niby mam z tym zrobić? - Zważyła cienką szklaną rurkę w dłoniach.

- Nie wiesz, jak się mierzy temperaturę? Pod pachę sobie wsadź. Albo do buzi czy gdzie tam chcesz.

- Ale to jakiś inny...

- Bo lekarski ma skalę od trzydziestu pięciu do czterdziestu dwu stopni Celsjusza. Gucio na nim zobaczysz.

Wetknęła bez przekonania. Słupek rtęci powoli zaczął się wspinać, ale na siedemnastu stopniach zatrzymał się zdecydowanie.

- Może to zepsute - bąknęła. - Albo dlatego, że ruskie, inną skalę stopni mają. Fahrenheita czy coś...

Westchnął ciężko i z politowaniem.

- Proszę. - Podał jej dla odmiany stetoskop.

- Po co mi to?

- Posłuchaj, czy serce ci bije.

Wsunęła słuchawkę przez dekolt i przyłożyła do piersi. Nie usłyszała nic. Wciągnęła powietrze, w płucach zaświszczało, ale bicie serca nie zdołała wychwycić.

- Oddychać też nie musisz - poinstruował ją. - Oczywiście jeżeli chcesz mówić, to trzeba nabierać powietrza, ale poza tym nie ma konieczności. I co? Biję serduszko?

- Eeee... A może to zepsuty stetoskop? - zasugerowała.

- Sprawdź jeszcze to. - Wręczył jej zwierciadełko.

- Co to?

- Zapewne stwierdzisz, że zepsute lustro. - Twarz wykrzywił mu ironiczny grymas.

- Chuchnąć mam na nie, żeby parę oddechu zobaczyć?

- Przejrzyj się!

Spojrzała w szklaną taflę. Zobaczyła wnętrze auta, ale nic poza tym. Przesuwała w prawo i w lewo, jednak odbicie jakoś się nie pojawiło. Ba, nie było też odbicia jej rozmówcy.

- To kompletnie niemożliwe - szepnęła. - Przecież pana widzę. Widzę siebie. To znaczy, że istnieję realnie. Nawet gdybym z jakiegoś powodu zmieniła kolor na taki jak barwa ultrafioletu, to nie mogłabym w lustrze zobaczyć tego, co jest za mną, bo przecież bym to zasłaniała... No i inni kierowcy.

- Co: inni kierowcy?

- Nie widzą pana w lusterku wstecznym!

Westchnął tylko w odpowiedzi.

- Nadal nie przedstawił pan żadnych dowodów na to, że jesteśmy wampirami! - rzuciła ostro.

- A to? Umiesz wyjaśnić? Wrrr. - Wyszczrzył imponujące kły. - Widziałaś kiedyś coś takiego?

- A czy ja jestem stomatologiem? - zapytała uprzejmie. - Atawistyczny przerost uzębienia albo paradontoza. Skąd mogę wiedzieć, od czego się takie robią?

- Wsadź palec do buzi i pomacaj. Albo sprawdź językiem.

- Pocałunków z języczkiem ci się zachciewa, zboczeńcu! - Poczerwieniała z oburzenia, ale jednocześnie szybko zlustrowała go wzrokiem.

Niczego sobie facet, pomyślała. Przystojny, tylko trochę bladej. Nie taki ładny jak Limahl, ale auto ma. Może i warto się zakręcić...

- Swoje pomacaj, idiotko! - westchnął.

Bez przekonania zaczęła sprawdzać swoje uzębienie. Faktycznie, coś było nie tak. Kły wyraźnie jej się powiększyły. Chciała obejrzeć je dokładniej w lusterku, ale...

- Do diaska!

- I co? - Wyszczrzył w triumfalnym uśmiechu swoje zębiska.

- To jakiś absurd! - parsknęła.

- Rozumiem, że jesteś w szoku, ale im szybciej zaakceptujesz ten fakt, tym lepiej dla ciebie.

- I co? Powie pan teraz, że mam się wystrzegać przedmiotów ze srebra?...

- Oczywiście. Parzą skórę do żywego, to jest, chciałem powiedzieć, martwego mięsa.

- Czosnku...

- Tu mamy szczęście, przez ten cholerny kryzys czosnek prawie nie występuje w handlu. Ale bazar na Polnej omijaj łukiem. Tam mają zawsze.

- Krucyfiksów... - przypomniała sobie jakieś filmidło oglądane na wideo.

- Oraz wody święconej i relikwii - uzupełnił.

- Jestem ateistką! Mam światopogląd materialistyczny! Religia to zabobon!

Znowu westchnął tylko ciężko w odpowiedzi. Gosia ponownie spojrzała przez okno. Po niebie sunęły nieliczne białe obłoczki. Babie lato. Wspaniałe sobotnie popołudnie. A ten tu siedzi i opowiada niestworzone brednie!

- A co ze światłem słonecznym? - warknęła. - Powinno spalić mnie na popiół, gdy tylko wyszłam z grobu!

- To niezupełnie tak. U młodych wampirów, czyli przez pierwsze pięćdziesiąt lat po przemianie, światło w niczym nie szkodzi. Przez kolejne pięć lub siedem dekad niewskazana jest dłuższa ekspozycja na promienie słońca. Przez kolejne stulecie trzeba uważać, bo może oparzyć. Dopiero gdy wampir ma ponad trzysta lat, zaczyna się palić pod wpływem ultrafioletu. Wtedy musi się przestawić na nocny tryb życia.

- Trzysta lat? - wykrztusiła.

- Tak.

- Zaraz, bo nie łapię. Nie widać mnie w lustrze. Ok. Ale dlaczego nie widać ubrania?

- Pojęcia zielonego nie mam. Nie widać i już. Może magia, może jakieś promieniowanie.

Cienia też nie rzucamy.

- To jak niby mam się przejrzeć?

- Nijak.

- To dlatego jest pan taki potargany? - domyśliła się. - Ma pan strasznie słodki oddech. -

Pociągnęła nosem. - To u nas, wampirów, normalne?

- Nie, po prostu przez kilkanaście lat pracowałem jako ślusarz w zakładach Wedla. Nadal mam w płucach złogi karmelowego pyłu, nijak tego draństwa wykasłać.

- Szlifował pan czekoladę!?

- Naprawiałem maszyny na liniach produkcyjnych. Park maszynowy fabryki jest jeszcze carski, z czasów Emila Wedla... Doktor Jan Wedel przed wojną wymienił może jedną trzecią urządzeń. Resursy przebiegu... Wszystko się sypie na potęgę i trzeba co chwila dorabiać sworznie, łożyska, tłoki... Już tam nie pracuję, organizm się czyści, mam nadzieję, że za dwa albo trzy lata przestanie mi się odbijać cukierkami. Ten karmel to jeszcze nic, mój przyjaciel Igor pracował kiedyś przy szlifowaniu szkła laboratoryjnego w Pruszkowie. Wracał z roboty tak oproszony szkłem, że się w oczach mieniło. Śmiałyśmy się, że ma brylantowy łupież... Teraz zmienił specjalizację i zajął się spawaniem.

Ścisnęła skronie dłońmi. Nadal nie była w stanie uwierzyć. Może gdyby chociaż zapadł wieczór, a wokół szalała jesienna zawierucha... Ale w tak optymistycznej scenerii słowa ślusarza wydawały się kompletnym idiotyzmem.

- Ostatnie pytanie. Głupio to zabrzmiało, ale skoro jesteśmy wampirami, co za chora bzdura, swoją drogą, no zakładając, że faktycznie jesteśmy, czy to oznacza, że wysysamy ludziom krew?

- Oczywiście. Jesteś głodna? Zazwyczaj ochota na pierwszy posiłek pojawia się dopiero po dwu lub trzech dobach od przebudzenia. Jutro, może pojutrze powinnaś zapolować.

- Czy wysysamy tylko złych ludzi?

- Raczej dobrych - wyjaśniał cierpliwie. - Żli ludzie mają kiepską krew. Wiesz, prowadzą bardzo niehigieniczny tryb życia. Nikotyna, alkohol, choroby weneryczne, czasem nawet narkotyki. Pić taką krew to jak wsadzić nos do popielniczki. No i myją się rzadziej. A co najgorsze, źli ludzie są przeważnie silni jak diabli i zaprawieni w bójkach. Dlatego, jak to zazwyczaj w życiu bywa, najbardziej przechlapane mają ładne i cnotliwe dziewczęta. - Uśmiechnął się do jakichś swoich wspomnień.

Tylko gdy już kogoś ugryziesz, ciągnij nie więcej niż cztery łyki - ostrzegł.

- Dlaczego?

- Bo taka ilość jest bezpieczna. Po co nam trupy, dochodzenia, przesłuchania? W dodatku podczas ssania wprowadzamy ciepłym do krwioobiegu łagodną toksynę, która kasuje im pamięć, więc zazwyczaj nie pamiętają, że zostali wyssani, a jedynym skutkiem ubocznym jest paratygodniowa impotencja...

- A blizny?

- Rana po zębach zasklepia się w kilka godzin niemal bez śladu. Ewolucja zadbała, żeby nasze istnienie dało się nieźle zakamufłować.

- Żeby stać się wampirem, trzeba najpierw zostać ugryzionym czy coś, prawda? Czyli któryś z was mnie ukąsił...

- Za dużo się księżek naczytałaś. To tak nie działa. Wampirem człowiek staje się po śmierci, nie wiadomo dlaczego. Może to dziedziczne, a może mutacja genetyczna. Nawet hrabia Xawery tego nie wie.

- A jak było z panem? - zapytała.

- Normalnie. Wpadłem pod dorożkę i obudziłem się w trumnie. Wiesz, jakie robili dla biedoty przed pierwszą wojną światową. Totalna tandeta... Wieko sznurkiem mocowane. Na szczęście płytko zakopali, więc jakoś zdołałem się wygrzebać spod ziemi.

Milczała, analizując jego słowa. Wszystko pasowało.

- Ale pan...

- Jestem tu po to, żeby ci pomóc odnaleźć się w tej sytuacji. Nie co dzień człowieka spotyka coś podobnego...

- Wydaje mi się, że nie potrzebuję żadnej pomocy!

- Słusznie. Wydaje ci się - zakpił.

Położyła dłoń na klawce.

- Jeśli teraz wysiądę...

- Dziecko, ja nie jestem państwowym systemem oświatowym. Nie będę cię uczył na siłę. Chcesz się edukować na własnych błędach, wolna wola. Ja tylko postaram się, żebyś za szybko nie zginęła, bo szkoda by chyba było... Zapamiętaj, że zawsze możesz spytać wampiry o ślusarza Marka. I gdyby ci ktoś w nocy do grobu zapukał, nie otwieraj. To mogą być zombiaki. Nie łaź nocą po Powązkach, bo cmentarz patrolują taki stary przyk z dubeltową i jego pomocnik, kompletny kretyn.

Otworzyła drzwi i wysiadła.

- Dziękuję za ratunek - powiedziała. - Żegnam.

- Spotkamy się jeszcze. - Puścił do niej oko i zapalił silnik. Fiacik odjechał.

- No i dobra - mruknęła.

Założyła kurtkę, bo suknia, w którą ją ubrali do trumny, trochę zanadto rzucała się w oczy. Pomacała zęby językiem, potem bez przekonania wsunęła palec do ust i zbadła swoje uzębienie.

Nożeż cholera.

Górne kły wystawały nad linię zębów o dobre dwa centymetry. Zauważyła też, że na końcach zrobiły się jakby ostrzejsze. I dolne też urosły. Spróbowała policzyć sobie puls.

I co niby dalej mam robić? - wściekała się. Będę latać po mieście i krew ludziom wysysać? Co za idiotyzm. I gdzie zanoćować?

Spojrzała na ciemniejące niebo.

Wracać do domu i spróbować się dogadać? Ci wariaci próbowali ją przecież kropnąć z dubeltówki! Hotel? Nie ma pieniędzy ani dokumentów, poza tym rezerwacja... Odpada. Koleżanki? Konrad? Tfu! Przypomniała sobie nagranie. Czyli faktycznie pozostaje nocować w grobie.

- Idiotyczny idiotyzm - mruzczała, maszerując w stronę cmentarza. - Kretynizm!

Kwadrans później była już na Powązkach. Odszukała rodzinny grobowiec. Otworzyła drzwiczki i zajrzała do wnętrza.

- Cholera - jęknęła, włączając do środka. - Chyba mnie porąbało... A może to świat zwariował, gdy spałam. Dobra - mruknęła, rozglądając się po roztopiającym się w półmroku wnętrzu krypty - trzeba tu trochę przemeblować. Przede wszystkim to spróchniałe antyczne barachło... - Spojrzała z odrazą na trumny czcigodnych przodków. - Ileż miejsca te graty zajmują!

Złapała największą i szurając po posadzce, dopchnęła równolegle do ściany. Na niej umieściła drugą, a na wierzch piramidy wpakowała trzecią. Ruszyła na próbę konstrukcją. Stały stabilnie.

- Będzie potrzebna jakaś zasłonka i pinezki... Udrapuję kotarę tak, żeby zasłoniła wszystkie trumny. Zamiotę podesty. Ściany się odmaluje na różowo - planowała - albo tapetę da, żeby te cegły zasłonić. Na dół wykładzina. Tu będzie fotel, tu stolik, etażerka z kasetami... Do diaska!

Radiomagnetofon, jak go odzyskać? I, co najgorsze, do czego go podłączyć? Prądu tu nie ma! Zagryzła wargi, aż się skaleczyła kłami.

W zasadzie nie potrzebowała światła, nie czuła też chłodu, ale przeszła się jeszcze po sąsiednich alejkach i zaiwaniała kilka zniczy. Zapalone wewnątrz krypty nadały jej jakby trochę domowego ciepła. Wreszcie na honorowym miejscu przyspiliła zdjęcie Limahla, a poniżej ustawiła największy znicz.

- Ładnie to wygląda, jak ołtarzyk prawie - ucieszyła się. - Wprost nie mogę uwierzyć w to, co mnie spotkało - westchnęła, patrząc w brązowe, jakby psie oczy piosenkarza. - Ty też byś

pewnie nie uwierzył.

Portret milczał, ale wyczuła, że też jest głęboko zbulwersowany jej sytuacją. Ustawiła swoją trumnę na właściwym miejscu. Położyła wieko, by wygodnie było po nie sięgnąć. Zdjęła buty.

Trzeba skombinować piżamę, pomyślała, moszcząc się na wyściółce. I pościel. I lampkę nocną...

Sprawdziła kieszenie kurtki. Zegarek, pilniczek do paznokci, pięćdziesiąt złotych, chustka do nosa, przypinany znaczek z Limahlem, zapasowe szydełko.

- Bryndza! - parsknęła.

Nakryła trumnę wiekiem i już po chwili zapadła w głęboki sen.



Naradzali się w kuchni. Wszystkie parapety domu posypali granulowanym czosnkiem. Strzelba i sztucer stały naszykowane na podorędziu. Na kuchence w puszcze po butaprenie powoli topiły się trzy srebrne dwustuzłotówki wybite na trzydziestolecie PRL. Wiadomo, na wampira działa tylko srebrna kula.

- Najgorsze jest to, że udało się jej uciec - biadolił starszy Brona.

- Może już nie wróci. - Radek się wzdrygnął.

- Oby. Bo babcia ma rację. Faktycznie, jak się rozniesie, że moja córka stała się wampirem, to nie tylko nici z kandydowania do Komitetu Centralnego, ale i z PZPR wywałą mnie na zbity ryj. Nawet towarzysz Pierwszy mnie nie obroni.

- Nawet jakbyście trafili z tej strzelby, to co dalej? - zirytowała się matka.

- Spalilibyśmy truchło w piecu w piwnicy. - Lata walk frakcyjnych i podgryzania konkurentów do stołków wyrobiły w panu domu prawdziwą komunistyczną twardość.

- Moją Gosię w piecu!? - jęknęła.

- To już nie jest nasza Gosia, tylko pieprzony wampir! - burknął Radek. - Tatko ma rację. Żle się stało, że wywiała. No i co najważniejsze, trzeba zabezpieczyć dom!

- Powiesimy krzyże? - zasugerował ojciec. - Nie wypada. Poza tym wpadnie ktoś w gości i wypapla na zebraniu. No i nie wiem nawet, gdzie się to kupuje.

- Na mnie nie licz - zaprotestował syn. - Jeszcze ktoś na uczelni wykabluje i dopiero będzie...

- No właśnie - burknął Brona. - Co do wykablowania. Wszyscy musimy bezwzględnie trzymać buzie na kłódkę! Nikt nie może wiedzieć, co się tu stało!

- Babcia wygada - zauważyła matka.

- Otrujemy!

- Wszystko słyszałam! - Zza ściany dobiegł złośliwy chichot.

- Może teraz, kochany zięciuniu, dotrze do ciebie, że materializm i ateizm to bzdura.

- Ateizm to nie bzdura, tylko poprawny naukowo pogląd, wyjaśniający zarówno pochodzenie człowieka, jak i...

- Będzie niezły ubaw, gdy się przekonasz, że Bóg jednak istnieje - zarechotała radośnie starowinka.



Gosia obudziła się o szóstej rano. Co to dzisiaj? Chyba środa. Usiadła. Coś było nie tak. Po raz pierwszy od zwampirzenia poczuła osłabienie i zarazem dziwne mrowienie w żołądku.

Czyli nadchodzi pora, by napić się krwi, pomyślała z nagłą troską. Ajajaj...

Spojrzała na zdjęcie Limahla. Ślinka sama napłynęła jej do ust. Poczuła, jak kły rosna, wysuwają się z dziąseł.

- Gdybym mieszkała w Anglii, tobym poszła do niego z wizytą - rozmarzyła się. - Zapukałabym do drzwi. Na pewno lubi gadać z fankami, ale pewnie i trochę ostrożny jest, masa zdzir tylko czatuje, żeby wpakować mu się do łóżka. Byłby z początku trochę nieufny, ale powiedziałabym, że chcę stracić cnotę właśnie z nim! Z moim ulubionym piosenkarzem. Wpuściłby mnie do domu... Poszlibyśmy do salonu, wypili po luksusowym drinku, jakąś colę z koniakiem czy coś. Potem postawiłby na stół coś dobrego, na przykład ostrygi ze szparagami. Zjedlibyśmy przy świecach, potem pokazałby mi sypialnię i w łóżku dziabnęłabym go zębami prosto w szyję... Biała pościel pokryta czerwonymi plamami niby płatkami róż. Ależ to by było nieziemsko romantyczne!

Limahl patrzył jak zwykle przyjaźnie i uśmiechał się. Wyczuła aprobatę.

- A może raczej poszlibyśmy do łazienki - snuła dalej rozważania. - Pewnie ma taką jak z katalogu, co ojciec przywiózł z Paryża. Z jacuzzi, kabiną prysznicową i wielkimi lustrami... O, do diabła! Lepiej bez luster! - zreflektowała się. - Pozwoliłabym, żeby mnie rozebrał. Weszlibyśmy do kabiny. Krople wody lśniłyby mu na torsie. A potem krew by tak uroczo spływała strumyczkiem do odpływu jak w filmie „Psychoza”... - westchnęła z zachwytem.

Idol wydawał się w pełni aprobować jej plany. A w każdym razie nie protestował.

- Cholerne paszporty - burknęła, wracając do rzeczywistości. - Trudno. Trzeba wyssać kogoś innego. Tylko kogo? Jak się to w ogóle robi? Trzeba się skradać i nagle cap, a potem zębami w szyję? Czy może najpierw zębami, a potem cap?

Dwa albo trzy horrory, które w życiu widziała, niestety, nie kwalifikowały się do kategorii filmów instruktażowych. Wampiry atakowały w ciemnych zaułkach i generalnie niewiele było widać, a już prawie nic na zbliżeniu.

- Dobra, nie pierwsza ja i nie ostatnia - mruknęła. - Instynkt mi podpowie, jak to zrobić... Tylko gdzie wyszukać ofiarę? Limahl daleko. Atakować kogoś na ulicy niebezpiecznie, bo może się okazać silniejszy... Chyba żeby jakiegoś smarkacza capnąć.

Nagle zamarła tknięta niespodziewaną, olśniewającą genialną myślą. Konrad!

- A niech mnie - szepnęła. - Przecież to oczywiste. Ten gad... Ta świnią... To bydlę... Ja go zaraz...

Spojrzała na zegarek.

Nie, zaraz nie, pomyślała. Teraz pewnie idzie do budy. Przed liceum się zacząć? Złapię go, pójdę z nim na chatę. Do diabła! Do mnie nie można, bo rodzina... No to do niego. Wpuści mnie do mieszkania. I wtedy: dziab!

- Wybacz, Limahl - westchnęła do fotosu.

- To miałeś być ty, ale tragiczny los nie pozwolił nam się spotkać...



Dopiero w ostatniej chwili, gdy była tuż pod drzwiami budy, uświadomiła sobie, że przecież oficjalnie nie żyje. Dlatego zaczęła się na ławeczce w parku. Nie czekała długo, może czterdzieści minut. Poznała go z daleka. Szedł niespiesznie, powłócząc nogami, i nad czymś dumał. Pewnie obmyślał kolejny genialny interes.

- Cześć, Konrad - rzuciła.

Zatrzymał się w pół kroku i dłuższą chwilę gapił z niedowierzaniem.

- To ty!? - Wytrzeszczył oczy.

- Ja. - Wydeła wargi. - A kogo się spodziewałeś, Królowy Śnieżki?

- Myślałem, że nie żyjesz - bąknął.

- Był nekrolog w szkole i minutą ciszy uczciliśmy... Gadali, że się powiesiłaś - zniżył głos.

- Ojciec to sfignował - wyjaśniła.

- Żeby mnie nie szukano.

- Dlaczego?

- Uciekam na Zachód - zełgała.

- Za kilka dni ma mnie odebrać z plaży szwedzka motorówka.

- O rany! - zdumiał się, a w jego oczach błysnęło coś niedobrego.

- Idziemy gdzieś?

- Do mnie chwilowo nie można. Chodźmy do ciebie. Musimy pogadać.

- ...bra...

Powędrowali. Na szczęście nie było daleko, mieszkał dwie uliczki od budy. Szła pół kroku za nim. Czowała dziwną ekscytację. Zęby wysunęły się już chyba na całą długość. Musiała się powstrzymać, by nie skoczyć mu na plecy.

To pewnie jego krew tak na mnie działa, pomyślała.

Instykt drapieżcy przeważał. Kiedyś coś tam do niego czuła. Teraz patrzyła na niego już tylko jak na mięso. Otworzył patentowy zamek i włożył pierwszy, nie myśląc nawet o tym, by przepuścić ją w drzwiach. Przeszli do jego pokoju.

- To bardzo niebezpieczne, żebyś płynęła tą motorówką sama - zagaił. - Wiesz, morze bywa wzburzone, do tego nieokrzesani szwedzcy marynarze... Ktoś musi cię obronić. Proponuję swoje usługi.

- Nie da się.

- Powiedz ojcu, że albo mnie zabieracie, albo wszystko wykabluję ubecji! - syknął niecierpliwie.

- Przytul mnie - zażądała.

Objął ją niepewnie. Ucisnęła go. Miała teraz szyję tej szui akurat na wyciągnięcie zębów.

- Płynę - powtórzył.

- Dobra, dobra, nie marudź, zaraz coś popłynie - mruknęła i dziabnęła go z całej siły zębami.

Weszły jak w masło. Pociągnęła przez kanaliki solidny łyk. Poczowała rozkoszny prąd przebiegający przez całe ciało. Krew Konrada upajała ją lepiej niż szampan. Gosia poczuła miły

szum w głowie i przyjemne ciepło rozchodzące się po ciele...

O tak, tego właśnie było mi trzeba, pomyślała.

Rozmarzona poluzowała chwyt i drań się wyrwał.

- Co jest, kurde!? - ryknął, łapiąc się za szyję.

- Co ty wyrabiasz, kretynko? Użarłaś mnie do krwi! O, w mordę... - Zobaczył jej zęby.

Przez ułamek sekundy milczał zszokowany.

- Ratunku! Wampir!!!

Nie zdołał stłumić dłonią krwawienia. Posoka kapłała mu między palcami. Czerwone kropelki rozbryzgiwały się na podłodze. Wampirzyca nie mogła wręcz patrzeć na takie marnotrawstwo. Doskoczyła do ofiary jednym susem.

Jak tygrysyca, pomyślała zachwycona gracją swoich ruchów. Jestem drapieżną kocicą...

I w tym momencie chłopak walnął na odlew pięścią, aż zobaczyła świece przed oczyma. Cios rzucił ją aż pod kanapę. Potrząsnęła głową oszołomiona.

- Ty chamie! Kobiętę bijesz!? - wrzasnęła oburzona.

- Przepraszam - bąknął i tracąc przytomność, runął na dywan.

Podeszła teraz ostrożniej i przysssała się do rany. Krew... Mniem, mniem... Pierwszy łyk, drugi... Trzeci. I wystarczy.

Gdy jednak zaspokoili pierwszy głód, poczuła się niewyraźnie. Ta krew... Była jakaś taka niesmaczna. Wyraźnie wyczuwała w niej i smród kiepskich papierosów, i posmak nieświeżej pasztetowej, i coś jakby oranżadę z rozmoczonych landrynek. Z każdym łykiem pokarm stawał się coraz paskudniejszy. W dodatku w pokoju strasznie śmierdziało...

Puściła chłopaka. Z tyłu spodni miał plamę.

- Fuj! - Ostatni haust wypluła na podłogę.

Popatrzyła na Konrada. Żył, rany na szyi faktycznie zasklepiły się w oczach.

- Należało ci się, ty żaloszny obesrańcu! - warknęła.

- Damski bokser się znalazł! A to za tę Szwecję i ubecję! -Kopnęła nieprzytomnego, aż ją palce stopy zabolaly. -I za to, że nie chciałeś mnie bzyknąć! - Przyładowała z drugiej strony. - I za to, co powiedziałeś o moich piersiach! I za plany wobec tej wywłoki Mariolki! I za to, że nazywałeś Limahla pedałkiem! - Ten cios był najmocniejszy. - Pa, pa, zmywam się...

Odwróciła się do wyjścia i zamarła. W otwartych drzwiach stał ślusarz Marek. Uśmiechał się ironicznie.

- No co? - prychnęła. - Obiad zjadłam, no nie? Wampirem jestem...

- Droga koleżanko - powiedział spokojnie - zanim gdziekolwiek pójdziesz, odbędziemy pogadankę na temat BHP.

- Odwal się!

Bez słowa capnął ją za kark i powlókł do przedpokoju. Miał żelazny chwyt, widać wyrobił sobie przez sto lat zabawy obrabiarkami. Postawił Gosię przed lustrem.

- Widzisz? - warknął.

Spojrzała i zamarła. W tafli tym razem coś się odbijało. Jakies różowe cienie. Widziała niewyraźnie część swojego policzka, usta, szyję, kawał dekoltu, a poniżej sporo zamazanych detali ubrania.

- Co...

- Krew. A konkretnie: jego krew. Jesteś ubabrana, jakbyś wyskoczyła z centralnej rzeźni miejskiej! Jak daleko zajdziesz w tym stanie? Pierwszy patrol cię zwinie!

- Ups...

- Pod prysznic marsz! - rozkazał.

- A jak wysuszę ubranie?



- Zapierz plamy mydłem i tyle. Doschnie na wietrze.
- Jesień jest - zaprotestowała.
- To co? Nie zaziębisz się ani nie złapiesz zapalenia płuc. Jesteś martwa, byle co ci nie zaszkodzi.
- Tylko proszę nie podglądać! - warknęła, idąc do łazienki.
- Druga sprawa - zatrzymał ją - przed robotą zawsze zamykaj drzwi na klucz! Tym razem miałaś szczęście, że wszedłem tylko ja. Ale mógł to być ktokolwiek. Sąsiedzi, milicja, ubecja,

zombiaki, łowcy...

- Dobra, nie truj. Zapamiętam.

Wyszła z łazienki, ociekając wodą.

- Ujdzie - ocenił na oko. - A teraz chodu...

Wyszli z mieszkania.

- Zaparkowałem dwie ulice dalej - powiedział. - Jeszcze nam tylko kłopotów z milicją brakowało.

- Ugryzłam go - pochwaliła się.

- Z zemsty. Bardzo głupio.

- Czemu głupio? - nastroszyła się.

- Należało się bydlakowi! Nawet jeśli nie zapamięta, to ta impotencja dobrze mu zrobi!

- Dziecko, stłum emocje, bo ściągniesz sobie na kark kłopoty. Dopadamy przypadkowe ofiary. Nie można się tak podniecać. Opowiedz mi, jak to było, zapukałaś do niego?

- Nie, spotkaliśmy się na mieście.

- Fatalnie - zasepił się głęboko.

- Czemu?

- Bo neurotoksyna kasuje pamięć tylko z kilku ostatnich minut. Będzie pamiętał, że cię spotkał. A ten jad nie czyści pamięci tak definitywnie. Jeśli będzie nad tym intensywnie dumiał, może sobie wszystko przypomnieć...

- Ups...

- Na szczęście nikt mu chyba nie uwierzy...



Swoją drogą, to granda, myślała, siedząc na ławce przed grobem. Przecież na filmach wampiry to arystokracja, poruszają się limuzynami z przyciemnionymi szybami, kobiety noszą suknie i klejnoty... To się przecież nawet mówi „hrabia Dracula”. Powinnam być wampirzą księżniczką czy coś! Mieć własną karetę, pałacyk i wierną służbę. Grasować na królewskich balach. Kasać zblazowanych arystokratów w zacisznych buduarach. A tu jeżdżę maluchem w towarzystwie ślusarza, wysysam początkującego cinkciarza w gierkowskim bloku... Co to w ogóle za nazwisko „Brona”. - Omal się nie rozplakała. - Ojcu to się i przydaje w karierze, robotniczo-chłopskie, akurat dla komunisty. Ale nie dla wampira...

Wstała z ławeczki i przeszła się, spoglądając na pobliskie grobowce, pomniki i kaplice. Sąsiedztwo było niezłe. Profesorowie, dwóch generałów, przedwojenny minister, jacyś lekarze, inżynier. Czują, że coś jej tu nie pasuje.

- A może jednak byliśmy szlachtą? - zadumała się, wracając „do siebie”. - Wielki grób, i to w dobrej lokalizacji...

Nagle drgnęła.

Popatrzyła po raz kolejny na napis wykuty w piaskowcu. Płyty nadgryzł ząb czasu... Stary grobowiec już się sypał. Litery biegły półłukiem po kamieniach stanowiących obramowanie drzwiczek będących wejściem do krypty. Sięgały jednak tylko do trzech czwartych...

- Zaraz, a dlaczego to jest takie asymetryczne?

Podeszła bliżej. Ostatni kamień łuku miał odrobinę inny odcień. Najwyraźniej

wymieniono go wiele lat temu. Przyjrzała się teraz epitafium przodka. Inskrypcja wykuta w szarym kamieniu głosiła:

EUSTACHY BRONA 1871-1920
PRACOWNIK BROWARU,
CZŁONEK KOMITETU ROBOTNICZEGO
POLEGŁ W WALCE O SOCJALIZM

- Ale dlaczego to tak odstaje?

Dziewczyna wyjęła z kieszeni pilniczek do paznokci. Wbiła ostrze w spoinę i po chwili podważyła. Tak jak podejrzewała, epitafium przykrywało wcześniejszą tablicę, granitową. Mimo upływu lat litery, kiedyś złożone, zabłyśły. Napis był niemal identyczny:

EUSTACHY HR. BRONA 1871-1920
WŁAŚCICIEL BROWARU,
CZŁONEK KOMITETU OBYWATELSKIEGO
POLEGŁ W WALCE O Z BOLSZEWIKAMI

- A niech mnie! Wiedziała! Błękitna krew!

- Nagle poczuła, że życie jest jednak piękne.

Nad cmentarzem zapadał już wczesny jesienny zmrok. Gosia wetknęła wydłubaną płytę na miejsce, włożyła do krypty i zatrasnąwszy drzwiczki, zapaliła dwa ukradzione u „sąsiadów” znicze.

- Panie Limahl - zwróciła się do wizerunku idola.

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Małgorzata hrabina Bronawska, wampirzyca.

Księga



Nad Szmulkami zapadał paskudny jesienny zmierzch, ale w mieszkaniu wampira Marka było ciepło i zacisznie. Gosia wysłuchała dwugodzinnej pogadanki na temat bhp. Ponieważ kompletnie nie miała ochoty wracać do rodzinnego grobu, naszykowała kilka kupionych po drodze motków kordonku i popatrując na wzór wydrukowany w „Filipince”, usiłowała wydzierać szydelkiem koronkową rękawiczkę.

Przyjaciel gospodarza, wampir komunista Igor, nakrywszy twarz „Trybuną Ludu”, drzemał na kanapie. Ślusarz Marek czytał sowiecki podręcznik obsługi tokarki z 1948 roku. Na stronie tytułowej wykalgrowano starannie dedykację:

TOWARZYSZOWI SŁAWOMIROWI SIAPCIUCHOWI
Z OKAZJI 70. URODZIN JÓZEFA STALINA
GMINNY SEKRETARZ PZPR W OZORKOWIE.

Poniżej wił się zakrętas nieczytelnego podpisu i czerwieniła okrągła pieczęć. Księga oprawiona była w grubą tekturę, grzbiet pokryto czarnym lakierowanym płótnem.

- *Rieduktostrojnie* - mruknął pod nosem rozczulony wampir, zamykając tomik.

- Istnieją takie określenia techniczne, które dobrze brzmią tylko po rosyjsku.

- Wydaje się panu, bo pracował pan w carskiej fabryce - zauważyła rezolutnie dziewczyna.

- Co się tak krzywisz? - Odstawił wolumin na regał pomiędzy podobne dzieła.

- No tak sobie pomyślałam, że jak na wampira ma pan dziwne zainteresowania.

Popatrzył na nią zdumiony.

- A jakie niby mam mieć? Jestem ślusarzem od blisko stu lat. To chyba normalne, że interesują mnie zagadnienia dotyczące mojej pracy? W każdym zawodzie niezbędne jest podnoszenie kwalifikacji. To pozwala poprawić jakość wyrobów i wydajność. To nie są lata pięćdziesiąte - westchnął. - Wtedy za przekroczenie normy dawali bilety do kina i teatru, dodatki do pensji i inne takie.

- A jak się wyrobiło kilka miesięcy pod rząd po sześćset procent normy, to i mieszkanie można było dostać - uzupełnił spod gazety Igor. Najwyraźniej się obudził. - I gwiazdek przodowników pracy po kilka mieliśmy... I własnych, i z wyspanych.

- Wysysaliście kumpli!?

- E, nie, ale wiesz, płacili kiepsko, a najlepsza brygada miała premie, więc pracowaliśmy dwutorowo. Odstraszaliśmy bumelantów osłabiających moralnie nasz kolektyw... A konkurentów pozbawialiśmy groźnych pracoholików. I jak się taką gwiazdkę wpięło, to tramwajem za darmo się jeździło. Piękne czasy... Tylko krew była kiepska, grochówka z wkładką mięsna jest może kaloryczna, ale psuje smak okropnie. - Usiadł i ziewnął. - Ale to taka mądrość etapu - dodał uczenie. - Patrząc dialektycznie, w procesie budowy nowej socjalistycznej rzeczywistości nawet wampir musi ponieść pewne ciężary dla dobra ogółu.

- A to wszystko mieliśmy dzięki umiejętnościom toczenia i frezowania - podjął Marek. - Raz jak dorobiłem brakujący tłok do silnika amerykańskiego spychacza, to mnie do Orderu Pracy zgłosili, bo uratowałem całą budowę przed zawaleniem planu! Moje zainteresowania są szlachetne i pozytywne!

- No, nie wiem... - bąknęła. - Moim zdaniem, wampiry powinny myśleć... No, o czymś bardziej wzniosłym. O najsztelniejszych porywach ludzkiego ducha. O genialnych ideach porywających tłumy - zapaliła się.

- Gadali nam o tym polityczni na szkoleniach ideologicznych. Ale marksizm jakoś zawsze wydawał mi się kompletnie jałowy intelektualnie - wyznał ślusarz.

- Bo za mało Lenina przeczytałeś - burknął Igor.

- Na szóstym tomie odpadłeś, a ja dojechałem do pięćdziesiątego drugiego!

- Bajeruje - poinformował Gościę Marek.

- Dwa ostatnie to indeksy.

- Do teatru chodziliście, czyli nieobce są wam wyższe przeżycia artystyczne... - zamyśliła się.

- No ba. „Wesoła wdówka” to dopiero fajne przedstawienie, do dziś pamiętam -

westchnął komunista.

- Ja tam jestem prostym człowiekiem. Wiesz, horror obejrzę na wideo, kryminał poczytam, uwielbiam te o Sherlocku Holmesie... - snuł rozważania Marek. - Jak jeszcze żyłem, to zamiast wina wolałem sobie kufel haberbuscha strzelić. Subtelności to nie dla mnie.

- My, wampiry... - zaczęła i umilkła.

- A ty, o czym niby myślisz? - Ślusarz wzruszył ramionami.

- O Limahlu zapewne? Jak dla mnie ma strasznie głupią fryzurę, a śpiewa, jakby go nożykiem po jajkach połaskotali. O, przepraszam - zreflektował się, przypomniawszy sobie, że rozmawia z nastolatką.

- Rozmyślałam o modzie i strojach. O klejnotach, pałacach... O dziełach sztuki i karetach... - rozmarzyła się.

- Wybijają ci hrabiowskie geny po przodku - skwitował lekceważąco Igor - albo się za dużo tych pseudo-wiktoriańskich horrorów naoglądałaś.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Gosia spojrzała spłoszona w stronę przedpokoju.

- Spokojnie - mruknął gospodarz, mocując się z zamkiem. - Tym razem to nie Van Helsing - zażartował makabrycznie. - I nie blednij.

- Dlaczego?

- Bo wampiry nie bledną - zachichotał. - Brak krążenia.

Do wnętrza wszedł jakiś przybysz. Był drobny, cały ginał w grubej puchowej kurtce. Na głowie miał narciarską czapę głęboko nasuniętą na oczy.

- Małgorzato, pozwól, że ci przedstawię: to hrabia Xawery Prut, nestor i poniekąd wódz warszawskich wampirów - odezwał się ślusarz.

- Małgorzata hrabina Bronawska. - Dygnęła, podając dłoń do ucałowania.

Hrabia cmoknął ją z wdziękiem, jakiego nabiera się tylko skutkiem wielowiekowej praktyki, przywitał się z Markiem i ściągnął czapę. Dziewczyna wrzasnęła, aż zadrżał żyrandol.

- Czego się boisz, to tylko wampir - uspokajał ją ślusarz. - Trzy wieki na karku, to i wygląd się zmienia...

Ciekawe, czy za trzysta lat też będę miała takie czerwone oczy i spiczaste uszy? - zadumała się Gosia, ale nic nie powiedziała.

- Bronawska. - Głos hrabiego skrzypiał jak wieko trumny. - Z tych Bronawskich, którzy mieli browar na Woli?

- Tak. Moi przodkowie robili dobre piwo? - zaciekała się.

- W czasie powstania tysiąc osiemset trzydziestego nazywano je siuškami artylerzysty. Nie jestem pewien, czy można uznać to za komplement. - Uśmiechnął się kpiąco, odsłaniając przy tym klawiaturę iście krokodylich zębów.

- Zapraszamy na pokoje. - Gospodarz zgiął się w ukłonie, wskazując przybyszowi drzwi saloniku. - Czym chata bogata. To znaczy do jedzenia nic nie ma, ale mogę wyskoczyć na miasto po jakąś przekąskę...

- Nie trzeba. Pozwoliłem sobie odwiedzić was, bo mam sprawę. Coś sobie przypomniałem... - mówił hrabia, zdejmując wierzchnie okrycie.

Miał na sobie nieprawdopodobnie wytarty czarny smoking oraz flanelową koszulę w kratkę. Na nogach połyskiwały bielą i błękitem potwornie sprane tureckie jeansy.

- Nie gap się tak - westchnął pod adresem dziewczyny. - Czasy są ciężkie, a rodowy majątek przepadł... To i człowiek ubiera się jak potrafi i w to, co zdobędzie.

Ściągnął z nóg relaksy.

- Czym zatem możemy służyć, hrabio? - Ślusarz ponownie ukłonił się przed gościem.

Igor też zwlókł się z kanapy i mimo swojego radykalnie czerwonego światopoglądu oddał pokłon przedstawicielowi byłych klas posiadających.

- Tak sobie leżałem w grobie, przewracałem się z boku na bok i nagle zaświtała mi idea. Pomyślcie, czego najbardziej potrzeba nam do szczęścia?

- Krwi młodych, dobrze odżywionych, wysportowanych, niepalących, abstynentek... - westchnął wampir komunista. - Najlepiej córek badylarzy, cinkciarzy, milicjantów, ubeków i wyższych kręgów partyjnych. - Puścił oko do Gosi.

- Durnyś, mój drogi Igorze. Najważniejsza dla nas jest bowiem wiedza o możliwościach i ograniczeniach naszej rasy.

- To znaczy, że nie wiemy wszystkiego? - zdumiała się dziewczyna.

- Gdy byłem młody, wampiry potrafiły robić rzeczy dziś zapomniane. Przechodziły przez ściany, niezależnie od wieku nie bały się słońca. Tylko zanim mnie tego wszystkiego nauczono, przyszli ci dranie od Kościuszki ze swoimi kosami postawionymi na sztorc. - Hrabia wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Zaraz potem sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. To na całym świecie był ciężki okres. Ukazała się książka Polidoriego „Wampir”. Ciepłym otworzyły się oczy. Zaczęli zwracać baczniejszą uwagę na wszystko to, w co wcześniej nie wierzyli. I jak ruszyli w tany z kołkami w dłoniach, to w parę lat nie było chyba na kontynencie jednego nienaruszonego grobu! Ale starożytna wiedza nie przepadła tak zupełnie bez śladu. Kilka starych wampirów zebrało się i napisało coś w rodzaju podręcznika...

- „Necronomicon”! - Igor aż się poderwał z kanapy. - Myślałem, że to tylko legenda!

- Wydaje mi się, że nie. Miałem kiedyś znajomka wampira, Marcin Szot się nazywał. Wyjechał do Ameryki zaraz po trzecim rozbiorze i wciągnęło go na ponad sto lat. Tam przeczekał okres kołkowania. Wrócił niedługo przed drugą wojną, no i miał pecha. Zaraz w trzydziestym dziewiątym namierzyło go Ahnenerbe.

- Co to takiego? - zdziwiła się dziewczyna. - Gestapo jakież?

- Tajny instytut Himmlera - wyjaśnił Marek. - Oficjalnie powołany do badania dziedzictwa przodków, czyli historii i dorobku rasy aryjskiej. Ale w praktyce zajmowali się wszystkim, co dziwne i tajemnicze. Pewnie chcieli wykorzystać nas do celów militarnych. Złapali jednego wampira, był słaby, wsypał wszystkich, których znał. Kto się nie wyrwał - zginął. Gdzieś z piętnastu naszych wykończyli.

- Osiemnastu - sprostował hrabia. - W tym kilku naprawdę wiekowych, którzy jak ja przetrwali wiele polowań... Mojego przyjaciela dostali, niestety, w pierwszej kolejności. Tylko że on przewidywał, iż ta wojna będzie inna niż poprzednie, dlatego jeszcze we wrześniu podjął decyzję o ukryciu swoich pamiątek przywiezionych z USA. Mówił mi o tym przed aresztowaniem.

- Chcesz, mistrzu, powiedzieć, że wśród nich była ta księga? - Ślusarz aż płonął z ciekawości.

- Pamiętam, że miał takie grube tomiszcze oprawione w ludzką skórę, z okuciami na rogach i z tłoczonym, złoconym napisem na grzbiecie. Stała za szybką w serwantce. Raz tylko powiedział, że przegląda ją, gdy najdzie go tęsknota za dawnymi czasami. Pewnie by mi pozwolił poczytać, ale nie wiedziałem wtedy, dlaczego jest taka ważna. Dopiero wiele lat po wojnie usłyszałem po raz pierwszy o „Necronomiconie”, a teraz skojarzyłem, że to musiała być ta właśnie księga! No i tytuł na grzbiecie!

Ze czterdzieści lat dumał, zanim się kapnął, pomyślała Gosia z rozbawieniem. Cóż, lepiej późno niż wcale.

- Musimy zdobyć tę księgę - westchnął z nabożeństwem Igor.

- Podobno jedyny znany egzemplarz znajduje się na pokładzie jachtu, który nigdy nie

przybija do brzegu. Drugi ponoć miał być w bibliotece Uniwersytetu Arkham, problem w tym, że w atlasie nie znalazłem takiego miasta... - dumął ślusarz. - To ten będzie trzeci?

- Ciepłi gadają różne bzdury. - Hrabia wzruszył ramionami. - Nie sądzę, żeby księga istniała tylko w jednym egzemplarzu, ale to jedyny odpis, o którym wiemy. A gdy ją zdobędziemy, będziemy mogli zrobić wszystko - warknął. - Są w niej opisane sekrety wszystkich bytów nekrobiotycznych. Możemy się z niej dowiedzieć na przykład...

- Jak zmienić się w nietoperza! - ucieszył się wampir komunista.

- Nikt od wieków nie próbował transformacji w nietoperza - skwitował Prut. - Wiele razy poważnie zastanawiałem się, czy to w ogóle możliwe. Na filmach niby się zmieniają, ale coś mi się widzi, że to tylko sztuczka. Trick kinowy, i to w wykonaniu ciepłego aktora. Nie wydaje mi się, żeby jakiś wampir zgodził się na poniżającą pracę komedianta... No i musieliby użyć nie wiem jakiej taśmy, żeby się nagrało.

- Te filmy kręcą w Ameryce - powiedział w zadumie Igor. - Skoro mają lepsze taśmy, to niewykluczone, że i wampir może zostać aktorem. Tamtejsze społeczeństwo jest pewnie okropne. Nadmiar dolarów musiał ich straszliwie zdemoralizować - dodał rozmarzony. - A może ta księga podpowie nam, jak zrobić fotografię wampira! - zapalił się.

Hrabia uśmiechnął się pobłaźliwie.

- A ty znowu o tej loterii wizowej - rzekł z przygana. - Wybij sobie z głowy, do usA i tak cię nie wpuszczą! A nawet gdyby wpuścili, to wiesz przecież, co Coollenowie robią z obcymi wampirami.

- Coollenowie? - zaciekawiała się Gosia. - Kto to?

- Zastrani rzeźnicy! - burknął Xawery. - Lepiej, żebyś nigdy ich nie spotkała. Wampiry sadyści! Wysysają nie ludzi, ale niewinne zwierzątka! Szczeniaczki, kotki, jagniątka, sarenki... A że krew zwierzęca ma kiepską kaloryczność, to kasują tych sarenek po kilka tygodniowo na głowę. Jak wymordują cały las, zmieniają stan, przenoszą się gdzie indziej i działają tak jak poprzednio, aż do kompletnego przetrzebienia zwierzyny. Ohydni kłusownicy!

Dziewczyna aż się wzdrgnęła, słysząc o takim bestialstwie.

- A najgorszy z nich jest Edward - dorzucił Marek z nienawiścią w głosie. - To on wymyślił to zwyrodnienie. I jeszcze, na domiar złego, nazywa je... wegetarianizmem!

- Edwardem się nie przejmuj, przecież to idiota - prychnął hrabia. - Chłopak ma tak na oko z osiemnaście lat - zwrócił się do Gosi. - Wymoczek z włoskami na żelu. Wygląda jak przedmiot westchnień głupich amerykańskich dziewczuch z głębokiej prowincji. Ale wygląd to nie wszystko. Liczy się to, co w głowie. A on ma tam kompletne siano. Od tysiąc dziewięćset osiemnastego bez przerwy chodzi do szkoły. To do jednej, to do drugiej. Zdawał maturę już kilkadziesiąt razy, i co?

- Nie rozumiem? - Zatrzepotała rzesami.

- I nigdy nie zda! W ogóle nie zaczął studiować! Przygłup. Za to jego przybrane rodzeństwo...

- Bejsboliści zakichani. Ich ulubioną zabawą jest dziurawienie innych wampirów piłeczkami... - warknął Igor. - Wyobraź sobie, że stoisz na górskiej łące, rozkoszujesz się nadciągającą burzą, a tu nagle... Znam takiego, który oberwał, że na wylot przeszło. Z dziesięć lat łąził z dziurą, zanim się wygoiło!

- To przez nich mój przyjaciel musiał wracać do Polski - gość wrócił do tematu.

- Mam propozycję - mruknął ślusarz. - Sami nie odnajdziemy tej księgi. Do tego potrzeba fachowca.

- Jakiego znowu fachowca? - zdziwił się Prut.

- Eksperta od rozwiązywania zagadek historii - wyjaśnił Marek. - Chyba że spróbujemy to, nomen omen, ugryźć sami...

- Ja nie jestem od rozwiązywania. - Hrabia dumnie uniósł brodę. - Sam jestem nierozwiązywalną zagadką historii. A gryźć wolę raczej rzeczy zupełnie świeże.

- A ja jestem ślusarzem - odburknął jego podwładny. - I raczej wolę być świadkiem wydarzeń historycznych, a nie twórcą historii czy, nie daj Boże, historykiem. Igor?

- Ja się interesuję wyłącznie dziejami idei socjalistycznej, a ten pana znajomek to był jakiś burżuj czy arystokrata wręcz - odparł ze wstrętem spawacz.

- A ja z historii miałam same tróje - uzupełniła ich podopieczna.

- No tak - zasepił się Prut. - Profesor nie ma o tym pojęcia. Łeb jak szafa, ale zainteresowania nie te. Jak z nim gadam, to nic tylko ciągle robale i robale... Nasze siły szczupłe...

- Czyli, jak rozumiem, mam pańską zgodę na wynajęcie specjalisty? - zagadnął ślusarz.

- A konkretnie?

- Pan Tomasz Nowak.

- To on jeszcze żyje? - zdziwił się hrabia. - Odnoszę wrażenie, że za dużo o nas wie. A nie zapominaj, że jest w ORMÓ!

- Był w ORMÓ - sprostował Igor. - Dawno temu go wylali.

- Ale to straszny komuch - protestował arystokrata.

- Komuchy też potrzebują pieniędzy. Nawet bardziej niż kapitaliści, bo oni pieniądze już mają. Może i czerwony, ale łeb ma nie od parady. No i do partii już nie należy - przekonywał Marek.

- Jak uważasz... - Prut był wyraźnie zde gustowany. - Tylko dobrze go pilnujcie, żeby nie wykręcił nam jakiegoś parszywego numeru!



Za oknem dawno już zapadła noc. Żoliborz spał. Tylko w jednym z okien niewielkiej przedwojennej willi paliło się jeszcze światło.

- Jak u narkomanów w USA. - Radek spojrzął z nienawiścią na cienką kreskę białego proszku znaczącą parapet i kopnął opróżnioną już butelkę czystej, leżącej na podłodze. - A i kosztował ten granulowany czosnek prawie tyle co kokaina... Zatem wampiry istnieją realnie i jeden z nich to moja siostra - zwrócił się do suki Luni i pociągnął z gwinta kolejnej flaszki.

- Tak czasem w życiu bywa - ponuro skomentował pies. - Niby kraj ateistyczny, a tu taka wtopa...

- Chcesz tyka? Zagraniczna wóda. Ojcu z barku zwinąłem. Niezłego kopa daje, ale strasznie zajeżdża, jakby choinką.

- Dzięki, raczej nie skorzystam. - Pies wzgardliwie pokręcił nosem.

- Skoro istnieją wampiry, to logiczne, że potrzebni są też łowcy wampirów. Hyp... - student czknął potężnie. - A że w socjalistycznym kraju łowców nie ma i z przyczyn ideologicznych być nie może, to widać padło na mnie.

Suka spojrzała na niego jak na idiotę.

- A co myślisz? Sam ją zlikwiduję, ku chwale Partii i dla bezpieczeństwa kraju. - Wypiął dumnie chuderlawą pierś. - I dla dobra marksizmu zachowam to w ścisłej tajemnicy - uzupełnił.

- Na mnie w każdym razie nie licz - odezwał się pies. - Zostaw tę flaszkę i idź już lepiej spać.

Radek drgnął zaskoczony. Teraz dopiero zorientował się, że coś jest nie tak.

- Luna, to ty umiesz mówić!? - wykrztusił.
- No co ty? Zgłupiałeś? - zirytowała się. - Czy Lenin pisał o mówiących zwierzętach?
- Nie pisał - odparł po chwili.
- No to sam rusz głową. To, o czym nie pisał Lenin, po prostu nie istnieje.
- Ale przecież... - Uszczypnął się.
- To tylko delirium - poinformowało go zwierzę.
- Kładź się, a rano pobiegiesz do biblioteki. Może coś znajdziesz...



Marek i Gosia rozłożyli parasole i wyszli z bramy kamienicy w deszcz. Dochodziła dwudziesta. Latarnie paliły się jedną trzecią mocy. Stanęli na przystanku. Trzynastka nadjechała po chwili. Dziewczyna skasowała bilet, jej towarzysz miał miesięczny. Zasiedli na nowoczesnych plastikowych siedzeniach i pojazd, poskrzypując, ruszył. Mijali sypiące się elewacje. Szyny przecięły kawał nieużytków, a po chwili po lewej zabłyśły światła dworca Warszawa Wschodnia. Dosiadło się tylko paru pasażerów. Instynktownie zajęli miejsca jak najdalej od pary krwiopijców. Tramwaj, skrzypiąc osiami i brzęcząc obluzowanymi szybami, toczył się wzdłuż „jamnika” vel

„glizdy” - długachnego gierkowskiego bloku mieszczącego na parterze kilkanaście sklepów.

- Opowie pan coś o tym człowieku, którego mamy wynająć? - poprosiła. - Czemu hrabia aż tak się sprzeciwiał?

- To stary muzealnik. No, nie taki stary - zreflektował się. - Ze sześćdziesiąt lat ma. Albo i to nie. Tylko grube szkła w okularach dodają mu wieku. No i ten trupowaty wehikuł, którym jeździ.

- Trupowaty wehikuł?

- Ma samochód, wartburga znaczy. Zapomniał zabezpieczyć na zimę wazeliną i sól zżarła karoserię. Wkleił łaty, gdzie tylko mógł, polakierował, ale dużo to nie dało. Autko wygląda teraz jak dzieło jakiegoś Frankensteina. Już ze trzy razy milicja odholowywała go na złomowisko... Facet musiał płacić łapówki, żeby odzyskać grata.

Gosia wytrzeszczyła oczy.

- To Pan Samochodzik istnieje naprawdę? - przypomniała sobie czytana w podstawówce książkę. - Myślałam, że to fikcja literacka...

- Lepiej, żeby to była fikcja - westchnął Marek. - Rzeczywistość bywa... Jak by to powiedzieć... Bardziej wyrazista. Wiesz, pisarze wszystko potrafią przekreślić, a jak piszą dla dzieci, to jeszcze cenzurują, jakby ich amok ogarnął.

- Co cenzurują?

Nie odpowiedział, wrzucił tylko ramionami. Jechali ulicą Targową. Minęli „Prażankę”, a po chwili pocztę. Cerkiew stała ciemna i niepokojąca, tylko po oknach widać było słaby poblask światła. Park Praski, Wisła i po chwili byli już przy Starówce. Dłuższą chwilę wędrowali mokrymi i ciemnymi zaułkami. Wreszcie weszli przez odrapane drzwi małej kamieniczki. W sieni cuchnęło stęchlizną. Wdrapali się na ostatnie piętro. Ślusarz zapukał do drzwi. Odpowiedziała im głucha cisza.

- Chyba nie ma go w domu - zauważyła Gosia.

- A gdzie by poszedł? Przecież nie do muzeum. O tej porze już zamknięte. W robocie też

nie siedzi, już fajrant...

Marek załomotał silniej.

- Wejść! - rozległ się zachrypnięty głos.

Ślusarz nacisnął klamkę i weszli do wnętrza. Znaleźli się w ciasnym przedpokoju z wnęką kuchenną. Obok był salonik, a zarazem jadalnia i sypialnia. Stół, tapczan i regały z książkami wypełniały go na sztywno. Całą jedną ścianę pokoiku zajmowały reprodukcje kobiecych aktów. Większość była niewielka i czarno-biała - najwyraźniej powycinano je z gazet. Gospodarz siedział przed nimi w fotelu. Mebel obito niegdyś czerwonym pluszem, obecnie tkanina poszarzała i wytarła się. W dłoni trzymał szklankę. Opróżniona do połowy butelka wódki stała na stole. Obok w powyginanej niebieskiej blaszanej misce piętrzył się ogromny stos niedopałków. Pod sufitem unosił się gęsty welon dymu ze sportów.

Na fachowca to on raczej nie wygląda, pomyślała dziewczyna.

Pan Tomasz był prawie łysy. Twarz zdobiły mu okulary o mocnych szklach i trzydniowy zarost. Miał na sobie zielony, powyciągany szlafrok, tu i ówdzie naznaczony dziurkami wypalonymi papierosem. Stopy oparł na wyliniałym pufie, brudne paznokcie sterczały przez dziury w przetartych skarpetkach.

- Czego chcesz, wampirku? - zwrócił się do ślusarza. - Zajęty jestem. Widzisz, jak przystało na historyka sztuki, obcuję z arcydziełami ludzkiego geniuszu, a zarazem kontempluję piękno ciała kobiecego, uwiecznione na płótnie przez najznamienitszych artystów wszelkich czasów i narodów.

- To niezwykle szlachetne zajęcie - uśmiechnął się gość - ale proponuję przerwę. Jest robota.

- Robota? - Mężczyzna spojrzał na niego przez okulary. - Chyba nie jestem zainteresowany. Kierowanie śmieciarką to odpowiedzialne zajęcie. Nie mogę znowu zawieść kolektywu i zawalić tylko z powodu jakiejś marnej fuchy za kilka groszy.

- Zapłacimy, ile będzie trzeba.

- Czyli konkretnie, jak dobrze płatna? - Oczy fachowca na chwilę straciły maślany wyraz.

- Trzydzieści dolarów za odnalezienie pewnej księgi.

- „Dracula” Brama Stokera, pierwsze wydanie, z Chicago? Wiedziałem, że wcześniej czy później po to przyjdziecie. Już znalezione. Stoi na regale pod oknem. Tylko kosztować będzie nie trzydzieści, a trzydzieści pięć. - Historyk dołał sobie wódki. - To jak za darmo, biały kruk. Nawet Biblioteka Narodowa tego nie ma.

Teraz dopiero ujrzał, że Marek nie przyszedł sam. Zamarł ze szklanką w połowie drogi do ust. Gapił się na Gosię jak sroka w gnat.

- Widzę, że przyprowadziłeś ze sobą malutką przekąskę. - Uśmiechnął się.

Gosi nie spodobał się ten uśmiech. Był dziwnie drapieżny. A przecież Marek nic nie mówił, że ten koleś jest wampirem.



- Siadajcie. - Pan Tomasz machnął ręką w nieokreślonym kierunku. Marek usiadł na tapczanie, Gosia przycupnęła na przedwojennym krześle.
- Przejdźmy do rzeczy - powiedział ślusarz.
- Cena jest ostateczna. - Muzealnik stanowczym gestem uniósł dłoń.
- Tylko że nie tej pozycji szukamy - wyjaśniła dziewczyna.
- Nie tej? - zdumiał się. - Zatem „Wampir” Polidorigo, legendarne pierwsze polskie wydanie? - pan Tomasz rzucił kolejną propozycję. - Boję się, że temat kompletnie nie do

ugryzienia. Na wzmiankę o istnieniu tej książki natrafił Estreicher, ale nawet on nie zdołał nigdy potwierdzić, że istniała faktycznie... Takie poszukiwania mogą potrwać i pół roku. Biorę to zlecenie. Po trzydzieści dolarów za miesiąc, to będzie razem... - rozmarzył się.

- To nie ta książka - przerwał Marek. - Szukamy pewnego manuskryptu.

- A zatem to może być tylko... Hmm... Rękopis „Wampira” Władysława Reymonta został spalony przez hitlerowców w podziemiach Królikarni - stwierdził autorytarnie pan Tomasz. - Czyżbyście znaleźli jakąś informację, że jednak ocalał? - ucieszył się. - No, to jest prawdziwe wyzwanie dla takiego geniusza jak ja! Na ile wiarygodne są te dane?

- A może, zamiast zgadywać, posłucha pan, czego szukamy? - prychnęła Gosia.

- Ależ oczywiście. - Uśmiechnął się do niej znowu trochę zbyt serdecznie. - Mówcie, proszę.

- „Necronomicon” - rzucił ślusarz.

- Co takiego? Nigdy nie słyszałem tej nazwy. Sprawdzaliście w Bibliotece Narodowej?

- Nie, nie sprawdzaliśmy - westchnął ciężko Marek. - A sądzi pan, że warto?

- Tam mają niemal wszystko. Chyba że zagraniczne, wtedy lepiej zacząć od uniwersyteckiej. A tak właściwie, co to takiego?

Zaczęli opowiadać. Słuchał uważnie, coraz bardziej podekscytowany. Nawet butelkę z wodą zakręcił.

- Doskonale - powiedział wreszcie. - Oto wyzwanie godne takiego geniusza jak ja! Znajdę wam tę książkę za... - zamyślił się. - Pięćdziesiąt dolarów. Połowa oczywiście jak zwykle z góry.

A, i warunek dodatkowy: panna... eee...

- Małgorzata - odpowiedziała.

- Panna Małgorzata będzie mi towarzyszyć. Potrzebuję w tej trudnej misji pomocy młodej, zdolnej asystentki. No, przynajmniej po lekcjach, jakby mogła...

- Mogę nawet rano. Wampiry nie chodzą do szkoły - wyjaśniła. - O której zaczniemy?

- Rano to ja śpię. Jutro o jedenastej tutaj.

- Przyjdę.

- No to jesteście umówieni. A ja dopiję tylko tę reszteczkę - przelał kolejną porcję wody do szklanki - i do jutra będę na chodzie.

Pożegnali się i wyszli.

- On jest wampirem? - zapytała Gosia, gdy schodzili po schodach.

- Skąd ten idiotyczny pomysł?

- No bo zobaczył mnie i powiedział to o przekąsce... I tak patrzył, jakby chciał się na mnie rzucić i pożreć...

- Miał na myśli przekąskę erotyczną, stary, lubieżny satyr. To właśnie za alkoholizm i rozkład moralny wyleciał z PZPR. Żadnej nie przepuścił. Aż wreszcie przebrała się miarka.

Klepnął sekretarkę ministra w pośladek. Jak się do niego dobrali, to tylko wióry leciały.

Paradoksalnie, dzięki temu dokonał odkryć, które potem, nieco ubarwione, opisano w książkach.

- Dzięki temu? - nie zrozumiała.

- Wyleciał oczywiście z gabinetu w ministerstwie i skierowali go do najgorszej możliwej roboty. Jeździł po prowincjonalnych muzeach i robił w nich inwentaryzacje. No i tam w magazynach regularnie odkrywał zabytki, które uchodziły za zrabowane przez hitlerowców.

Mało brakowało, żeby przywrócono go do członkostwa w Partii, ale...

- Co się stało?

- Smutna historia. Nadepnął na odcisk partyjnemu bonzie z Elbląga. Dygnitarz, jak przystało na komunistę, zajmował się na boku prywatną działalnością. Miał udziały w kilku pracowniach produkujących wyroby z bursztynu. Pan Tomasz po prostu za dużo gadał.

Twierdził, że te warsztaty przerabiają jantary nie z normalnych lewych poszukiwań, ale zawartość trzydziestu siedmiu poniemieckich skrzyń znalezionych po wojnie w piwnicach Komitetu Wojewódzkiego pzpR.

- Chce pan powiedzieć, że partyjniacy z Elbląga znaleźli Bursztynową Komnatę i pocięli ją na wisioriki!? - Wytrzeszczyła oczy.

- A czy ja coś mówię? - Marek wzruszył ramionami.

- W każdym razie pieklił się, aż się doigrał. Wylali go z kolejnej roboty. Teraz siedzi w stolicy i póki nie podłapał fuchy w MPO, miał kłopoty z milicją i status uchylającego się od pracy. Teraz robi za kierowcę śmieciarki. W każdym razie jak będziesz z nim biegać po mieście, uważaj, żeby nie lał do ciebie w łapami. Trzymaj go na dystans.

- *Sure.*



Pierwsza i najważniejsza rzecz - przykazał sobie Radek - to pogłębienie wiedzy i przygotowanie planu działania. Zatem...

Gmach Biblioteki Uniwersyteckiej kusił. Student ruszył w jego stronę. W szatni zostawił płaszcz i teczkę i tylko z notatnikiem w ręce wspiął się po schodach na samą górę - ku katalogom.

Zaczął od rzeczowego i, niestety, srodze się rozczarował. Fiszek poświęconych wampirom nie znalazł wcale. Próbował szukać w podkatalogach, ale i to nie przyniosło żadnych efektów.

- Myśl, myśl, myśl - przykazał sobie.

Ale nic nie wymyślił. Zszedł na pierwsze piętro i zajrzał do czytelnicy. Pech chciał, że dyżur pełnił akurat Robert. Student skrzywił się w duchu. Znali się od podstawówki i raczej nie pałali ku sobie sympatią. Gdy Radek starał się kontynuować czerwone tradycje swego rodu, Roberta pociągała wyłącznie ta ciemna, kapitalistyczno-faszystowska strona Mocy. Ale czego się spodziewać po dzieciaku pary solidaruchów, mającym w dodatku wujka w USA?

- Cześć, stary komuchu - powitał Radka.

- Co podać? Marksa, Engelsa czy Lenina?

- Odwal się... Albo nie!

Wieczorna rozmowa z suką, nawet jeśli była tylko urojeniem, niosła pewne cenne spostrzeżenia natury ogólnej. Lenin nie pisał o gadających psach, bo takowe nie istnieją. Ale skoro istnieją wampiry, to siłą rzeczy Lenin napisać o nich musiał!

- Potrzebuję ostatniego tomu Lenina. Tego, w którym są indeksy.

- To wydanie z medalionem tłoczonym w okładce? Stoi w podręcznym.

Dał legitymację i odebrał blaszkę z numerem miejsca. Przeszedł do sąsiedniej czytelnicy. Rozejrzał się po regałach, zaraz wypatrzył szarozielone pseudoskórzane grzbiety. Złapał ostatnie dwa tomy. Przy okazji wziął też indeks do pism Stalina.

Miał rację! W indeksie słowo „wampir” było. Wypisano odnośniki do co najmniej kilkunastu tomów!

Radek wybrał odpowiednie woluminy i zaczął kartkować. Już pierwszy rzut oka okazał się strzałem w dziesiątkę.

„Kapitalistyczne wampiry” - przeczytał ucieszony.

Chłopak zagłębił się w treść. Niestety, mimo obiecującego tytułu artykuł okazał się mało przydatny. Lenin najwyraźniej używał słowa „wampir” w znaczeniu czysto przenośnym.

Dwie godziny później student wrócił do stolika dyżurnego.

- Mam problem - westchnął.

- Organizacja partyjna na pewno ci pomoże. Na mnie oczywiście nie licz. Już w podstawówce cię nie znosiłem.

- Zamknij się, kopany reakcjonisto.

- A jaki problem? - niedobitek nzs zaciekawił się jednak. - Chciałeś indeksy do Lenina.

Lenin napisał przecież o wszystkim. I o tym, o czym miał pojęcie, i o tym, na czym się zupełnie nie znał... A może chciałbyś zajrzeć do „Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej”?

- „Radzieckiej!” - warknął Radek. - Jesteś geniuszem!

Pognał między półki, ignorując ścigający go tłumiony chichot. Po chwili wrócił jeszcze bardziej skwaszony.

- Nie znalazłeś? - Obłudnik Robert zrobił minę pełną fałszywego współczucia. - Cóż to za zagadnienie, o którym nie piszą klasycy marksizmu, ani nawet kompendium wszelakiej wiedzy?...

- Daruj sobie - zachnął się chłopak. - Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o wampirach.

- Fiu, fiu, a nie wywałą cię za takie zainteresowania z organizacji? - kpił Robert.

- W sensie zabobonu oczywiście - warknął Radek. - Jesteś na kulturoznawstwie. Możesz coś polecić?

- Absolutną klasyką gatunku jest powieść Brama Stokera „Dracula”. Z tego, co wiem, biblioteka tę książkę posiada. Może wydawca dodał jakiś wstęp albo posłowie.

- Dzięki! - Powędrował znowu na górę do katalogów.

Dziesięć minut później z kwaśną miną składał rewers.

Wspomnianą książkę biblioteka miała tylko w wersji rosyjskojęzycznej.



Dochodziła jedenasta. Gosia zapukała do odrapanych drzwi.

- Wejść! - dobiegło ze środka.

Pan Tomasz wstał najwyraźniej wcześniej, umył się, ogarnął, wbił w całkiem przyzwoity garnitur, a teraz wiązał pod brodą zagraniczny krawat. Był nawet niemal ogolony.

- Gotowa? Za pięć minut wyruszamy. Tylko autobusem pojedziemy, bo jeszcze by mnie z alkomatem przydybali, a prawo jazdy już dwa razy traciłem...

- To bardzo przykre - rzuciła, by podtrzymać rozmowę.

- To miło, że tak sądzisz. Bardzo doceniam twoją troskę. Bo widzisz, od dawna jestem niewinną ofiarą milicji obywatelskiej - chlipnęła. - Prześladowają mnie, łajdaki...

- ZOMO pana złało pałami?

- Wiesz, co roku latem jeździłem w Polskę szukać przygód. Kocham nasz kraj, a paszportu i tak mi nie dawali... No i jakoś się tak parę razy złożyło, że rozbijałem namiot w pobliżu obozów harcerskich. Przyjemnie było patrzeć, jak się młodzież kulturalnie bawi. Ogniska odbijające się nocą w rzecznej fali, śpiewy pobrzmiwające echem, brzdąkanie gitar w nocnej ciszy, nastoletnie harcerczki pluskające się nago w blasku księżycy... Godzinami potrafiłem

leżeć w trzcinach i cieszyć oczy. Nie miałem nic złego na myśli - zastrzegł od razu. - Jestem tylko skromnym, cichym, wrażliwym koneserem pięknego ciała...

- Ale milicja nie uwierzyła?

- W zasadzie te cztery pierwsze razy to nawet uwierzyli, że siedzę w trzcinach zupełnie przez przypadek. -Skrzywił się. - Ale jak mnie po raz piąty wywlekli za nogi z krzaków, coś kopanych służbistów podkusiło i sprawdzili w centralnym rejestrze... A sama wiesz, jak na kogoś zagną parol, to już się nie odczepią...

Spod stosu gazet wyciągnął sfatygowaną czarną teczkę i grzebał w niej, jakby selekcyjując zawartość.

- Całowałaś się już kiedyś z chłopakiem? - zainteresował się nieoczekiwanie.

- Jeszcze nigdy - zełgała gładko. - A bardzo bym chciała tego spróbować. Bo tylko wiem, że coś się przy tym robi z językiem i podobno to bardzo przyjemne -westchnęła niby to smutno. - A może pan by mnie nauczył? - zapytała cichutko i nieoczekiwanie uśmiechnęła się szeroko, prezentując kły, na wszelki wypadek i górne, i dolne.

Starego lubieżnika z wrażenia aż rzuciło do tyłu. Maślane spojrzenie w jednej chwili zamieniło się w przerażony wytrzeszcz. Na skroniach zaperlił się pot.

- No tak - bąknął. - Ja, eee... Nigdy nie odmawiam pomocy, ale, eeee... Dzisiaj nie mogę, coś mi się warga paskudzi, nie chcę cię zarazić opryszczką... Opracujmy sobie w takim razie konkretny plan poszukiwań - zmienił szybko temat. - Zaczniemy od Biblioteki Uniwersyteckiej. Tam mają w dziale dokumentów życia społecznego przedwojenne książki telefoniczne. Ustalimy, gdzie ten Szot mieszkał, i rozejrzemy się trochę w tym miejscu. Może znajdziemy jakiś ciekawy trop.

Zabrzmiało to zaskakująco sensownie. Pan Tomasz zatrzasnął aktówkę i wyszli z mieszkania. Po chwili jechali już potwornie zatłoczonym autobusem D w stronę uniwersytetu.

- O, ministerstwo. - Wskazał gestem mijany budynek.

- To stąd mnie wylali. Ale do czasu. System socjalistyczny nie przetrwa następnej dekady! - nieoczekiwanie podniósł głos.

- Jeszcze wrócę tu na marmurowe korytarze i jako ofiara reżimu od razu na stanowisko wiceministra!

Wszystkie rozmowy w autobusie ucichły jak ucięte nożem, a zbity tłum nieoczekiwanie przestał napierać.

- Mam rację, no nie? - pan Tomasz zwrócił się do zażywnego jegomościa siedzącego najbliżej.

- No - bąknął tamten i czym prędzej czmychnął na koniec pojazdu.

Pan Tomasz zadowolony zajął zwolnione miejsce. Wysiedli na następnym przystanku.

- Nie lubię stać jak jakiś kołek - wyjaśnił Gosi.

- Dobra gadka, trochę psychologii tłumu i zawsze mam miejsce siedzące - zachichotał.

- Dopóki jakiś ubek nie usłyszy - zgasiła go celnie.

Weszli przez bramę na teren uczelni. Wokół przetaczał się tłum studentów.

- Zaczekaj tutaj. - Pan Tomasz wskazał ławkę przed budynkiem biblioteki.

- I nigdzie się nie ruszaj. Wracam za godzinkę albo dwie.

I znikł wewnątrz. Gosia westchnęła.

- I po kiego grzyba byłam mu potrzebna? - Pokręciła głową, a potem wyciągnęła z torebki robótkę i zabrała się do dalszego pracowitego dziergania rękawiczki. -Co za czasy parszywe - mruzczała. - Na Zachodzie to się wchodzi do tego, no... a! sex shopu i kupuje, a tu męcz się, człowieku.

Przymierzyła. Nawet nieźle jej szło.

Jeszcze ze dwa dni i sięgnie do łokcia. Potem druga, na lewą rękę... Stanik już mam, do tego zrobię koronkowe majteczki, może nawet cały gorset, dumiała. Jako hrabianka powinnam mieć odpowiednią bieliznę.

- O kurde! - usłyszała jęk.

Podniosła głowę.

- Cześć, Radek - warknęła.

- Yyy... - brat stracił zdolność artykułowania dźwięków.

- Może byś mnie chociaż przeprosił za tamtą cholerną strzelbę? - warknęła. - Mało mnie nie kropnąłeś!

- Ty... ty... ty... Ty upiorze! - wybełkotał.

- Jestem wampirem, a nie żadnym upiorem - parsknęła.

- O! - wyszczerzyła ząbki.

- Zobacz, nie rzucam cienia!

Popatrzył na płytki chodnika i zrobił się na twarzy jakby trochę zielony.

- Wwynoś siiii sii si... - próbował wydobyć głos z gardła.

- Bo co mi zrobisz? Jako wampir jestem niewyobrażalnie silna. Jedną ręką położę dwudziestu takich jak ty. Chcesz się przekonać, to gnaj po swoich kumpli z zsp. Tylko ciekawe, co im powiesz - zakpiła. - Bo jak zaczniesz gadać o życiu pozagrobowym, to cię wyleją. Wiara w byty bionekrotyczne stanowi element zabobonu religijnego. Organizacja ci tego nie wybaczy.

- Ja ć... ć... cię zaraz...

- Lepiej się zmywaj, jeśli chcesz żyć. - Posłała mu drapieżny uśmiech. - Bo wiesz, czekam tu na przyjaciela...

- Po... po... policzymy się jeszcze!

- Raz i dwa - zakpiła. - A zaraz może być tylko raz.

Zmył się jak niepyszny. Wróciła do dziergania rękawiczki. Odczuwała głębokie zadowolenie. Wreszcie pokazała głupkowi, kto tu rządzi. I co z tego, że jest od niej cztery lata starszy? Uciekał aż się kurzyło!

Pan Tomasz wynurzył się z biblioteki po kolejnej godzinie. Był wyraźnie zadowolony.

- Mam co trzeba - powiedział. - Zdobyłem adres tego całego Marcina Szota z książki telefonicznej wydanej latem trzydziestego ósmego. Sześciu ich było w tym czasie w Warszawie.

- To jak pan odgadł, który jest ten właściwy? - zdumiała się.

- Dedukcja, moja droga. Tylko jeden przed nazwiskiem miał literki „hr.”.

- A to nie mógł być na przykład skrót od słowa hydraulik? - zaciekała się.

- Teoretycznie tak - skrzywił się. - Ale w takim przypadku nie! Ruszamy tropić. Niezła rękawiczka - pochwalił jej robótkę. - Przydałyby ci się jeszcze pończoszki...

Poczuła wręcz, jak namolne spojrzenie przykleja jej się do łydki.

- Ma pan rację - podpuściła go. - Pończoszki kabaretki, a do tego podwiązki i oczywiście pasek do pończoszek. - Znowu pokazała ząbki.

Obłeśny uśmiech znikł jak zdmuchnięty. Stary muzealnik poblądł i wrócił do rzeczywistości. Odchrząknął.

- Jedziemy na ulicę Wójcika - polecił. - Tam podejmiemy trop.

- A jeśli się nie uda?

- To wymyślimy coś innego.

Wysiedli przy „Czterech Śpiących” i ruszyli Targową. Pan Tomasz milczał. Układał coś sobie w głowie. Skręcili w prawo. Przed „Prażanką” stała gigantyczna kolejka.

- Cie choroba - mruknął. - Chyba gruzińską herbatę rzucili. Tylko ogonek na dwie godziny stania, a mamy mało czasu...

- Dostanie pan za tę robotę dolary - przypomniała mu. - Kupi pan sobie prawdziwej herbaty w Peweksie.

- No tak... Z drugiej strony głupio tak dolary wydawać. Lepiej wsadzić do słoika i zakopać...

Szli zaśmieconym chodnikiem wzdłuż długiego ciągu przedwojennych kamienic.

- Paskudnie tu. - Dziewczyna wzdrygnęła się mimowolnie. - Te domy...

- Teraz paskudnie - westchnął. - Kiedyś to była naprawdę elegancka dzielnica. A oto i nasz adres. Do ataku.

Weszli w cuchnącą bramę. W zamierzchłej przeszłości wyłożono ją drewnianą kostką brukową. Przeszli przez rozklekotane drzwi, a potem po skrzypiących niemiłosiernie schodkach wdrapali się na drugie piętro. Pan Tomasz zastukał.

Skrzypnęły zawiasy i w szparze pojawiła się kobieta w wieku nieokreślonym.

- Czego tu? - Obrzuciła ich niechętnym spojrzeniem.

- Tomasz Nowak, Ministerstwo Kultury i Sztuki. - uśmiechnął się szeroko, pokazując nieaktualną już legitymację.

- Czy moglibyśmy zająć pani pięć minutek?

- ...no dobra...

Kobieta zatrzasnęła drzwi, by zdjąć łańcuch, i niechętnie wpuściła ich do środka.

- Czym mogę, eeee, służyć? - zapytała.

- Mam takie pytanie, mieszkanie, które pani obecnie zajmuje, należało przed wojną do znanego działacza kulturalnego polonii amerykańskiej, hrabiego Marcina

Szota - podjął pan Tomasz.

- Przygotowujemy wystawę poświęconą jego szerokiej i różnorodnej działalności.

Przeszli do pokoju. Gosia otaksowała kąty spojrzeniem. Wszystkie meble były w miarę nowe. Płyta pań-dzierzowa oklejona błyszczącym papierem nadrukowanym w słoje, udającym lakierowany fornir, który z kolei miał udawać woskowane lite drewno. Nawet podłogę wymieniono, a może tylko przyklejono pvc na parkiet?

- I co, u mnie niby ma być ta wystawa? - Właścicielka spojrzała na nich spode łba. - Chociaż, gadasz pan, polonijny był? No, jak dolarami zapłacicie, to może by się i dało zrobić.

- Nie, my w zupełnie innej sprawie. Problem w tym, że bardzo niewiele zachowało się pamiątek po nim. Pomyśleliśmy, że być może tu coś znajdziemy. Stare meble, dokumenty, zapiski, książki...

- Coś pan, tu nic takiego nie ma. Mieszkam tu od miesiąca. Było biurko, jeszcze przedwojenne, wielkie takie jak lokomotywa, po poprzednich lokatorach zostało, a może i starsze jeszcze. W podłogę wrosło, a ważyło tyle, że z miejsca ruszyć się nie dawało. Czysta dębina. Tom je sprzedała. Po kiego mi graty w domu?

- A komu pani sprzedała? - zainteresował się. - I co najważniejsze, kiedy?

- A co ja z tego będę miała?

Otworzył teczkę i wyjął rolkę papieru toaletowego.

- Drobnny dowód naszej wdzięczności.

Na widok deficytowego towaru oczy kobiety rozbłysły z trudem maskowaną chciwością.

- Trzy rolki - syknęła. - Albo dolara.

- Trzech nie mam - zasepił się. - To może dolara...

Wysupłał banknot z portfela. Kobieta stanowczym ruchem zabrała mu papierek, drugą ręką wyrwała rolkę papieru.

- Chwila! - zdenerwował się.

- Dolar i rolka, to moje ostatnie słowo!

- Niech będzie. - Gosia uspokoiła starego gestem. -A więc gdzie mamy szukać tego biurka?

- Na bazarze Różyckiego jest taki stary dziadek, który handluje różnymi gratami. Mebelkami znaczy. Z opaską na oku i bez dwu palców. Jego zapytałam. Przyszedł z dwoma takimi młodymi i zabrali. Dziesięć dolarów dał - pochwaliła się. - Dwu tygodni nie będzie...

- Dziękuję serdecznie za informację. - Stary muzealnik uklonił się głęboko. - Bardzo nam pani pomogła.



- Czy ta informacja jest cokolwiek warta? - zastanawiała się Gosia, gdy schodzili po trzeszczących schodach.

- Dlaczego nie? - zdziwił się pan Tomasz.

- Nie wiemy nawet, czy to było jego biurko.

- Na pewno jego - stwierdził.

- Wielkie i ciężkie, znaczy przedwojenne. Tu po wojnie nie mieszkał już absolutnie nikt, komu taki mebel mógłby się przydać. Dedukcja, moja droga. Nie czytałaś książek o Sherlocku Holmesie?

- Hmmmm...

- Poza tym skoro Ludwik Zęga dał za nie dziesięć dolarów, to znaczy, że warto było co najmniej setkę. Albo było warto dziesięć, ale i tak sprzeda za setkę. To stary praski cwaniak, kuty na cztery nogi stolarz kombinator.

- Zna go pan?

- No ba... Niejeden raz się z nim zdrowo uszarpa-łem, gdy jeszcze pracowałem dla ministerstwa. Ruszamy, szkoda czasu. W dwa tygodnie, jak się postarał, zdążył je ładnie odczyścić. Teraz pewnie szuka kupca.



Od strony ulicy Targowej na chodniku rozłożyła się forpoczta bazaru, kilku dziadków na stolikach i gazetach prezentowało deficytowe towary: gumki do wentyli, kostki pumeksu, gumowe rękawiczki. Pan Tomasz, pogwizdując pod nosem, minął ich niespiesznie. Przeszli przez bramę. Na placu stali naręczacy, trzymający oburącz po kilka par spodni.

- Co potrzeba? - zagadnął stojący tam dyżurny kombinator. - Może złoty łańcuszek albo zegarek elektroniczny? Nowiutki.

- A nawet jeszcze ciepły... - mruknął pod nosem muzealnik i zbył go uprzejmym gestem ręki.

Całą przestrzeń bazaru ciasno wypełniały budy i budki zbite z dech, pomalowane olejną farbą na zielono. Między nimi rozciągnięto płachty plastiku, rozstawiono stojaki i wieszaki.

- A niech mnie!

Gosia rozglądała się wokoło z rozdziawionymi ustami. Nigdy dotąd nie zapuściła się aż tutaj, ba, rzadko w ogóle bywała po tej stronie Wisły. Teraz zdumiona chłonęła obraz

nieprawdopodobnego dobrobytu. Setki tureckich jeansowych kurtek lśniły śnieżną bielą podpiniek z syntetycznego misia. Pęki szaliczków z akrylu w odblaskowych barwach połyskiwały w słońcu. Jakaś kobieta pospiesznie doszywała do skarpetek małe haftowane krokodylki.

Pan Tomasz szedł równym krokiem, kierując się wprost ku sercu targowiska.

- Karteczka, karteczka, karteczka - mamrotała zakutana w chustkę babina, siedząca na składanym stołeczku.

- Na mięso, na cukier, na maselko...

- I może jeszcze talon na fiacika? - zakpił.

Baba otaksowała go czujnym spojrzeniem.

- Talonów nie mam, ale za walutę mogę załatwić - powiedziała półgłosem.

- Karteczka, karteczka, karteczka - widząc brak zainteresowania, podjęła reklamę towaru.

Minęli stoisko z artykułami kolonialnymi. Gosia na widok bananów wytrzeszczyła oczy.

- Skąd oni to mają? - zdziwiła się.

- Ze sklepów dla ubecji albo z Peweksu - wzruszył ramionami muzealnik.

- W tym kraju niby nic nie ma i nic się nie da zrobić, ale jak trochę pokombinować, to wszystko jest i wszystko da się załatwić...

Niestety, buda Zęgi była zamknięta. Tylko do dech przyszpilono czarno-białe fotki przedstawiające różne mebelki.

- Jest i nasze biurczko. - Pan Tomasz wskazał jedną z nich. - Znaczy się już odpucawał na wysoki połysk i jest do kupienia...

- Skąd pan wie, że to nasze?

- Dedukcja, moja droga. Wielkie, ciężkie, dębowe i przedwojenne. Aż cztery cechy opisu pokrywają się z tym, co widzimy.

Dziewczyzna uśmiechnęła się w duchu, widząc zadufanie i bezkrytyczną pewność siebie starego muzealnika.

- Ale tego faceta tu nie ma... - zauważyła.

- Był rano, rozwiesił fotki i teraz gania gdzieś po terenie. Zaraz go namierzymy.

Dwaj bazarowi dzentelmeni na odwróconej beczce grali w trzy karty. Wokół stał tłumek podeksycytowanych frajerów. Wreszcie poszukiwacze doszli do wysokiego murowanego budynku mieszczącego komis. Na rogu nad walizką pełną przedwojennych groszaków siedział spasiony handlarz.

- ...bry - przywitał go pan Tomasz. - Szukam pana Zęgi.

- ...ry. - Mężczyzna skinął głową. - Kręci się gdzieś po placu. Jak zajdzie, to powiem, żeby się porozglądał.

Powędrowali dalej. Za budynkiem babiny w chustkach oferowały gołąbki, knedle i pierogi. Gotowe dania stały w wielkich słojach owiniętych szmatami. Chętnym kobiety nakładały jedzenie do plastikowych misek.

- Pyzy, gorące pyzy - zachęcała jedna.

- Jesteś głodna? - Pan Tomasz spojrzał na towarzyszkę z błyskiem w oku.

- Będę za jakieś trzy tygodnie - wyjaśniła. - Na razie upolowałam jednego i starczy... - urwała niepewna, czy wypada zagłębiać się w szczegóły.

- A, no tak. Zapomniałem. Wy nie jecie, tylko... Ale skoro już tu jesteśmy, to ja sobie coś wrzucę na ząb. To dobre żarełko, wedle starych receptur robione - powiedział, widząc jej zde gustowaną minę. - I pomyśl tylko, niektóre z tych kobiet stały tu jeszcze za cara. No, może za cara to nie. Ale przed wojną to na pewno. Wieczorem lepią, rano gotują i na bazar. I tak przez siedemdziesiąt lat. To jest doświadczenie!

- Ale warunki sanitarne...

- Toż we własnym domu gotują, no nie? A na tym bazarze rozbito głowę tyłu kapusiom z sanepidu, że dawno już żaden tu nie zagląda. Raporty z kontroli na Różycu piszą sobie w biurze. Mnie w każdym razie nigdy nie zaszkodziło nic, co tutaj jadłem.

Pogadał chwilę i z pełną michą stanął przy ścianie. Przybito tu mikroskopijną półeczkę dla ułatwienia konsumpcji.

- Przecież to... Ja bym się w życiu nie odważyła -mruknęła dziewczyna, patrząc, jak pałaszuje pyzy.

- To może pora choć raz spróbować? Skoro i tak nie żyjesz... - Puścił do niej oko.

Wymówiła się. Prawdę powiedziawszy, od przebudzenia w trumnie nic nie jadła. W ogóle nie miała apetytu.

Hmm - zadumała się. - My, wampiry, odżywiamy się krwią. Ciekawe, co by się stało, gdybym zjadła coś bardziej treściwego? Przeleci przeze mnie niestrawione czy jak?

Muzealnik pałaszował pyzy aż mu się uszy trzęsły.

- Ludzie nie wiedzą, co tracą - westchnął. - Delicje... Te sklepowe nie umywają się nawet do nich. Domowa robota. Cymes!

- To może pora się ożenić? - zasugerowała.

- Kobieta jest jak ruski bank. Wpłacasz pieniądze i nigdy już nie widzisz ich z powrotem - filozofował. -Zresztą może kiedyś się zdecyduje. - Po twarzy przebiegł mu jakiś cień.

Wolała nie drażnić tematu. Wytarł usta serwetką i ruszyli dalej. Przeszli koło sporej grupy handlujących złotem. Mężczyźni i kobiety stali rzędem, wysuwając do przodu lewe przedramiona. Na nich wisiały dziesiątki łańcuszków i bransoletek. Obok kilka kobiet rozczapierało palce gęsto pokryte złotymi obrączkami i pierścionkami.

- To niby ma być prawdziwe złoto? - zdziwiła się dziewczyna.

- Przynajmniej większość - odparł. - To jest bazar i czasem trafi się na jakąś minę...

Oczywiście stałego klienta raczej nie okantują, ale jeśli zobaczą, że frajer z daleka, to może być różnie. A czemu pytasz? Chcesz sobie coś kupić?

- Nie. Tylko tak się zastanawiałam, czemu to wszystko takie czerwone?

- Bo to złoto dukatowe. Przemysł z ZSRR - wyjaśnił. - Ruscy dodają do stopu więcej miedzi, stąd trochę inny kolor...

W uliczce prowadzącej w stronę ulicy Ząbkowskiej siedziała masa dziadków, weteranów bazarowego życia, handlujących wszelkiego rodzaju „antykami”, czyli przeważnie straszliwym szmelcem. Tu widziano Zęgę, zaglądał godzinę temu i pytał o szelak.

- Ciepło, ciepło - mruknął pan Tomasz.

- Co to jest szelak?

- Taka egzotyczna żywica używana do renowacji antycznych mebli. Nie do zdobycia w zasadzie, chyba że ktoś ma przedwojenny zapas. Skoro nasz klient szuka szelaku, to znaczy, że biureczko ciągle jest u niego i że jeszcze je dopieszcza, zanim komuś opchnie, albo że pucując mebelek, zużył zapasik i teraz musi go pilnie uzupełnić.

- Pasztecik, świeżutki, z dziczyzny - zachęcał wąsaty wiarus w zielonej pseudomyśliwskiej kurtce.

- Najdziksze, co ten pasztet widział, to chłopa z bagnetem w dłoni oprawiającego świnię... - burknął muzealnik pod nosem. - Istny łowca jeleni.

- Pasztet z jelenia? - zdziwiła się.

- Raczej dla jeleni - sprostował.

- Chyba rozumiem. To co w takim razie jest na tych kasetach? - Wskazała stoisko obok.

Piętrzył się na nim stosik kaset wideo opatrzonych tytułem „Łowca jeleni”, wystukany pracowicie na maszynie do pisania.

- A co ma być? Film taki z Robertem De Niro. - Jej przewodnik wzruszył ramionami i przyspieszył kroku.

Skołowana Gosia podążyła za nim. Zajrzeli do bukinistów, ale i oni nie widzieli Zęgi.

- Niedobrze - mruknął. - Dziad się przed nami chowa.

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Bo już byśmy na niego wpadli albo sam by nas znalazł. Ten bazar działa trochę jak żywy organizm. Wiesz, komórki czuciowe, nerwy, impulsy biegają... Układ współczulny, czy jak to się nazywa. Igłę wbijesz, mięsień się kurczy. Akcja i reakcja... A my jesteśmy taką szpilą.

- A mózg? - zaciekała się.

- Co mózg?

- Impulsy nerwowe zazwyczaj biegają do mózgu. Skoro bazar ma układ nerwowy, powinien też...

- Milicja nigdy tego nie udowodniła. No nic, jeśli nie znajdziemy go dziś, w najgorszym razie znajdziemy tu jutro. Poszukam jeszcze tylko gumy do podzelowania...

- Kurteczka dla córeczki - zachęcił go jakiś naręczniak. - Prawie nowa, szwedzka. Co ja mówię, „prawie”! Niemal zupełnie nowa, jeszcze nigdy nie była prana!

- To nie jest moja córka - warknął pan Tomasz.

- Nie córeczka... A, to w takim razie to będzie lepsze. - Niezrażony handlarz wyciągnął coś ogniście czerwonego, ozdobionego czarną koronką i intensywnie błyszczącymi cekinami. - Na wieczór, na rano. Figurę modeluje, plecki prostuje, cycusie podnosi. Prawdziwy gorsecik prosto z francuskiego...

Ale oni szli już dalej.

- Uwaga, kupujący! Mówi milicja! - wychrypiął nieoczekiwanie megafon. - Informujemy o rozpoczęciu akcji sprawdzania tożsamości. Wszystkie wyjścia są obstawione! Prosimy o stopniowe opuszczanie placu. Wszyscy wychodzący będą legitymowani i rewidowani. Sprzedawcy zobowiązani są do pozostania przy swoich stanowiskach.

Tłum zamarł na ułamek sekundy i ruszył jak zacięty batem. Wybuchło istne piekło. Handlujący z ręki cisnęli towar na ziemię i wmieszali się w tłum, udając klientów. Masa ludzka runęła w panice wąskimi zaułkami wśród budek, usiłując zwać bramami na ulice Ząbkow-ską i Brzeską, ale i tam stał szczelny kordon błękitnych mundurów. Kilka kramów pospiesznie zatraskiwano.

- Mówił pan, że bazar ma system nerwowy. - Gosia rozejrzała się wokoło. - I że jest jak zwierzę...

- Zła analogia może - zadumał się muzealnik. - Bazar jest jak kopiec mrówek - rozważał.

- I właśnie stado dzików przyszło go rozgrzebać. Masz jakieś dokumenty? Legitymację szkolną czy coś?

- No skąd miałabym mieć? W domu zostały. Poza tym oficjalnie nie żyję...

- Czyli lepiej, żebyś nie wpadła w ich łapy... Ajaj... No to mamy problem, bo ja też powinienem teraz być w robocie.

- Może jak wyszczerzę zęby...

- To co?

- No, kły mam. Uciekną i przejdziemy?

- Dziecko, to socjalistyczni milicjanci. Nawet nie wiesz, jak im na szkoleniach mózgi piorą. Duchy, wampiry, upiory, wróżki, czarodzieje dla nich w ogóle nie istnieją. Nie uwierzą w twoje istnienie, nawet jak kilku zagryziesz. To do bólu typowi mugole.

- Kto to są mugole?

- No tacy, którzy nie wierzą w nic, co niezwykle. Klapki na oczach. Racjonaliści-ateiści.

- Dziwne jakieś słowo... - zmarszczyła brwi.

- Anglicyzm chyba, nie wiem dokładnie, skąd to się wzięło ani jak to tłumaczyć na nasze.

Wokół rozgrywały się tymczasem dantejskie sceny. Ludzie zachowywali się zupełnie jak stado zwierząt zagonione w pułapkę. Jakiś dzieciak siedział i płakał, ktoś pospiesznie upychał dolary w cholewie buta.

- W razie stawiania oporu milicja bez wahania użyje broni! - zagrział megafon. - A zwłaszcza pałek!

Ludzie biegali w prawo i w lewo, szukając wyjścia z pułapki. Pan Tomasz pochylił się nad stosem porzuconego w błocie towaru. Wyciągnął miniówkę z tureckiego jeansu ozdobioną cekinami.

- Chyba twój rozmiar? - Rzucił Gosi.

Przymierzyła do ciała.

- No mój...

- Masz jeszcze spodnie, wygodniej ci w nich będzie hasać niż w tej trumiennej kiecce. Bierz, to wszystko i tak na zmarnowanie pójdzie... - westchnął i wygrzebawszy elegancką skórzaną teczkę, przesywał do środka klamo-ty ze swojej.

Owinął szyję tureckim szaliczkiem w kolorze odbłaskowej zieleni. Wygrzebał jeszcze parę spodni i sprawdzwszy metkę, zadowolony schował do nowej teczki.

- A teraz za mną - warknął. - Jeśli chcesz żyć... to jest, chciałem powiedzieć... A, pal diabli! - zirytował się.

- Idę, idę.

Poprowadził ją najbardziej usyfionymi zaułkami, wcinającymi się między najstarsze budy, aż wreszcie stanęli przed najbardziej zapuszczoną. Wyglądała na zamkniętą od dziesięcioleci. W błocie przed drzwiami stało kilku bazarowych cwaniaczków.

- Zenuś, no otwórz, ptaszyno, wiemy, że tam jesteś -prosił postawny bysior w skórzanej kurtce.

- Jestem, ale nie otworzę - dobiegło ze środka.

- Zenuś, ale otwórz, bo znowu puścimy ci budę z dymem - zasugerował drugi.

- Zrzucicie się, uzbieracie dwieście dolarów, to otworzę - warknęła buda.

- Zenek, łachmyto, otwieraj! - odwarknął pan Tomasz. - Przez wzgląd na stare czasy!

Drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha, w szparze łypnęło kaprawe oko.

- A niech mnie, przecież to Pan Samochodzik! Pan i córeczka wchodzicie oczywiście za darmo.

- To nie jest moja córka - wściekł się. - I skończcie wreszcie z tym idiotycznym przewiskiem. Wiem, że mój trabancik po połataniu trochę dziwnie wygląda, ale każdy jeździ takim autem, na jakie go stać!

- Córeczka czy nie, zwał jak zwał. - Zenek uśmiechnął się obleśnie i puścił oko do Gosi. - A wy - warknął do cwaniaczków - pliczek zielonych naszykowany?

- Pan Samochodzik - burknął jeden, odliczając papierki. - Co za czasy parszywe. Jak kto samochody z parkingów podprowadza, to za darmo lezie, a uczciwy cinkciarz musi walutą za ratunek bulić!?

Pan Tomasz, holując za sobą dziewczynę, przecisnął się wąskim przejściem wśród kartonów z cholera wie czym. W kącie budy czerniała dziura w podłodze. Zeszli po drabinie i znaleźli się w wąskim, ciemnym lochu.

- Co to za miejsce? - zapytała Gosia, rozglądając się wokoło.

Pod bazarem ciągnął się cały labirynt korytarzy. Połyskiwały latarki. Dziesiątki uciekinierów umykały gdzieś w mrok.

- No cóż, sama rozumiesz, że bazar, aby trwać, musi posiadać sprawny system pozwalający na ewakuację wybranych jednostek i najcenniejszych towarów. Tak jak w kopcu mrówek istnieją podziemne tunele.

Ruszyli przez mrok. Nieoczekiwanie dziewczyna poczuła czyjąś dłoń na swoim pośladku. Odwróciła się, kłapiąc wściekle zębami.

- Łapy przy sobie! - ryknęła.

- To nie ja!

Faktycznie pan Tomasz stał o dobre pół metra za daleko.

- Ktoś mnie smyrnął po tyłku!

- Pewnie duchy - wzdrygnął się. - Wiesz, w tych lochach pogrzebano niejednego wścibskiego ubeka...

Powędrowali dalej. Muzealnik najwyraźniej dobrze znał drogę. Po kolejnej drabince wyszli na powierzchnię. Znaleźli się w małej komórce. Drzwi zamknięte były tylko na haczyk. Po chwili byli na podwórzu czynszówki gdzieś przy ulicy Wójcika. W ślad za nimi z tuneli wychynęło jeszcze kilku cwaniaczków. W torbach i walizach wynosili ze strefy zagrożenia rozmaity towar.

- No i widzisz? Wykaraskaliśmy się - powiedział zadowolony pan Tomasz.

- Dziękuję za ratunek. - Uśmiechnęła się.

- A dostanę całuska? - Oczka znowu robiły mu się maślane.

- Jasne - syknęła drapieżnie.

- Co ty! Tylko żartowałem. - Odskoczył na bezpieczną odległość. - Ani mi w głowie deprawować niewinne dziewczęta!

Powoli doszli do Targowej. Po drugiej stronie ulicy, gdzie zaparkowały suki, aż się niebieściło od milicji.

- Mówiłem, że towar na zmarnowanie pójdzie... Tyle dobra! - rozpaczał muzealnik, widząc, jak funkcjonariusze ładują na ciężarówkę całe naręcza rozmaitych ciuchów. - No trudno, dziś już nic nie zdziałamy. Jutro o tej samej porze u mnie - zakomenderował. - Zęga się pewnie przyczai, to go dostaniemy w pracowni.

- Wie pan, gdzie on ma pracownię?

- Zmienia je jak rękawiczki, ale spoko. Znajdziemy...

Pożegnali się obok przystanku. Pan Samochodzik złapał sobie trzynastkę, Gosia poszła kawałek w stronę Kijowskiej i wsiadła do siódemki.

Teraz dopiero mogła obejrzeć ściskany pod pachą łup. Miniówka była fantastyczna. Kusa, szerokości przepaski biodrowej Aborygena. Dobry błękitny jeans, solidnie sprany do białego, nabity nitami. Spodnie też niczego sobie.

Kurde, będę w tym wyglądać lepiej niż Iwona, ucieszyła się. Nawet jeśli nie znajdziemy tego całego „Necronomiconu”, to i tak się opyla. Za poszukiwania buli Marek, a ja za bezdurno dwa fantastyczne ciuchy zdobyłam!

Ślusarz wrócił już z roboty. Ściągnął drelich, przebrał się, a teraz siedział w łazience, szorując ręce pastąbhp.

- I co ciekawego powiesz? - zagadnął podopieczną. - Jak wasze poszukiwania?

- Przecież to kompletny wariat! - wybuchła Gosia.

- Ale w jego szaleństwie jest metoda - uspokoił ją.

- No przyznam, namierzył mieszkanie tego całego Szota bardzo zgrabnie. Ale potem cały dzień tropiliśmy po bazarze jakiegoś Zęgę. Mało nas milicja nie spałowała.

- Zaufaj panu Tomaszowi.

- Już prędzej zaufam Urbanowi! Zamiast książki szuka jakiegoś biurka! W dodatku to

totalny zboczeniec!

- Zaczepiał cię?
- Chyba na szczęście nie lubi wampirów...
- Ale prezenty dał niezłe. - Rzucił okiem na ściskane przez nią fatalaszki.
- Podrywa cię.
- To są łupy, a nie prezenty - mruknęła i zaszyła się w pokoju.

Straszną miała ochotę, by przymierzyć ciuchy. Po chwili wyszła odmieniona. Gospodarz otaksował ją wzrokiem.

- Fiu, fiu - gwizdnął. - Oko można sobie zwichnąć. Sam szczyt waszej szczeniackiej mody... Zostajesz na noc?

- Pójdę spać do siebie - burknęła obrażona.
 - Jak sobie życzysz. Weź na drogę śpiwór, będzie ci wygodniej...
- Ściągnął z pawlaczka ortalionowy worek. Wzięła go bez słowa i wyszła.



Radek wrócił do domu wściekły jak osa. Luna na jego widok machnęła przyjaźnie ogonem.

- Co to się, kurde, porobiło? - wyklinał pod nosem. - Jak ten kraj ma funkcjonować, skoro nawet na kartki nie można kupić benzyny!

Spojrzał na psa, oczekując rady, ale ten milczał jak zaklęty. Student cisnął ze złością teczkę pod wieszak. Drzwi pokoju babci skrzypnęły i uchyliły się na szerokość łańcucha.

- A po co ci ta benzynka, wnusiu?
- Nie babci zakichany interes!
- A mnie się wydaje, że chciałeś jej użyć jako rozpuszczalnika dla wywabienia, jak to powiedzieliście, plamy na honorze partyjnej rodziny - zachichotała.
- Przeczytałem wszystko, co udało mi się zdobyć na temat wampirów - odparł już łagodniej. - Idę o zakład, że sypia w naszym rodzinnym grobowcu...
- Wysoce prawdopodobne - przyznała staruszka.
- I wydaje mi się, że pomysł miałeś zasadniczo dobry...
- Dobry czy nie, paliwa nie ma... Poza tym co to babcię obchodzi?
- Ano obchodzi o tyle - staruszka skrzywiła się niemiłosiernie.
- Że w tej akurat sprawie jesteśmy sojusznikami.
- A to dlaczego?
- A co ty sobie myślisz, smarkaczu? Jesteś zupełnie jak twój ojciec, trzęsiecie się tylko o dostęp do żłoba! I boicie się jedynie o własną czerwoną przyszłość! A ilu niewinnych ludzi ta mała wyssie, macie gdzieś.
- Eeee... Nie rozumiem. I ten sojusz?
- Ty chcesz ją ukatrupić, żeby ratować zadek, a ja w interesie ogólnospołecznym! - oznajmiła z godnością.
- Yyyyy. No to faktycznie interesy partii i ciemnogrodu są tu zbieżne. Ale coś za coś. Więc jeśli by przypadkiem w Wolnej Europie czy w Głosie Ameryki podali, gdzie w Warszawie można kupić benzynę, to niech mi babcia powie...
- Ech, ty kretynie.

Drzwi zatrzasnęły się, zazgrzytał zdejmowany łańcuch i wejście do sanktuarium starszej pani stanęło otworem.

- Właż! - warknęła.

Student onieśmielony przekroczył próg. Pokój przypominał nieco magazyn. Całą jedną ścianę zajmował regał, na którego półkach leżały stopy deficytowych dóbr. Były wśród nich ręczniki frotté, świece, pęki sznurowadeł, kryształowe wazony, flaszki ze spirytusem, paczki kawy i herbaty...

Rany, ma nawet czosnek!

Na widok tak obłądnego bogactwa poczuł kompletny zamęt w głowie. W życiu nie widział tylu deficytowych towarów naraz.

- Nafta jest równie dobra jak benzyna, a nawet lepsza, bo nie wybucha. - Staruszka podniosła kwiecistą narzutę, odsłaniając trzydziestolitrowy kanister drzemający w kącie.

- Skąd babcia to ma? - wykrztusił.

- Kupiłam jeszcze w siedemdziesiątym - wyjaśniła.

- Zaraz po wypadkach na Wybrzeżu zrozumiałam, że skoro trzeba strzelać do robotników, to niebawem przyjdzie taki czas, że nawet prądu w gniazdkach zabraknie. I nie myliłam się - warknęła. - To drugi. Pierwszy taki zbiorniczek już prawie zużyłam.

- I co...

- Ja jestem stara i słaba, więc zaniesiesz to na miejsce i odwalisz brudną robotę, a ja cię będę osłaniać.

- Osłaniać?

- No, jakby Gosia wyskoczyła z krypty.

- Babcia wyciągnęła spod łóżka skórzaną walizę, a z jej wnętrza pepeszę zawiniętą w natłuszczoną gazetę. Odwinęła broń i wydobywszy wycior, zaczęła czyścić lufę.

- Skąd babcia to ma? - powtórzył pytanie.

- Z wojny zostało. Pełno się tego wałalo po lasach. Kto miał łeb na karku, robił zapasy. Wprawdzie miało być na komuchów, ale mówi się trudno. - Staruszka z wprawą założyła magazynek bębnowy, a następnie przeładowała broń.

Wolną ręką podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła jakiś numer.

- Nadszedł czas - rzuciła do mikrofonu. - Za godzinę w umówionym miejscu.

- Jak? Kto? - jęknął Radek.

- Sami moglibyśmy nie dać rady, więc pomoże nam kilku moich przyjaciół z kółka różańcowego. Bańka na ramię i wymarsz! - Dźgnęła go lufą pepeszy w plecy.

Gdy Radek, sapiąc jak miech kowalski, przyczłapał pod czwartą bramę, było już prawie ciemno. Czekają już tu na nich ośmiu wąsatych starców w maciejówkach. Mieli na sobie długie prochowce. Student domyślił się, że też uzbroili się po zęby.

Rany boskie, jęknął w duchu, choć był ateistą. Nielegalna broń palna, działanie w zorganizowanej grupie przestępczej... Jak mnie milicja z nimi złapie, to piętnaście lat odsiadki mam jak w banku!

Wąsaty weteran, wyglądający na przywódcę oddziału, pchnął Radka lufą pistoletu Vis w żołądek.

- On mi wygląda na komuszkę - zauważył.

- Nie da się ukryć - burknęła babcia Adelajda. - A mówiłam tej lafiryndzie, mojej córce, żeby nie zadawała się z czerwonymi... No i są efekty. Wnuk bolszewik, wnuczka stała się wampirem... Ale cóż, rodziny się nie wybiera... Nasze cele w tej sprawie są zbieżne.

- Sypniesz, to cię spod ziemi wygrzebiemy - warknął stary, patrząc chłopakowi w oczy.

- No co pan, rodzina to dla mnie rzecz święta - bąknął Radek.

- Popatrz na kaprała Anzelma. - Babcia wskazała najniższego z weteranów.
- On jest u nas od mokrej roboty.

Ten typiek najmniej się studentowi podobał. Niski, gorylowatej postury, zamiast laską podpierał się długim trzonkiem pięciokilogramowego brukarskiego młota.

- Gotowi? Wyruszamy! - rozkazał dowódca.



Przyjemnie było po całym dniu biegania wyciągnąć nogi w wygodnej trumnie.

„Kochany pamiętniczku! - zanotowała Gosia w zeszycie.

- Od kiedy jestem wampirem, nie muszę chodzić do szkoły. Do tej pory nie wiedziałam nawet, ile czasu co dnia tak traciłam. Teraz dla odmiany mam go w nadmiarze i nie bardzo wiem, co z tym fantem zrobić, przecież nie da się szydełkować po dwanaście godzin na dobę, a na kino nie mam kasy”.

- A gdyby tak podpiąć się do latarni? - zamyśliła się.

- Zainstalować w krypcie normalne żarówki i gniazdko? Wtedy radiomagnetofon da się puścić, a jakbym na drzewie antenę zawiesiła, to i telewizor... Tylko jaki jest prąd w tych latarniach? Trzysta sześćdziesiąt może?

Uczone rozważania przerwało jej nerwowe łomotanie w blachę drzwiczek.

W pierwszej chwili kompletnie ją zatkało. Ktoś puka!/? Marek gadał kiedyś, żeby nie otwierać, bo to mogą być łowcy albo zombiaki.

- Kto tam? - zapytała.

- Hej, dziewczyno! Trzeba wiać! Obława! - odezwał się jakiś głos. Gosia uchyliła drzwiczki.

Kurka wodna, łódź podwodna, pomyślała. Ale ciacho...

Chłopak, który zakłócił spokój jej grobu, miał może osiemnaście lat i był obłędnie wręcz przystojny.

- Obława? - zdziwiła się głównie po to, by podtrzymać rozmowę.

- Wali tu oddział weteranów zak pod wodzą twojej babci. Niosą kanister nafty!

- Yyyy...?

- Chodu, dziewczyno, zaraz cię tu spalą!

Och, ratuj mnie, piękny księżę, westchnęła w duchu i zatrzepotała rękami.

Chłopak szarpnął ją za ramię, wyrrywając z transu. Kopnął w blachę, zatrzasnął drzwiczki krypty.

- Biegiem - syknął.

- Tam jest, ucieka! - zza krzaków rozległ się okrzyk.

Gosia rozpoznała po głosie babcię Adelajdę. W tej chwili ktoś wypruł serię z pepeszy. Zawirowały w powietrzu pożółkłe liście i gałązki krzewów. Kamienny anioł, otrzymawszy kulę prosto w serce, runął na wznak. Dziewczyna i jej wybawca przygięci do ziemi umykali jak zające. Weterani oczywiście puścili się w ślad za nimi, ale młode, zdrowe nogi okazały się lepsze. Tupot oficerek wreszcie ucichł.

Dziewczyna stanęła zadyszana.

- Mało brakowało - westchnęła.

- Nie dysz tak, bo sobie płuca porozrywasz.

- Co?
- Jesteś przecież wampirem. Nie musisz oddychać. Nie sap tak, bo nas usłyszą.
- Co? - powtórzyła.
- Nie sap. Nie oddychaj bez potrzeby. Nie jesteś zmęczona. To tylko przyzwyczajenie z czasów, gdy byłaś ciepła. Twoja krew nie krąży i nie przenosi tlenu, więc tak naprawdę wcale się nie zadyszałaś.

Na próbę wstrzymała oddech. Rzeczywiście. Pierś uspokoiła się od razu. Narastające odgłosy powiedziały im, że pościg wrócił na właściwy trop. Weterani przetrząsali cmentarz z wprawą, jakiej nabiera się tylko w partyzantce... Gosia i jej towarzysz znów umykali. Niespodziewanie chłopak szarpnął ją w bok za gruby pień drzewa. Wyrzała ostrożnie, by zobaczyć, co go zaniepokoiło. Z drugiej strony cmentarz przeczesywała tyraliera milicjantów z latarkami.

- Szlag - syknął.
- Nie wymkniemy się!
- Czy oni ze sobą współpracują? - jęknęła.
- Nie. Myślę, że ktoś zakapował glinom, że dziadkowie coś kombinują, albo milicjanci przypadkiem byli niedaleko i usłyszeli strzały na cmentarzu. Teraz robią oblławę. Będzie z tego nielicha zadyma...

- Co zrobimy?
Tupot podkutych buciorów zbliżał się coraz bardziej.
- Siadaj. - Popchnął ją na kamienną ławeczkę stojącą przed jednym z grobowców.
Zanim Gosia zdążyła się zorientować, objął ją ramieniem i zniemacka wpił się w usta. Próbowwała się wyrwać, ale nie dość, że trzymał naprawdę krzepko, to jeszcze unieruchomił ją, zaczepiając o kły swoje zęby. W dodatku dłoń chłopaka zdecydowanym ruchem spoczęła na jej kolanie.

A niech mu będzie! - pomyślała z rezygnacją i zaczęła swoim językiem szukać jego. Znalazła. O, do licha, co jest grane?

Zamiast przyjemnego mrowienia i oszołomienia czuła tylko idiotyczne łaskotanie.
W tej chwili oświetliły ich dwie silne latarki. Gliniarze. Jeden w milicyjnym mundurze, drugi tajniak po cywilnemu.

- A wy co tu wyrabiacie, dzieciaki?! - huknął milicjant. - Przeszkadzacie nam w ściganiu groźnych przestępców!

Chłopak puścił Gosię jakby przerażony.
- Och, panie władzo, błagam, niech pan nic nie mówi naszym rodzicom - zaskamlał. - Bo my...

- My się kochamy, a ojciec zabronił nam się spotykać. Jak się dowie, znowu mnie pasem spierze - dodała Gosia płacząco.



- Tylko tu, na

cmentarzu, możemy przez chwilę być razem.

- Wasze dokumenty! - burknął milicjant.

- Zostaw gówniarzy - powiedział towarzyszący mu cywil. - Nie ma czasu.

- Won do domu! - warknął gliniarz. - I nie płaczcie się tu o zmroku! Nocą na cmentarzu jest niebezpiecznie.

Nie kazali sobie tego dwa razy powtarzać, umknęli jak zające. Przed cmentarzem nieznajomy miał zaparkowanego mercedesika.

Nie dość, że przystojniak, to jeszcze dziany. Pewnie syn prywatnej inicjatywy albo badylarzy, pomyślała. I chyba wpadłam mu w oko...

Z kurtuazją otworzył jej drzwiczki. Wsiadła.

- Odwiozę cię do ślusarza Marka - powiedział wybawca. - Twój grób na Powązkach nie jest już bezpieczny.

- Co? Ach tak, do Marka... - przytaknęła roztargniona.

Liczyła na to, że zabierze ją do swojego domu. Ruszyli. Prowadził spokojnie, ale na jego twarzy malowała się dziwna melancholia.

- Nawet nie wiem, jak masz na imię - zagadnęła, gdy jechali przez most Śląsko-Dąbrowski.

- Grzegorz. Ale kumple mówią mi Greg - odparł. - A ty jesteś hrabina Małgorzata...

- Skąd wiesz?

- Wieści szybko się rozchodzą. Wystarczy dobrze ucho do nagrobka przyłożyć.

Nie była pewna, czy to żart, więc milczała. Po chwili jechali już po kocich łbach Ząbkowskiej.

- Jest i pan Marek. - Greg zaparkował przed samem.

Rzeczywiście ślusarz stał opodal, wpatrując się w oświetloną witrynę nieczynnej już księgarni. Słyszac hamujący samochód, odwrócił się w ich stronę.

- Kiedy się znowu zobaczymy? - wypaliła Gosia.

- Może jeszcze będzie okazja. - Grzegorz posłał jej smutny uśmiech. - Tylko mnie wtedy nie wyszuj.

Wysiadła. Jej wybawca najwyraźniej chciał uniknąć spotkania ze znajomym Gosi, bo wrzucił tylny bieg i umknął.

- Czego chciał od ciebie ten wilkołak? - zapytał surowo Marek.

- Wilkołak? - Wytrzeszczyła oczy.

- A myślałaś, że kto?

Zaczęła opowiadać. Słuchając jej, rozpogodził się.

- Uratował cię przed babcią... Nie sądziłem, że któryś z tej bandy jest zdolny do takiego altruizmu. Może dlatego, że to już jego czas zamknięcia - mruknął.

Ruszyli i niebawem byli na Kawęczyńskiej.

- Nie zadawaj się z wilkołakami - przykazał surowo Marek. - Mają swoje narowy.

- Kocham go - oświadczyła stanowczo.

- Zgłupiałaś? Jak już musisz kogoś kochać, to kupię ci nowe zdjęcie Limahla!

- Chrzanię Limahla! Greg jest ładniejszy, miłszy, fajniejszy, nie jest homo... - machnęła ręką.

- Mogę z nim chodzić na razie platonicznie!

- Dziecko, to bez sensu - westchnął Marek.

- Dlaczego bez sensu? - warknęła.

- Jest fajniejszy niż Limahl!

- On jest wilkołakiem - powtórzył z naciskiem.

- To co? Nie wolno nam się z takimi bzykać czy jak? A może ty jesteś jakimś rasistą? - zmrużyła oczy.

- Że to niby inny gatunek? Albo, ja wiem, zoofilia?

Ślusarz westchnął ciężko.

- No tak, ty nic nie rozumiesz... Zanim dojdzie do czegokolwiek... On ma już z osiemnaście lat.

- Faktycznie, nic z tego nie rozumiem! - naburmuszyła się.

- Wilkołak przy każdej pełni zmienia się w wilka. Wilki żyją podobnie krótko jak psy. Czasem szesnaście, czasem osiemnaście lat. Bardzo sędziwy może pociągnąć dziewiętnaście, a jeden na kilkaset, w zoo, pod opieką weterynarza, ewentualnie dwadzieścia.

- Ale ten chłopak...

- Chłopak starzeje się jak człowiek. Ale wilk w nim starzeje się jak zwierzę. Którejś nocy po prostu zmienia się w wilka, który jest za stary, żeby żyć.

- I rano znajdują go martwego... - szepnęła ze zgrozą.

- Nie, po prostu wilk w nim zdycha, a chłopak przestaje się zmieniać i od tej pory jest zwyczajnym ciepłym.

Gosia nie mogła się zdecydować, czy udawać nadąsaną, czy zrozpaczoną, więc gdy weszli do mieszkania, zaszyła się w mniejszym pokoiku i poszła spać.



Babcia i Radek zasapani wybiegli przez bramę od strony ulicy Tatarskiej. Cmentarz za nimi huczał jak gniazdo os. Pokrzykiwania milicjantów, szum cmentarnych drzew, ujadanie psów tropiących, wszystko to tworzyło nieznośną kakofonię. Przed bramą stał milicyjny polonez. Radek na ten widok zatrzymał się i z rezygnacją podniósł rękę.

- Co ty wyrabiasz, idioto? - parsknęła babcia.

Podeszła do auta i jednym uderzeniem kolby wybiła boczną szybę. Dwaj gliniarze siedzący w środku na ten widok rozdziawili usta.

- No co? Specjalnego zaproszenia potrzebujecie? - warknęła i wycelowała w nich pepeszę.

- Wypierdalać z wozu!

Obaj mundurowi umykali, że mało oficerek nie pogubili.

- Wsiadaj! - mruknęła staruszka, sadowiąc się za kierownicą.

- Trzeba się zmywać.

Wdusiła gaz do dechy. Po kwadransie student odzyskał zdolność rozumowania na tyle, by sobie obiecać, że już nigdy nie będzie lekcewał babcii.



Starego muzealnika Gosia zastała przy śniadaniu. Zrobił sobie jajecznicę na kielbasie parówkowej i teraz pałaszował aż mu się różowe uszka trzęsły.

- Wyobraź sobie, moja droga, znalazłem przed chwilą kawałek kości w parówce...

- I co z tego wynika? - nie zrozumiała.

- To niepodważalny dowód, że faktycznie wyrabia się je z mięsa! - zarechotał. - Mam adres pracowni Zęgi - pochwalił się.

- Jak pan go zdobył? - Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- Z czasopisma „Relaks i kolekcjoner polski” - wyjaśnił z dumą. - Wśród ogłoszeń drobnych znalazłem jego reklamę. Nie podpisał się wprawdzie, sukinkot, ale nie ze mną te numery.

- To jak pan się, u licha, domyślił!?

- Główka pracuje. Zęga to chytrus, jakich mało. Zawsze pracuje sam, żeby nie dzielić się z żadnym uczniem sekretami fachu. Obdzwoniłem wszystkie zakłady, które miały warszawski numer kierunkowy, i jak tylko usłyszałem jego głos, odłożyłem słuchawkę.

- Genialne. I był tam adres?

- Adresu nie - westchnął. - Ale wziąłem książkę telefoniczną i ustaliłem, jaka to ulica. Pół nocy mi zeszło, zanim znalazłem! - Puszył się jak paw.

- A jeżeli nie zechce nam oddać biurka?

- To najpierw dam mu w ryja, a jak nie pomoże, będziemy go torturować.

- Ale w książce czytałam, że pan się brzydzi przemocą! - zdumiała się.

- Wypisują o mnie różne pierdoły. Ani słowa prawdy - parsknął. - Ot, na przykład, że dżudo trenowałem.

- A nie trenował pan?

- Trenowałem, ale boks i kung-fu.

Zgarnął resztę jajecznicy z talerza wprost do paszczy, popił kawą zbożową i był gotów do drogi. Pół godzinki później wysiedli z czwórki przy ulicy Stalowej.

- To tutaj. - Muzealnik wskazał kamienicę. - Tu się zaszyl, stary lis... Pewnie tam, gdzie okno zabite dechami.

Faktycznie, na parterze mieścił się kiedyś sklepik. Obecnie witryna straszyla bielą sosnowych dech i rdzewiejącymi główkami gwoździ. Zakład stolarski nie miał od strony ulicy absolutnie żadnych oznaczeń. Pan Tomasz zapukał w okute blachą drzwi.

- Otwórz, wiem, że tam jesteś - burknął.

Drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. Zęga wyglądał dokładnie tak, jak go opisała kobieta.

- A niech mnie, to przecież Pan Samochodzik! - ucieszył się.

- I to jeszcze z jakąś ładniutką, młodziutką harcerczką. Widzę, stary nicponiu, że gusta wciąż te same.

- Przestańcie z tym debilnym przezwiskiem. A poza tym to nie jest harcerczka - odwarknął pan Tomasz. - Pokost ci gały wyżarł? Nie widzisz, pacanie, że mundurka nie ma?

- Nie mydl oczu, stary satyrze. Powiedz lepiej, co cię tu sprowadza. - Stolarz z lubieżnym uśmiechem zaprosił ich do środka.

- Zęga, sprawa jest taka - pan Tomasz od razu postanowił brać byka za rogi. - Albo współpracujesz, albo twoje życie skończy się tu i teraz, a w dodatku bardzo smutno.

- Ty mi grozisz? - zdumiał się stolarz. - Wszyscy wiedzą, że od kiedy zaczęłaś ostro tankować wóde, siadł ci i refleks, i siły masz tyle, co na pierdnięcie. No i każdy najdrobniejszy leszcz po tej stronie Wisły wie, że już nie pracujesz jako łapacz, tylko zdegradowali cię na kierowcę śmieciarki.

- Ja może się i zestarzałem, ale opacznie zrozumiałaś moją rolę. Jestem tu po to, żeby cię chronić. Przez wzgląd na stare czasy...

- Chronić? Stary, co ty pieprzysz? Z ubecją się zwał-chałeś czy jak?

- Na biurku, które ostatnio kupiłeś, zależy pannie hrabinie Bronawskiej. - Pan Tomasz machnął ręką w stronę Gosi. - A uwierz mi, ona nie cofnie się przed niczym. Tyle co jej wyperswadowałem, że może najpierw warto z tobą pogadać, spróbować załatwić po dobroci.

- Ja miałbym się przestraszyć tego dziecka? - Zęga skrzywił wargi. - Mam się bać czy śmiać?

- Mówiłam, że to bez sensu - Gosia bezbłędnie wczuła się w rolę. - Proszę zamknąć oczy, to nie będzie przyjemny widok.

A potem otworzyła buzię, prezentując kły. Śmiech stolarza przeszedł w podejrzany

gulgot. Zęga zamarł i gapił się kompletnie przerażony.

- Tittoo ttto ttto...

- Tak, Lucjanie. To wampir. Mówiłem: oddaj po dobroci. I co teraz? Zdechniesz przez ten głupi upór. Rób swoje, Małgorzato, ja nie patrzę. - Pan Tomasz teatralnie odwrócił się w stronę drzwi. - Dobry był fachowiec, niewielu dziś takich. Prawdziwy stolarz przedwojennej szkoły, ale jak to się mówi...

- Zaraz, po co tak nerwowo? - stary cwaniak odzyskał głos. - Biureczko jest w sąsiednim pokoju. Jeśli pani potrzebne od ręki, to zaraz znajomka z półcięża-rówką załatwię.

- Nie mydl oczu! - warknął muzealnik. - Dobrze wiesz, po co jej to biurko.

Zapadła świdrująca w uszach cisza. Wreszcie Zęga zrozumiał, że naprawdę nie ma wyjścia.

- Książka, która była w skrytce w błacie, też oczywiście do oddania... Nawet jeszcze nie czytałem. Bierzcie, co chcecie! Dołożę komplet przyborów... I wieczne pióro dla pani, prawdziwy przedwojenny waterman ze złożoną stalóweczką...

Nie minęło pół godziny i jechali na pace żuka. Pan Tomasz z zadowoleniem gładził intarsjowany blat biurka. Gosia ścisnęła oburącz starą płócienną torbę kryjącą „Necronomicon”. Okucie na każdym wyboju wbijało jej się w udo, ale nie zważała na to.

- Skąd pan wiedział, że w błacie mebelka będzie skrytka? - nie mogła wyjść z podziwu.

- Genialna intuicja, dedukcja i doświadczenie - puszył się detektyw. - Nie takie sprawy się rozwiązywało.

- A jakby tam nie było schowka? Albo gdyby był pusty? - zaintrygowała ją ta myśl.

- No to byśmy nie znaleźli. Albo poszukali gdzie indziej i tam znaleźli - tłumaczył mętnie.

- Ale szósty zmysł podpowiadał mi, że jesteśmy na dobrym tropie. Wpadnij kiedyś do mnie, opowiem ci moje przygody. Jakie wspaniałe dzieła w życiu odnalazłem, jak pierońsko skomplikowane sprawy rozwikłałem... Ta księga to był pryszcz, nie zdążyłem nawet dobrze pomyśleć i już była w naszych rękach - przechwalał się, aż obrzydzenie brało.

- W zasadzie po co zabrał mu pan ten mebel? - zainteresowała się.

- Przecież jeśli pan to wstawi do swojej kłitki, to już nic więcej się tam nie zmieści!

- Skoro Zęga sam dawał, to wziąłem. Dobre biureczka nie rosną na drzewach. Życie narażalem, więc należał mi się oprócz honorarium jeszcze jakiś dodatkowy deputat. Że się tak wyrażę, wynagrodzenie w naturze.

- W naturze... A nie wolałby pan na przykład małego całuska z języczkiem od nieletniej córeczki-harcerczki? - Uśmiechnęła się, puszczając do niego oko.

Muzealnik wzdrygnął się i pozieleniał na twarzy, ale nic nie powiedział. Kolor jego oblicza sprawił, że coś jej się przypomniało. Wydobyła z kieszeni resztę obiecanego honorarium. Przeliczył z nabożeństwem jednodolarowe banknoty i głęboko zadowolony schował je do kieszeni.

- Nawet miło robi się z wami interesy - powiedział ukontentowany. - Kupię sobie w Peweksie herbatę.



Wbiegła po schodach, przekreśliła klucz w zamku i wpa-rowała w podskokach do mieszkania Marka.

- Zdobyłam! - krzyknęła od progu. - Zlokalizowaliśmy pracownię Zęgi i odzyskaliśmy

księgę!

- Niemożliwe! - zdumiał się ślusarz, wyłączając telewizor. - Tak szybko?

- Miał pan rację! Facet zachowuje się jak wariat, woda sodowa mu do łba uderza, jednak to faktycznie prawdziwy geniusz. Trochę drogo liczy sobie za usługi, ale...

- Pies trącał! To dzieło jest cenniejsze niż garść głupich zielonych papierków!

Triumfalnie położyła wolumin na blacie stołu. Gospodarz zdmuchnął kurz wieków.

Księga była piękna. Rozmiarów atlasu geograficznego, ale dużo grubsza, oprawiona w czarną, najwyraźniej ludzką skórę. Mimo upływu dziesięcioleci okucia na rogach i krawędzie zamka lśniły złoceniami.

- Tu kryją się wszelkie mroczne sekrety bytów bionekrotycznych - szepnął Marek wzruszony.

- Dzięki tej księdze wampiry staną się niezwykłe...

- A my dwoje awansujemy zapewne na głównych pomagierów hrabiego - dorzuciła.

- A my pierwsi skorzystamy z mocy i wielowiekowej mądrości zawartych w tym dziele! - sprostował.

- Zanim hrabia Prut w ogóle dowie się, że je mamy!

Wyjął z etui dentystyczny drucik do dłubania w zębach i przez chwilę mocował się z zamkiem. Wreszcie otworzył i podniósł okładkę. Dziewczyna patrzyła zdumiona, jak jej opiekun przekłada kolejne pergaminowe karty.

- Co to jest, u diabła!?! - wykrztusiła.

Na każdej stronie znajdował się szkic głowy Murzyna wykonany w ołówku, data zakupu, cena, jakieś uwagi odnośnie do stanu zdrowia, opisy prób ucieczek, uwagi o smaku i walorach odżywczych krwi...

- Jasna cholera, to nie żadna tajna księga wampirzych sekretów, tylko kartoteka niewolników Szota z jego amerykańskiej plantacji! - Marek ze złością zatrzaskał tomiszcze.

Spojrzeli oboje na złożony napis wytłoczony w okładce.

- Ne-gro-no-mi-con - przesyłabizowała Gosia.



Druga krew



Gosia obudziła się kwadrans przed siódmą. Długo leżała, nie otwierając oczu. Wreszcie przemogła się tytanicznym wysiłkiem woli.

Trzeba wstawać, spakować plecak i wlec się do tej choleralnej budy, pomyślała leniwie.

Przeciągnęła się, aż stare łóżko polowe zaskrzypiało. Ten dźwięk przywrócił jej pamięć. Otworzyła oczy. Pobielony sufit, ładne przedwojenne meble... W okna bił ciężki jesienny deszcz.

Ach tak, jestem u ślusarza Marka na chacie, przypomniała sobie. Porządny koleś, ugościł i nawet nie próbował się do mnie dobierać... To pewnie dlatego, że jest trochę retro. Przedwojenne wychowanie, drobnomieszczańska moralność i tego typu burżuazyjne przesady. Przeciągnęła się raz jeszcze.

Ciekawe, swoją drogą, po cholere ten cały Marek chodzi do pracy? Może po prostu lubi? Z drugiej strony to nie takie głupie, pracuje, czyli dostaje kasę, a na żarcie nie wydaje, to i na luksusy różne sobie odłożył. A że czynsz płaci, więc żyje jak człowiek, nie musi po grobowcach sypiać.

Wygrzebała się ze śpiwora.

- Może i mieszkanie w trumnie jest romantyczne -ziewnęła - może i zgodne z wampirzą tradycją. Jednak trumna to nie to samo co prawdziwe łóżko. Cała ta wyściółka tylko dla picu, coby trupek ładnie wyglądał, a wygoda to rzecz drugorzędna, przecież nieboszczyk i tak nic nie czuje.

Rozejrzała się po mieszkaniu. W drugim pokoju było jeszcze ładniej. Niezłe mebelki, też chyba jeszcze przedwojenne, ale z nową tapicerką. Kolorowy ruski telewizor i wideo pod nim. Zbiór kaset podpisanych flamastrem. W kolekcji ślusarza dominowały horrory.

- Niskie gusta - skwitowała. - Jak to u robola. Ojciec zawsze powtarza, że po przedstawicielu klasy robotniczej nie można się spodziewać tego tam... A, wyrafinowania. I dlatego partia musi motłochem pokierować. Ja, Małgorzata hrabina Bronawska, też powinnam wykazać się większym wysublimowaniem - powiedziała z emfazą, grzebiąc jednocześnie w kasetach.

„Evil Dead” już widziała. „Medium” i „Widziadło” też puszczała w telewizji.

- „Carmilla” - odczytała podpis na sąsiednim pudełku. - Ciekawe, o czym to. Skoro i tak mam wagary, deszcz pada, to równie dobrze mogę film pooglądać.

Włączyła telewizor i wsunęła kasetę do magnetowidu. Przez chwilę szukała odpowiedniego pasma. Film ruszył. Przez następne półtorej godziny Gosia siedziała jak przymurowana do fotela, chłonąc niezwykły obraz.

- O, ja piernicze! - wykrztusiła, gdy pojawiły się napisy końcowe.

- A niech mnie!

Obfitująca w „momenty” i „sceny” historia związku ładnej i początkowo niewinnej blondyneczki i jej ciemnowłosej kochanki wampirzycy wstrząsnęła nią dogłębnie.

Poczuła, że prawie wybacza Limahłowi. To przecież oczywiste, że tak wielki artysta nie będzie bzykał jakichś tam fanek, tylko w swej luksusowej rezydencji zajmie się najbardziej wyrafinowanymi odmianami seksu!

- Homoseksualizm - podśpiewywała sobie pod nosem.

To słowo budziło w niej jednoznacznie pozytywne skojarzenia. Artyści, muzycy, królowie... To nie byle co. To zabawa dla elit towarzyskich i arystokracji! Coś uroczego, eleganckiego, wykwintnego. W sam raz dla wampira! W sam raz dla niej, hrabianki Małgorzaty Bronawskiej! No i ten film. Tak samo uroczy, elegancki, wykwintny! Pałacowe wnętrza, dekoracje, wspaniałe łoża...

- Do tego nawet się nie da baldachim doczepić! - rozżaliła się, zerkając w stronę łóżka polowego, na którym spędziła noc.

Te wspaniałe dziewiętnastowieczne stroje, koronkowa bielizna... Ech, umieli się kiedyś

ludziska ubierać... I nawet z rozbieraniem było dawniej sporo frajdy!

Wyobraziła sobie, jak zakłada pończoszki, obcisły gorset... Jak w tym szwedzkim katalogu, który kiedyś oglądały z Martą. Do diabła, tylko gdzie zdobyć takie ciuchy? Nawet na bazarze przy Polnej takich nie uświadczysz!

Naraz zamarła. Blondynka? Katalog... Gosia nawinęła pukiel swoich ciemnych włosów na palec. Przecież Marta jest blondynką! A gdyby tak wpaść do niej z wizytą?

Pogadać, dawno przecież nie rozmawiały. A potem... Potem może być przecież równie fajnie jak na filmie!

- Mam w sobie tyle zniewalającego mroku i destrukcji - westchnęła namiętnie. - Wystarczy nie na jeden, a na kilka perwersyjnych związków. Marcie też na pewno się spodoba. A jak się nie spodoba, to nie szkodzi. My, wampiry, jesteśmy wszak istotami predyspo... predysty... no, stworzonymi do zniewalania, zadawania bólu i cierpienia.

Podeszła do lustra wiszącego w przedpokoju. Uśmiechnęła się, w swoim mniemaniu, lubieżnie. Ale, niestety, nie zobaczyła odbicia.

- Było do przewidzenia - burknęła. - Cholera. Jak niby mam poćwiczyć kuszący uśmiech, kiedy nic nie widzę? - rozżaliła się. - Ano nic, komu w drogę, temu ślimak podaj łapę.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz. Zeszła po trzeszczących przedwojennych schodach. Wyjrzała z bramy. Dzień był paskudny. Prawdziwa jesienna szaruga. Siąpił deszczyk. Poczłapała na przystanek. Chciała wsiąść do autobusu, ale przypomniała sobie, że nie ma biletu miesięcznego. Zrezygnowała z jazdy.

- Z jednej strony zawsze mogę nastraszyć kanara zębami - dumiała - ale z drugiej, jak mnie capnie za kołnierz i wezwie milicję? Lepiej nie ryzykować.

Mijali ją ludzie zakutani w kurtki i płaszcze. Uśmiechnęła się z politowaniem.

Jak to dobrze, że jestem martwa, stwierdziła z zadowoleniem. Nie zmarznę, nie złapię kataru, a nawet jakbym złapała, to nie muszę oddychać, więc nie będzie mi przeszkadzało, że mam zapchany nos! My, wampiry, jesteśmy po prostu lepsze od ciepłych, ot co... Lepiej przystosowane do życia w tym klimacie. Pewnie dlatego wszystkie historie o wampirach rozgrywają się w Europie albo USA, wysnuła teorię. Nie ma przecież wampirów Murzynów ani wampirów Eskimosów...

Ale parasol rozłożyła, szkoda moczyć ciuchy.

- Aniołek, fiołek, róża, bez, Limahl jest homo, ja mogę być też! - nuciła, przeskakując przez kałuże.

Po godzinie dotarła na Stawki. Przemoczyła buty, ale nie przeszkadzało jej to zupełnie. Dom Marty odnalazła bez trudu.

Swoją drogą, cóż za upadek, rozmyślała, jadąc windą na ósme piętro. Mnie nawet wypada mieszkać w grobowcu, wampirza tradycja w końcu, ale żeby moja kochanka żyła w bloku? Powinnam uwodzić i wysysać arystokratki, a nie córkę jakiegoś tam inżyniera od urządzeń chłodniczych! Hmmm...

A może to obniży mój status społeczny? - zaniepokoiła się. A co tam. Przecież prawdziwa miłość przewycięża bariery klasowe! Zwłaszcza w realnym socjalizmie!

Zapukała. Marta otworzyła, nawet nie patrząc przez judasza. Na widok koleżanki rozdziawiła usta.

- Cześć - mruknęła Gosia i zrobiła krok do przodu.

- Au!

Dostała drzwiami, aż ujrzała rozbłysk przed oczyma. Na szczęście była już w środku. Pchnęła skrzydło z całej siły. Potrząsnęła głową i weszła dalej, w głąb zagraconego przedpokoju.

- No i czego się wygłupiasz? - warknęła do Marty. - Wszystkie świece przed oczami

zobaczyłam! To tak się wita najlepszą kumpelkę? Odbiło ci?

Zatrzasnęła ze złością drzwi i raz jeszcze rozmasowała stłuczone czoło.

- Ciekawe, czy wyskoczy mi śliwa, czy nie - zadumała się. - Bez krążenia chyba się siniaki nie robią?

- Ty, ty, ty... - wykrztusiła koleżanka.

- Co ja?

- Ty nie żyjesz. Przecież...

- No pewnie, że nie żyję - warknęła Gosia.

- Wampirem zostałam! - wyszczerzyła kły.

Z ulgą ściągnęła przemoczone buty i postawiła koło kaloryfera. W godzinę wyschną, a potem się zapastuje...

Albo Martę namówię, żeby mi wypastowała, pomyślała. Skoro jestem arystokratką, powinnam mieć służącą! No ale nie zabiorę jej przecież do grobu, bo będzie jej za zimno... Muszę jakoś skombinować sobie pałac albo chociaż porządną willę.

Wzula kapcie przeznaczone dla gości i uśmiechnęła się do koleżanki.

- Co tak sterczysz jak kolek? - zagadnęła.

- Aaaaa! Nawet nie podchodź! - Marta blada jak ściana zasłoniła się zdjętym z regału krucyfiksem.

Wycofywała się powolutku do salonu.

- Dobra, dobra - westchnęła Gosia, idąc za nią.

- Przestań panikować. Nie mam zamiaru cię wysysać. No, może kiedyś trochę sobie pochłęptam, ale to może poczekać. Są ważniejsze sprawy.

- Wiem! - W oczach kumpelki pojawił się błysk zrozumienia.

- Zapomniałam ci pożyczyć Tolkiena! Weź go sobie na własność, tylko odejdz!

Co ona, zgłupiała!? Wampirka mimowolnie spojrzała na półkę, gdzie stały trzy tomy w szarej obwolicy. Toż to biały kruk, w antykwariacie z piętnaście tysięcy za tom by żądali! Przecież jak mi to sprezentuje, rodzice ją zabiją!

Tytanicznym wysiłkiem woli poskromiła żądzę posiadania. Ostatecznie nie po to się tu zjawiała.

- Nie chcę książki. - uśmiechnęła się olśniewająco.

- To znaczy może potem sobie wezmę, ale zaczniemy nasze spotkanie od czegoś jeszcze ciekawszego.

Głupio to zabrzmiało, więc uśmiechnęła się raz jeszcze, tym razem sympatycznie i przyjacielsko, żeby nie spłoszyć przedwcześnie ofiary zalotów. To znaczy tak jej się wydawało, nie miała przecież jak sprawdzić wyrazu twarzy.

- O Boże, te zęby... Ratunku! - wychrypiła Marta.

- Uśmiecham się do ciebie, ty głupia! - zirytowała się wampirzyca.

- I przestań się tak trząść.

- Tak. Oczywiście. Przepraszam. Uśmiechasz się... To bardzo miłe. Jeżeli nie chcesz mnie wysysać i książek nie bierzesz, to po co przyszłaś? - zakwiliła koleżanka, strzelając przerażonym spojrzeniem na boki.

- Książki wezmę... To znaczy pożyczę. Potem. Przestań się drzeć, bo cię w końcu naprawdę ugryzę! - zagroziła Gosia.

- Może i jestem wampirem, ale to nie znaczy, że latam po mieście, kłapiąc szczęką jak pułapką na myszy! Oglądałaś taki film pod tytułem „Carmilla”? - przeszła do rzeczy.

- Nie - pisnęła Marta.

- Przecież nie mam wideo, a ty mi nie puszczałaś. O czym to?

- O płomiennej miłości pomiędzy jasnowłosą arystokratką a jej przyjaciółką wampirzycą.
- Miłości? - nie zrozumiała koleżanka. - Że niby jedna się potem okazała przebranym facetem?

- O miłości między kobietami. Przypomnij sobie, jak w pierwszej klasie liceum omawialiśmy na polskim wiersze tej greckiej poetki, jak jej było...

- Safony? Pamiętam. Ale ona przecież była tą, no, lesbijką. - Marta skrzywiła się.

- No właśnie. Sama rozumiesz, to takie wykwintne i eleganckie. Antyczne korzenie naszej kultury. My, wampiry, stanowimy elitę. Obracamy się w kręgach dawnych klas posiadających, jesteśmy arystokracją i bohemą artystyczną. - Na wszelki wypadek wołała nie wspominać, że mieszka u wampira ślusarza. - Dlatego właśnie postanowiłam, że też zostanę lesbijką. Jako moja najlepsza przyjaciółka z pewnością ucieszysz się, mogąc...

- Fuj! - Marta zrobiła się zielona na twarzy. - Ja z tobą do łóżka? Błę... Nigdy w życiu! Po śmierci też nie! -zawyła. - I umierać też nie chcę! Ratun...

Próbowała wrzasnąć, ale głos z przerażenia uwiązał jej w gardle.

- Ale to będzie fajne, wyjątkowe, perwersyjne, namiętne i niecodzienne! Normalni ludzie tego nie robią, tylko tacy, którym się w głowach przewróciło od słuchania muzyki, jedzenia frykasów, słowem, od luksusu i zblazowania - tłumaczyła cierpliwie wampirzyca.

- Mam zbyt prostacki gust na takie rozrywki! - pisnęła przyjaciółka. - Zostaw mnie w spokoju.

Gosia oblizwała się lubieżnie, aż omal nie rozharatała sobie języka o kły, i zrobiła krok w jej stronę.

- Nie! Litości!

- Tym aktem wejdziemy obie do prawdziwej elity. Poza tym to pewnie przyjemne. Tysiące dziewczyn na świecie zabijają w ten sposób nudę deszczowego popołudnia.

- Wcale nie jestem znudzona! I nie chcę do żadnej elity! I deszcz już przestał padać! I nie mów nic o zabijaniu!!! Boję się!

- Mnie się boisz!?! - Gosia aż wytrzeszczyła oczy.

- Odbiło ci!?

- Nie zbliżaj się!

Wampirzyca się zatrzymała. Jak tu przemówić tej frajerce do rozumu? Pogrzebała w pamięci. Ich rozmowy sprzed kilku miesięcy, może tam znajdzie trop? Zwierzała się przecież ze wszystkich sekretów.

- Sama mówiłaś, że dałaś Tomkowi po gębie, kiedy próbował cię obmacywać - zaczęła.

- No i co z tego? - pisnęła przerażona przyjaciółka. -Należało mu się. Miała być romantyczna randka, pocałunki z języczkiem, no, może bym mu pozwoliła potrzymać się chwilkę za kolanko, a on od razu wystartował mi z łapami do piersi.

- Skoro ci się nie spodobało, to najwyraźniej oznacza, że...

- Oj tam, nie spodobało - prychnęła. - Było fajnie, tylko chciałam go potrzymać na dystans, żeby się bardziej z prezentami postarał. Co to jest jeden indyjski naszyjnik z granatów? - Wydeła pogardliwie wargi. - Jeszcze mi do kompletu kolczyków brakowało. I broszki.

- Kupię ci kolczyki. Ostatecznie trzeba dbać o potrzeby kochanki. A broszkę... Ta zawsze ci się podobała, prawda? - Gosia zaczęła majstrować przy swojej. - Ojciec mi z delegacji przywiózł. To prawdziwy czeski Jablonex, nie żadna bazarowa podróbka. A teraz...

- Nie chcę! Jestem hetero! Odczep się!!! Ratunku, wampir! - wychrypiała Marta.

Gosia przestała się szarpać z zapięciem świecidełka i podkrađła się ku niej z uśmiechem. Naraz poczuła, że to polowanie szalenie ją podnieca. Tylko ten krzyż... Od samego patrzenia czuła nieprzyjemne dreszcze. Marta cofnęła się jeszcze krok, potknęła o próg swojego pokoju.

Rozpaczliwie zamachała rękoma, ale nie zdołała utrzymać równowagi, poleciała w tył i przydzwoniła potylicą w drzwiczki szafy. A potem dziwnie zwiotczała i oklapła.

Krucyfiks na szczęście wypuściła. Gosia jednym skokiem znalazła się przy niej. Położyła palce na jej szyi. Wymacała tętnicę. Serce biło, oddech też był. Pomacała głowę przyjaciółki.

- Co najwyżej wstrząs mózgu - uspokoiła się. - Nawet nie rozcięła skóry. Dobra, teraz na łóżko...

Jej koleżanka, idąc rano do szkoły, nie zdążyła zaścielić wersalki. Gosia złapała Martę pod pachami i sapiąc z wysiłku, ułożyła w pościeli. Teraz spokojnie i metodycznie ściągnęła z nieprzytomnej ubranie. Czarna miniowa, rajstopy, bluzka... Figi koleżanki ozdobiono kwiatkami i maleńką kokardką. Stanik miał jakieś nietypowe zapięcie, nie mogła go rozpiąć. Piersi Marty były wielkości połówki pomarańczy, blade i pokryte piegami.

Brzydsze niż moje, pomyślała z zadowoleniem. I mniejsze. W ogóle jestem od niej ładniejsza. I dobrze.

Wreszcie miała ją przed sobą golusieńką.

- No to do robooooty - zanuciła szlagier z lat pięćdziesiątych i zatarła ręce, ale zaraz naszły ją wątpliwości.

Kompletnie nie wiedziała, co dalej. Na filmie akurat w tym momencie zgasła świeca, a w następnej scenie był już ranek. Oblizwała się lubieżnie, przeciągając językiem po wargach, i znowu prawie go sobie rozharatała, tym razem o drugi z kłów.

- Czemu to takie pierońsko ostre wyrosło! - zirytowała się.

Westchnęła. Nie, źle to zabrzmiało. Spróbowała raz jeszcze, bardziej namiętnie. Nic to jednak nie pomogło. Nagie ciało koleżanki w najmniejszym stopniu nie wzbudzało jej zainteresowania. Wręcz przeciwnie. Było jakieś takie zwyczajne. Ot, goła dziewczyna na skotłowanej pościeli.

Co najgorsze, w ogóle jakoś nie miała ochoty. Dawniej, gdy całowała się z Konradem, czuła przyjemne mrowienie, raz straciła głowę do tego stopnia, że nawet pozwoliła mu zapuścić dłoń pod bluzkę... A tu? Ani słodkich dreszczy, ani przyjemnego zawrotu głowy. Nic...

- Może jednak jestem zwyczajna i po prostu nie nadaję się do tego? - zmartwiła się. - Zasugerowałam się głupim filmem. A może trzeba było spróbować najpierw z chłopakiem?

Przypomniała sobie podebraną ojcu książkę Lwa Starowicza z rysunkami różnych pozycji. Tylko że tam były narysowane wyłącznie takie dla par różnopłciowych... Bez przekonania usiadła obok i zaczęła rozpinać sobie bluzkę. Marta uchyliła powieki.

- Co się stało? - jęknęła.

- Ale przydzwoniłam czachą. - obmacała guz. Naraz zamarła.

- Dlaczego jestem goła!?

- No bo... - Gosia nie bardzo potrafiła wytłumaczyć.

- Aaaaaa!!!

Pamięć najwyraźniej wróciła w jednej chwili. Wraz z nią przyszło zrozumienie grozy położenia.

- Dobrze, bierz mnie! Gwałć! Wykorzystuj! Tylko nie zagryzaj - załkała rozpaczliwie Marta.

- Przestań się mazgaić. - Gosia podała jej chusteczkę. - Nie będę cię gwałcić.

- Nie?

- A czym niby mam to zrobić? Nie mam przecież ptaszka!

- Nie wiem - ponownie załkała przyjaciółka.

- Uspokój się, kretynko! W ogóle nie mam na ciebie ochoty! Ubieraj się!

- Nie chcesz mnie!? - Marta była już tak skołowana, że sama nie wiedziała, czy ma

odetchnąć z ulgą, czy może powinna się obrazić.

Szczęknął zamek w drzwiach. Gosia zamarła. Na szczęście jej serce nie biło, więc nie poczuła jego skurczu. No i nie spociała się. Obejrzała się i odetchnęła z ulgą. To tylko Marek. Jak on to, u diabła, otworzył? A tak, przecież jest ślusarzem...

- Tym razem zamknęłam drzwi - pochwaliła się.

- Ale echo telepatyczne wali na pół dzielnicę, zacznij panować nad emocjami, dziewczyno.

Spojrzał na łóżko i wyszczerzył kły. Marta tylko westchnęła i ponownie zemdlona opadła w pościel.

- Niczego sobie ofiara - pogratulował. - Ale po co ją rozebrałaś do jedzenia!? - zdumiał się. - I właściwie dlaczego dzisiaj polujesz? Przecież wyssałaś tamtego chłopaka, na kilka tygodni ci starczy!

- Ona nie jest do jedzenia, to moja przyjaciółka.

- To co tu się, u diabła, dzieje? Normalna aby ta twoja psiapsiółka? Może jestem trochę staroświecki, ale w moich czasach dziewczęta nie przyjmowały wizyt gołe...



- Bo ja... Zostałam...

Chcę zostać wampirzycą lesbijką, jak na filmie...

Patrzył na nią kompletnie zbaraniały, a potem zaczął się śmiać. Osunął się po framudze, siadł na podłodze, bezskutecznie próbując powstrzymać duszące go spazmy.

- Ty idiotko - wykrztusił wreszcie. - Ty kretynko ciężka... Chodźmy stąd, zanim się ocknie... Co za wstyd...

- No co? - pisnęła obrażona.

- Dorosła jestem! Zrobię, co zechcę. Zaraz ją posiądę! - Nie była pewna, czy to właściwe

słowo, ale brzmiało niezłe.

- To moja kochanka i nic ci do tego! - uniosła dumnie głowę.

- A miłość lesbijska jest modna i wykwinna, w sam raz dla istoty tak niezwyklej jak ja! I co w tym niby takiego zabawnego? - obrazila się, bo ślusarz ciągle chichotał jak wariat.

- Chcę się z nią ciupciać!

Ostatnie zdanie zabrzmiało tak głupio i prostacko, że aż się zawstydzila.

- O, w mordę, jak opowiem hrabiemu, to nie uwierzy chyba - chichotał. - Od stu lat nie było takiego...

- Mam prawo ją uwieść i zniewolić! - syknęła. - Bawić się jak kot myszką, zmuszać do różnych perwersji, a potem, gdy nasycę mroczne żądze, mogę ją nawet wyssać!

Marek opanował się tytanicznym wysiłkiem woli.

- Chodźmy - poprosił. - Nic tu po nas. Mroczne żądze! - przypomniał sobie i znowu zaniósł się śmiechem.

- Ale o co chodzi? - zaskamlała.

- O to, że my, wampiry, w ogóle nie mamy popędu płciowego! Pomóż mi ją ubrać, szybko!

Wyszli z mieszkania. Marek zamknął drzwi wytrychem.

- Może pomyśli, że to był tylko dumny sen - westchnął. - Jedna szansa na dwadzieścia!

Nie odpowiedziała.

- To niesprawiedliwe - dumiała rozżalona.

- No już, tylko bez mazgajstw. - Ślusarz dał jej przyjazną sójkę w bok. - Są przecież w życiu inne przyjemności.

- Nie jemy, nie pijemy alkoholu i nie możemy uprawiać seksu - wybuchła. - Do tego nie można nam zrobić zdjęć, więc o paszportach możemy zapomnieć. To co nam pozostało?

- Zobaczysz. - uśmiechnął się lekko.

- Przez najbliższe trzysta albo czterysta lat z pewnością nie będziesz się nudziła. Bylebyś tylko z nudów nie oglądała bzdurnych filmów. - znów zaniósł się śmiechem.



Płaszcz



Cmentarnedrzewa szumiały na wietrze, ale w krypcie było przyjemnie zacisznie. Gosia mimo przestróg Marka wróciła do rodzinnego grobowca. Fajne miał mieszkanie, ale jednak co na swoim, to na swoim!

- Nie ma to jak dobrze się wyspać - mruknęła.

Tandetny radziecki budzik postawiony na występie muru wskazywał prawie dziewiątą.

I co tu dalej robić z dniem tak mile rozpoczętym?

Wstała, uczesała włosy. Ruszyła w stronę drzwiczek i nagle spostrzegła, że wystaje spod

nich coś białego. Koperta? Pochyliła się i podniosła ją.

- No, faktycznie, ktoś do mnie list napisał - ucieszyła się.

Rozpruła ją pospiesznie.

„Zebranie dziś u mnie o 10.00 - odczytała.

- Obecność obowiązkowa. Marek”.

- Zebranie - powtórzyła na głos. - A to ci dopiero... Znowu pewnie będzie głądził o BHP... Nudziarz. Ale trzeba się pospieszyć.



Dotarła na Pragę spóźniona nie więcej niż kwadrans. Spodziewała się, że na zebraniu u Marka będzie tłum wampirów, ale poza Igorem zastała tylko starszego mężczyznę z sumiastym wąsem i w maciejówce na głowie.

- Moja droga, poznaj, proszę, naszego przyjaciela z partyzantki, Dziadek Weterana.

Przyjacielu, to hrabina Małgorzata Bronawska - przedstawił ją.

- Miło mi. - Staruszek ucałował jej dłoń.

Wszyscy zasiedli.

- Panowie... - zaczął ślusarz.

- Pani - uklonił się w stronę Gosi - zebraliśmy się tutaj, aby...

- Coś kuso z frekwencją - zauważył Igor.

- Profesor nie dotrze, ma inwentaryzację zapasów węgla. Oleg i Marta przystali usprawiedliwienia. Zwołałem to zebranie - wrócił do tematu Marek - ponieważ musimy omówić jedną szalenie ważną kwestię. Mianowicie nasz drogi hrabia Xawery obchodzi niedługo urodziny. Pomyślałem, że jak co roku przekazemy mu jakiś malutki upominek.

- W zeszłym roku dostał dwie żywe harcerczki - przypomniał Igor.

- Jak to? - wyrwało się Gosi.

Dotychczas nie zauważyła, aby hrabia miał tak wiele wspólnego z Panem Samochodzikiem.

- Do jedzenia - wyjaśnił spawacz. - Zresztą i tak nie wyszło mu na zdrowie. Jedna zaraz uciekła, a druga miała srebrny łańcuszek na szyi. Nie zauważył i przypalił sobie wargi prawie do kości... Może by sobie poradził, gdyby nie to, że ta pierwsza właśnie wróciła z milicjantami. Fartem nawiał, ale sześć kulek musieliśmy z niego potem wydłubywać.

- No tak... Z żywymi prezentami to już tak bywa... - westchnął Dziadek Weteran. -

Pamiętam, gdy jeszcze nie byłem wampirem... Dostanie człowiek na ten przykład żywą gęś, a nie ma gdzie jej trzymać. Wypuścić szkoda, zjeść na jeden raz trudno... Czego może potrzebować do szczęścia przedstawiciel klas posiadających?

- Byłych klas posiadających - uzupełnił Igor. - Przemiany dziejowe unicestwiły...

- Wszystkich nie unicestwiły - zgasił go ślusarz. - Macie jakieś pomysły?

- Przydałby mu się pałac - parsknął komunista. - Do tego kareta, szóstka koni, wioska pełna hożych, dobrze odżywionych wieśniaczek...

- Realnie proszę!

- Mieszka w grobowcu - rozważał Dziadek Weteran. - Zatem ma dach nad głową. Mebli ani porcelany nie potrzebuje. No, chyba że chciałby nową trumnę... Ale wiecie co? Ubiera się fatalnie. Ta flanelowa koszula do smokingu... A sam smoking to kompletna tragedia, po-

przecierany od przedwojnia... Portki jeszcze niezłe, turecki jeans niełatwo zedrzeć, ale butów dobrych nie ma.

- Butów nie zdobędziemy, potrzebny byłby cud - westchnęła Gosia. - Poza tym relaksy wcale nie są takie złe!

- Hmm - zadumał się Marek. - A co wy na to, żeby się zrzucić i kupić mu porządny płaszcz? Wiecie, taki jak noszą wampiry na filmach. Czarny, jedwabny i na czerwonej podszewce.

- Przyznaj się, nieczęsto bywałeś ostatnio w sklepach odzieżowych - zakpił Igor. - Kto się dziś tak ubiera? To już lepiej z magazynu teatru ukradnijmy.

- To brzydko kraść - zauważyła Gosia.

- Jeszcze brzydziej dawać w prezencie używane fatałaszkę - dodał surowo Dziadek. - To musi być coś ekstra... nowiutkie, z zagraniczną metką...

- Skoro w sklepie tego nie kupimy, to pozostaje znaleźć krawcową i dać jej do uszycia - podsunął spawacz. - Z dialektycznego punktu widzenia to słuszne, dzięki fanaberiom arystokraty zarobi na chleb przedstawicielka ludu pracującego... A zagraniczne metki mają na Różycu, całe pęki spięte recepturkami widziałem.

- Płaszcz z metką Armaniego niezłe będzie wyglądał - poparł go weteran.

- Widzę tu tylko jeden mały problem - westchnął Marek. - Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnąć jedwab... Nasz przemysł chyba tego w ogóle nie produkuje...

- Że czegoś nie ma w sklepie, to nie znaczy jeszcze, że nie produkujemy - zauważył trzeźwo Dziadek.

- W Peweksie jest - podsunęła dziewczyna. - Nie wiem, czy czarny ani czy zawsze, ale w „Filipince” był kiedyś artykuł o szyciu. Tam pisali, że z braku starych tkanin nadających się do przeróbki można spróbować kupić u nich za pół ceny resztki z beli. Skoro mają resztki, to pewnie i całe bele...

- Słusznie. A więc potrzebne są dolary - zasepił się gospodarz. - Fatalnie się składa, bo przepuściliśmy wszystkie na poszukiwanie tego cholernego „Necronomiconu”...

- Wiem! - zawołał Igor. - Połączymy harmonijnie służbę tradycji ze zwalczaniem wroga klasowego! Dopadniemy i wyssimy cinkciarza! Potem go obszukamy i zabierzemy mu walutę.

- O, w mordę - westchnął Marek ciężko.

- No co? - zaperzył się komunista. - Co ci się nie podoba? Dobry plan.

- Ciepłi coś tam zawsze zapamiętują. Można wysysać milicjantów i ubeków, bo jakby co, pomysła, że to robota Solidarności. Można wysysać opozycjonistów, bo wtedy reszta myśli, że to robota ubecji. A na kogo niby zwalimy wyssanie cinkciarza?

- A ja bym wyszał Niemca - mruknął Dziadek marzycielsko.

- Niemca? - zdumiał się ślusarz. - A dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że od kiedy mnie zastrzelili, jakoś ich cholernie nie lubię. Po drugie dlatego, że w tym RFN-ie odżywiają się samymi frykasami... Nie to, co nasi.

- Nie ma to jak dobra aryjska krew? - zaciekawiała się Gosia.

- Dobra jak dobra, ale na pewno kaloryczna... - uśmiechnął się Dziadek. - Po trzecie, Niemiec ma przy sobie marki. A markami można płacić w Peweksie równie dobrze jak dolarami.

- Tylko niewielu Niemców dziś na ulicach. Pewnie dlatego, że wojna się skończyła, a granice ciągle prawie zamknięte... - kpił ślusarz.

- Pod hotelem na pewno jakiegoś złowimy - warknął Dziadek. - Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz!

- To my mu naplujemy - ucieszyła się Gosia. - A potem jeszcze wyssimy i okradniemy!

- To nie będzie żadna kradzież, tylko pobranie reparacji wojennych, które należą nam się

jak psu buda! -Uniósł dumnie głowę. - A w moim przypadku można to jeszcze potraktować jako odszkodowanie za to, że mnie ze trzy razy podziurawili kulami.

- Tylko uważajcie na siebie. - Marek westchnął ciężko.

- Masz jakieś inne ubranie? - Staruszek otaksował Gosię wzrokiem. - Przydałoby się bardziej podkreślić kobiece walory...

- Jasne!

Ściągnęła z pawlacza siatkę z łupami zdobytymi na bazarze Różyckiego i zniknęła na chwilę w łazience. Wyszła po dziesięciu minutach odmieniona nie do poznania.

- Chyba majtki ci wystają. - Ślusarz krytycznie ocenił długość minispódniczki. - I co najmniej połowa pupy.

- Ale za to dekolt do pępka - zachichotał Igor. - Pustelnika by skusiła! Potrzebujecie dodatkowej obstawy?

- Poradzimy sobie - odparł partyzant z uśmiechem.



Okolice hotelu Forum wydawała się najlepszym miejscem do przeprowadzenia dewizowego polowania. Paskudna budowla górowała nad miastem, rzucając śmiało wyzwanie Pałacowi Kultury. Jednak wokół enklawy dobrobytu wszystko pozostało bez zmian. Krzywe chodniki, sypiące się tynki przedwojennych kamienic, wydeptane na łysą glacę szkolne boisko. Po drugiej stronie Alej Jerozolimskich straszyla porażająco brudna elewacja Rotundy. Łagodny jesienny wietrzyk przewalał po trotuarze drobne śmieci.

- Musi tu mieszkać masa cudzoziemców - stwierdziła Gosia, patrząc na ludzi z walizkami wchodzących i wychodzących ze środka. - Tylko jak odróżnimy Niemca? Może lepiej dopadniemy kogokolwiek?

- W zasadzie można i kogokolwiek - mruknął Dziadek. - Amerykanie to też straszne sukinsyny. Ale wolałbym nie wysysać Francuza. Cholera wie jak smakuje krew po tej ich diecie z sera, żab i ślimaków. Jeszcze mi zaszkodzi...

- To co robimy?

- Można by położyć na chodniku psią kupę. Cudzoziemiec wdepnie i zaklnie... Jak zaklnie po niemiecku, to będzie znaczyło, że Niemiec - błysnął pomysłem staruszek.

- Nie mamy psa. Poza tym jak zaczniemy rozkładać psie kupy przed hotelem, to zadzwonią po milicję i dopiero będziemy mieli...

- No fakt... Widzisz tamten telefon? - Wskazał budkę na rogu.

- Widzę.

- Zaczaję się obok. Posłucham po jakimu gadają korzystający. Jak trafię na szkopa, to dam znak.

- Tylko czy ci, którzy korzystają, to cudzoziemcy? -Spojrzała z powątpiewaniem na ogonek ustawiony do aparatu. - Nie mogą zadzwonić z hotelu?

- Pewnie mogą, ale boją się podsłuchów - wyjaśnił mętnie. - Do roboty. Idę, a ty zostań tu i obserwuj.

Przez kolejną godzinę nic się nie działo. Wampir partyzant siedział na ławce opodal budki. Ludzie podchodzili, dzwonili, odchodzili... Gosia nudziła się jak mops. Łaziła wzdłuż ulicy, oglądała wystawę sklepu. W dodatku uznała, że chyba przesadziła z kusością spódniczki. Mijający ją mężczyźni gwizdali, przelykali ślinę i posyłali lepkie spojrzenia. Normalnie takie

hołdy sprawiłyby jej przyjemność, ale teraz pogłębiały tylko irytację.

- Hej, laska, pójdziemy na kawę? - zaproponował jakiś dziany licealista w skórzanej kurtce.

Uniosła dumnie głowę i rzuciła spojrzeniem jak cegłą.

- Spadaj, frajerze, i to w podskokach, jestem walutową prostytutką - splawiła go.

Dzieciak najwyraźniej uwierzył, bo speszony położył uszy po sobie i ulotnił się jak niepyszny. Chwilę później zauważyła, że jej towarzysz wstał z ławki i daje jakieś znaki. Czyżby? Tak! Wyraźnie wskazywał na niewysokiego blondyna około trzydziestki.

- Aryjczyk, blond nazista jak z filmu o kapitanie Klossie - oceniła ofiarę. - No, to polujemy na dewizowca!

Niemiec ruszył niespiesznie w kierunku Żurawiej. Dziadek Weteran pobiegł przodem. Gosia przyspieszyła kroku. Ominęła cudzoziemca drugą stroną ulicy i zaszła mu drogę.

- *Guten Tag*. - Uśmiechnęła się czarująco.

Niemiec spojrział na nią z przelotnym zainteresowaniem. Jej kusy strój najwyraźniej zrobił na nim pewne wrażenie. Zebrała wszystkie przyswojone w szkole niemieckie słowa i w wielkim mozole skleciła z nich zdanie:

- *Komm nach Hause Kinder machen* - zaproponowała konkretnie.

- *Was?* - zdziwił się, wytrzeszczając oczy.

- *Ich bin guten polnische Madchen, schon und intelligent* - wydukała.

- *Komm...*

Ruszyła chodnikiem, przy każdym kroku intensywnie kręcąc pupą. Szkop ruszył za nią jak zaczarowany. Zakręciła w bramę, w której chwilę wcześniej zniknął partyzant. Cudzoziemiec przystanął niezdecydowany.

- *Komm hier! Guten polnisch Sex machen werden*. - Przywołała go gestem i dla poparcia argumentacji rozpięła dwa guziczki bluzki.

- *Ich habe, eeee... zdies kwartiren. Zimmer, verstehen?*

Podszeł bliżej. Wprowadziła go do klatki schodowej. Stała na podeście i patrząc mu w oczy, odpięła jeszcze jeden guzik. Niemiec zrobił krok do przodu i w tym momencie Dziadek Weteran, przyczajony za drzwiami, skoczył mu na kark.

- *Heil Hitler!* - warknął.

Dziab! Zęby wbiły się od razu w tętnicę.

Niemiec próbował się wrywać i coś wybełkotał, ale zaraz zwiotczał, oklapł.

- Jak w czterdziestym czwartym - westchnął staruszek, ocierając krew z brody. - Szkoda, że nie mogę cię, gnido, wyssać na amen, tobyś się ode mnie kłaniał Hitlerowi w piekle. - Kopnął nieprzytomnego, a potem wyłuskał mu z kieszeni portfel.

- I po problemie. Waluta zdobyta. Dziękuję za pomoc. - uśmiechnął się do dziewczyny.

- Zwijamy się.

- Ku chwale ojczyzny!

Poczucie narodowej dumy i radość ze słusznego odwetu przepełniły ją do tego stopnia, że nawet zasalutowała.

Kilka minut później złapali sobie tramwaj na Pragę.



- Akcja bojowa przeprowadzona wzorowo - zameldował Dziadek, wkraczając do mieszkania Marka. - Okupant wyeliminowany. Na śmierć wprowadzie nie, ale w każdym razie na długo odechce mu się niewinnych polskich dziewcząt.

- Jaki znowu okupant? - westchnął ślusarz. - Wojna skończyła się czterdzieści lat temu. Nie słyszeliście o sowieckich inicjatywach pokojowych?

- Pobraliśmy od wroga reparacje wojenne! - Weteran z dumą położył na stole gruby portfel.

Marek otworzył go i wyciągnął niezły plik banknotów. Polskie odłożył na stosik. Niemieckie przez chwilę przeglądał, a potem znowu westchnął, tym razem bardzo ciężko.

- No i co to niby jest? - zapytał partyzanta, machając mu przed nosem banknotem.

- Sto marek. Czyli pięćdziesiąt dolarów prawie. A tam jest takich jeszcze kilka... - powiedziała dziewczyna. - Zdobyliśmy prawdziwą fortunę! Może nawet na antenę satelitarną starczy.

- Jaką tam fortunę? - warknął gospodarz. - W Peweksie przecież tego nie przyjmą...

- Dlaczego? - zaperzyła się.

- A czyj to jest portret? - Oskarżycielsko uderzył w papier palcem.

- A bo ja wiem? Brodacz jakiś... Gdzieś już go chyba widziałam. Może jakiś niemiecki pisarz albo kompozytor?

- To jest Karol Marks - rąbał słowo po słowie ślusarz. - A to znaczy, że to są marki wschodniemieckie. Ten szkop, któregoście załatwili, był z NRD!

- Ha! - ucieszył się Igor, rozparty na kanapie. - Mówiłem od razu, żeby wyssać cinkciarza.

- Wszystko przez ten głupi podział Niemiec na NRD i RFN - biadolił partyzant.

- No nic, ruszam na miasto. Upoluję jakiegoś cudzoziemca. Niemcy to nasz główny i odwieczny wróg, ale przecież innym nacjom też się łomot należy...

- Innym? - zdziwiła się Gosia.

- Co, nie uczyłaś się w szkole historii? - Pogroził jej laską.

- Anglicy i Francuzi nie pomogli nam w trzydziestym dziewiątym. Amerykanie sprzedali nas w Jałcie. Szwedzi też nas napadli. Jest o tym nawet taka książka, „Potop”.

- To było w siedemnastym wieku.

- Nie szkodzi. Moja nienawiść jest wieczna! Narodów w Europie jest masa, ale na każdy coś się znajdzie.

- A na Belgów? - zaciekawiała się.

- Gierek pracował u nich w kopalni. Mogli komunistę zostawić pod ziemią na zawsze... - zakpił Marek.

- Licz się ze słowami, szczeniaku! Byłem oficerem Armii Ludowej! - zaperzył się Dziadek.

- To ja jestem komunistą - obraził się Igor. - Gierek to pacholek obcego kapitału z odchyłami prawicowymi, słusznie internowany za...

- Ty tak z tymi cudzoziemcami nie szalej - ślusarz zwrócił się do Dziadka. - Złapiesz na którymś HIV-a i dopiero będzie.

- Waluta... - dumiała Gosia, obracając enerdowskie banknoty w palcach. - Ojciec ma gdzieś zakopane dolary ze swoich handelków. Kiedyś, jak trochę wypił, chwalił się, że to dwa albo trzy tysiące...

- Okradanie własnej rodziny to grzech - mruknął Dziadek Weteran.

- To już nie jest moja rodzina! Próbowali mnie kropnąć z dubeltówki! - wybuchła. - Wywalili moją kolekcję plakatów... A co do grzechu, jestem ateistką! A nawet jakbym nie była, to my, wampiry, i tak jesteśmy potępione!

- Zostaw jego dolary w spokoju - uciął Marek. - Rodzina rzecz święta! To, że stałaś się wampirem, jest dla nich trudne do zaakceptowania, więc przesadnie nerwowe reakcje...

- Trzy kule w plecy to dla ciebie tylko „przesadnie nerwowa reakcja”!? - wściekła się. - Dobrze, że nie trafili! Jak bym wyglądała?

- Zwał jak zwał - uciął Igor. - Po prostu tu na Pradze panuje zasada, że swojaków się nie obrabia. Nie przejmuj się tak. Siadaj. Uspokój się. Poszydelkuj albo książkę poczytaj. Jest nas trzech dorosłych i doświadczonych facetów. Sami te dolary zdobędziemy.

- Idę - zdecydowała. - Mam własny plan!

Zgarnęła stosik wschodnich marek ze stołu i wyszła obrażona, fukając jak kotka. Jednak gdy maszerowała po schodach na dół, animusz jej trochę przygasł.

- Waluta - burknęła. - Skąd niby można ją wystraszyć!? A może zebrać bandę wampirów i po prostu napaść na Pewex? Wyssać kasjerki, obrobić kasę, wynieść towar...

Zaraz jednak skrzywiła się w duchu.

- Nie, zaraz znowu wymyślę, że to nieetyczne - mruknęła.

- Zresztą jest w tym trochę racji. Obrobić Niemca to jeszcze jak cię mogę. Wróg odwieczny naszej ojczyzny, no i przez nich była wojna, a teraz ten zakichany socjalizm. Ale napadać na sklep jak jacyś bandyci to poniżej mojej hrabiowskiej godności.

Naraz zamarła w pół kroku. Zaraz, zaraz. Przecież Konrad ma parę dolarów!

- Ach, ty gadzie - warknęła pod adresem byłego chłopaka.

- Czekaj no! Teraz mi zatańczysz...

Wsiadła w tramwaj i pojechała na Żoliborz. Było wczesne popołudnie. Słońce wyjrzało zza chmur, drzewa płonęły kolorowymi liśćmi. Prawdziwe babie lato... Nawet szare ściany budynków wyglądały jakby mniej ponuro. Po drodze usiłowała ułożyć sobie jakiś plan, ale nie bardzo jej to wychodziło...

- Co tam, improwizować będę... - zdecydowała wreszcie.

Blok stał cichy i spokojny jak zwykle. Podkraśliła się doń jak zwiadowca do wrogiego okopu. W klatce cuchnęło gotowaną kapustą i starą ścierą do podłogi. Wjechała windą na górę. Podeszła do znajomych drzwi. Sinoniebieskie, wykonane z płyty paździerzowej i pociągnięte olejną farbą. Koło progu leżała wyliniąta wycieraczka, wyżej tandetna tabliczka straszyla krzywo namalowanym numerem... Tylko patentowany zamek błyszczał pod klamką.

- Ja bym na jego miejscu drzwi pancerne wstawiła, zawiesiła czosnek, albo chociaż poświęconą kredą krzyż wyrysowała - stwierdziła. - Ale cóż, istnieją tępaki, których nawet atak wampirzycy rozumu nie nauczy...

Zadzwoiła. Odpowiedziała jej głucha cisza. Czyżby nikogo nie było w domu? Załomotała pięścią, ale to też nic nie dało.

Pogoda ładna, połażł gdzieś, pomyślała. Cholera, mógł nawet wypruć na Skrę w sprawie swoich handelków... Diabli nadali. Ale może spaceruje tylko gdzieś w pobliżu?

Podeszła do okna na korytarzu i zaczęła się rozglądać wokół. I nieoczekiwanie wypatrzyła go. Siedział na dachu osiedlowej hydroforni w towarzystwie jakiejś blondynki. Wyglądało na to, że mają się ku sobie. Zmrużyła oczy i rozpoznała ją.

- No nie! - syknęła.

- Tego już za wiele!

Zbiegła na parter, przeskakując po trzy schodki, i wściekła jak osa ruszyła na przelaj przez trawnik. Zauważyli ją zbyt późno, by choćby myśleć o ucieczce.

- Mariolka, ty lafiryndo! - warknęła wampirzyca.

Była koleżanka z klasy zbladła jak ściana.

- Ja nie wiedziałam, że to nadal twój chłopak - zaskamlała.

- Umarłaś przecież już dawno i w ogóle. Poza tym Marta wspominała, że zostałam lesbianką, to pomyślałam, że po co Konrad ma tak samotnie łązić...

- Won, wieśniaro, później się z tobą policzę. - Gosia arystokratycznym gestem pokazała jej kierunek, a dla wzmocnienia argumentacji obnażyła jeszcze kły.

Mariolka, piszcząc, zmykała, że mało szpilek nie pogubiła. Konrad też chciał wstać z miejsca, ale wampirzyca pchnęła go z powrotem na murek.

- Siad! - warknęła.

- Co ja ci zrobiłem? - zapytał. - Odczep się, na litość boską! Wyssałaś mi już z litr krwi, jeszcze ci mało?

- W lewej tylnej kieszeni masz notes z kursami walut - burknęła. - Dawaj!

Trzęsącymi się dłońmi wydobyl wyszmelcowany notatnik.

- Jak stoją marki z NRD? - zapytała, przeglądając zapiski.

- Oficjalny kurs to trzydzieści pięć złotych za markę. Ale tak poza tym to na czarnym rynku chodzą około pięćdziesięciu - odpowiedział szybko i bez wahania.

- Czyli jakieś piętnaście marek wschodnich za dolara? - Zmrużyła oczy, przeliczając.

- No tak, mniej więcej, jak jakiś cinkciarz tyle da. Waluty krajów RWPG są przecież niewymienialne. Ale po co pytasz?

Strzelał wzrokiem na boki, najwyraźniej szukając możliwości ucieczki.

- Wyciągaj zielone.

- Nie mam.

- Masz minimum dziesięć dolarów. Wyciągaj, kupię je od ciebie. A jak się będziesz stawiał, to cię wyszę i sama sobie wezmę, bez płacenia!

- Ty już raz... - wzdrygnął się i odruchowo dotknął szyi.

- Tym razem wyszę cię na amen! - zagroziła. - Sztynny trup zostanie. A potem dopiero pójde wykończyć tę ździwę Mariolkę! I tę idiotkę Martę, żeby przestała chlapać ozorem! Co z tą walutą? - ponagliła chłopaka.

Drżącymi rękami wydobyl zagraniczne pudełko po cygaretkach, a ze środka dziewięć banknotów jednodolarowych.

- Stratny nie będziesz - warknęła, wręczając mu w zamian dwa papierki z Karolem Marksem. - A, znaj moją hrabiowską szczodrość. - Dorzuciła jeszcze jeden. - Ciao.

Ruszyła przez trawnik.

- Jakby było jeszcze coś potrzeba, to po takim kursie możemy handlować - dobiegło z tyłu.

Najwyraźniej były chłopak na widok trzystu marek odzyskał animusz.

- Jeśli będę potrzebować pomocy, to jej zażadam - odparła z godnością.



W mieszkaniu zastała tylko Igora.

- Zdobyłam dziewięć dolców - pochwaliła się.

- Marek odwiedził Pewex na Szymanowskiego. Mają jedwab, ale, niestety, po piętnaście zielonych za metr - westchnął wampir komunista. - Czarny jak smoła. Wprawdzie w małe serduszka, ale widać je tylko, jak się pod kątem patrzy. Gadałem już z krawcową, trzy metry bieżące to absolutne minimum.

- Czyli jeszcze trzydzieści pięć dolarów. - Gosia zagryzła wargi.
- Na to wychodzi. Dodzwoniłem się do Profesora. Ma złotą dwudziestodolarówkę, da nam jako swój wkład.

- Można nią zapłacić w Peweksie?
- Teoretycznie tak. Ale lepiej spylic ją cinkciarzom za kilkaset zielonych. Tak czy siak, jadę ją odebrać. Nie miałabyś ochoty wybrać się z wizytą?

- Z wizytą?
- Korzystając z okazji, chciałem przedstawić cię Profesorowi - wyjaśnił spawacz. - To jeden z najmądrzejszych warszawskich wampirów.

- Jasne - ucieszyła się.

Wsiedli do fiacika Marka i ruszyli przez miasto. Zapadał już wczesny jesienny wieczór. Dziewczyna poczuła się trochę zmęczona, ale i zadowolona.

- Wampir profesor - powiedziała w zadumie.

- Tak naprawdę nie jest nawet magistrem - westchnął komunista. - Poszedł na studia jeszcze za cara, ale wybuchła pierwsza światowa. Jakiś czas walczył na froncie. Gdy Prusacy go zastrzelili, wygrzebał się z okopu jako wampir. Musiał odczekać, żeby na uczelni wymarli wszyscy, którzy go znali, i zapisał się na studia po raz drugi. Długo nie postudiował, bo akurat wybuchła kolejna wojna. Ale się zawziął. Po wojnie znów spróbował. Na drugim roku ubecja go zwinęła, bo w czasie wojny służył w AK. Wydostał się z aresztu bardzo szybko, ale jakoś go to zniechęciło do dalszego pogłębiania wiedzy na uczelniach. Pozostał samoukiem. Przeczytał kilka tysięcy książek. Jest bardzo mądry, a przy tym, jak każdy geniusz, trochę szalony i oderwany od rzeczywistości. Dlatego tytułujemy go Profesorem.

- Ale jak dostał się z kazamatów ubecji? - zdziwiła się Gosia.

- W najprostszym możliwym sposób - odparł jej towarzysz z dziwnym uśmiechem. - Po prostu położył się nieruchomo na pryczy. Sama rozumiesz, przyszli wlec go na przesłuchanie, a ten leży, nie oddycha. Sprawdzili skórę, zimna. Ośluchali serce, a ono nie bije. No to zapakowali delikwenta do trumny i wynieśli pogrzebać.

- Dobrze, że nie sprawdzili zębów - zaśmiała się.

Igor zaparkował fiacika koło bramy zoo. Bileter gdzieś sobie poszedł, więc wślizgnęli się do środka na gapę. Z początku szli główną aleją. Drzewa powoli roztapiały się w zapadającym mroku. Ostatni spacerowicze podążali spieszenie do wyjścia. Gdzieś daleko ryknął lew, odpowiedziało mu rzenie osła.

- W sam raz sceneria do horroru. - Gosia aż się wzdrygnęła.

- Dobrze chociaż, że widzimy w ciemnościach...

- Ale czego niby się boisz? To przecież my jesteśmy wampirami... - zachichotał.

Dotarli do hipopotamiarni i zakręcili w alejkę za nią. Zignorowali tabliczkę zakazującą wstępu. Minęli dużą stodołę, w której trzymano siano dla zwierząt kopytnych, i skręcili w stronę kwarantanny. Pod murem oddzielającym część terenu stała nieduża szklarnia z wysokim kominem. Igor najwyraźniej znał tu każdy kąt, bo bez wahania namacał klucz leżący na framudze i poprowadził dziewczynę do środka. Owiał ich ciepły zaduch. Podążyli w głąb, klucząc pomiędzy donicami.

Wreszcie stanęli przed starymi, zjedzonymi przez wilgoć drzwiami. Komunista zapukał. Uchyliły się ze zgrzytem i weszli do kotłowni.

- Gosiu, to jest Profesor - przedstawił. - Profesorze, to hrabina Małgorzata Bronawska.

- Bardzo mi miło. Witam w mojej pracowni.

Wampir zwany Profesorem uściskał jej dłoń. Gosia wyobrażała go sobie jako wiekowego starca, tymczasem uczoney miał na oko nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Jedyłą oznaką

geniuszu były rozbiegane spojrzenie i fryzura „na Einsteina”. Rozejrzała się dyskretnie. Pracownia-kotłownia nie była duża. W kącie królował piec, obok wznosiła się przyzma koksu i stos połamanych mebli. Pod ścianami, oświetlane blaskiem paleniska, drzemały wielkie, brudne akwaria pełne mętnej wody i skłębionych wodorostów.

- Siadajcie, proszę. - Wskazał dwa rozklekotane krzesła, najwyraźniej przeznaczone na opał.

- To moje odkrycie - powiedział z dumą, wskazując akwarium, w którym pływały jakieś czarne robale.

- Węże? A może węgorze? - Zaintrygowana Gosia zrobiła krok w tamtą stronę.

- Bynajmniej, to są młoda damo, megapijawy.

- Megapijawy? - powtórzyła. - Znaczą takie jak zwyczajne, tylko o wiele większe?

- Wyhodowałem je ze zwyczajnych pijawek lekarskich, drogą krzyżowania i selekcji - oznajmił. - Zajęło mi to blisko sześćdziesiąt lat!

- To niewątpliwie ogromne osiągnięcie! - powiedziała zupełnie szczerze. - Ale co zamierza pan z nimi zrobić teraz?

- Teraz karmię je krowimi mózganami - wyjaśnił. - To bardzo cenny suplement diety, którą dla nich opracowałem.

- Myślałam, że pijawki piją tylko krew - zdziwiła się dziewczyna.

- Teoretycznie tak. Trochę stawiają opór, więc używam lejka i pompki do roweru. -

Uciekł spojrzeniem w bok, jakby zawstydzony. - Chodzi o to, żeby układ nerwowy rozwinął się na tyle, by poddać je prostej tresurze.

Wampir komunista z trudem tłumił chichot.

- Tresurze? - Gosia poczuła się naprawdę zaintrygowana. - A po co?

- Wymyśliłem sobie, że można je wykorzystać do zdobywania pożywienia. Wyobraź sobie, siedzi ciepły w wannie, a tu z rury wypęła taki ciapuś, przysysa się, ściąga krew, a potem znika w odpływie.

- I wtedy wystarczy taką pijawę złapać i wydoić? - domyśliła się.

- Właśnie.

- Brzmi nieźle - przyznała. - Tylko widzę jeden mały problem. W odpływach wanien są instalowane kratki...

- Spokojnie, nigdzie się nam nie spieszy. Zanim wyrosną odpowiednio duże i uda się je przyuczyć, wymyślę też sposób na pokonanie kratek. Igorze, tu jest obiecana dwudziestka. -

Wyłowił z kieszeni okazałą monetę. - Wydaje mi się, że jest nawet prawdziwa...

- Wydaje ci się? - westchnął Igor.

- Dźwięk daje dobry. Ale sam wiesz, po tylu burzach dziejowych trudno w tym mieście o prawdziwe twarde...

- Ano nic. Sprawdzi się. - Komunista zacisnął złoty krążek w spracowanej dłoni.

- Dorzucę tylko do pieca i odprowadzę was...



Igor, pogwizdując pod nosem, maszerował Ząbkowską. Nie lubił zapuszczać się w te rejony Pragi. Tutejsze ulice nawet w samo południe były dziwnie ciemne. A teraz zapadał wieczór... Żule stali w bramach i bacznie obserwowali otoczenie. Z półmroku co rusz wyłaniały

się mordy tak odrażające, że wampir czuł dreszcze na karku.

- Diabli nadali - mruknął. - Wszystkich ich należałoby zwinąć z paragrafu o uchylaniu się od pracy!

Zakręcił na bazar Różyckiego. Targowisko mimo późnej pory tętniło życiem.

- Co potrzeba? - zagadnął kaprawy typ pilnujący wejścia.

- Potrzebuję wymienić twardą dwudziestkę na zielone.

- Prosto i na lewo. Budka z samowarem. Szukaj kobiety ze złotymi zębami.

- Dziękuję.

Faktycznie przed jedną z bud na stoliku wyeksponowano sporo rozmaitego szmelcu, w tym zaśniedziały carski samowar. Igor zapukał do drzwi.

- ...bry - przywitał się.

Przy zniszczonym biurku o marmurowym blacie siedziało dwóch tęgich zakapiorów, jeden z blizną po szwie na czole, drugi ze świeżo podbitym okiem, i rozłożysta matrona z klawiaturą zębów odlaną w złocie. Wnętrze rozświetlały tylko dwa cementarne znicze.

- Oż kurde, wampir? - zdziwił się ten z blizną.

- Won!

- Wampir nie wampir, klient rzecz święta - burknęła kobieta.

- Pilnujcie go tylko, żeby nie wyciął jakiegoś numeru. Czym możemy służyć? - zwróciła się do gościa prawie uprzejmie.

- Mam złotą dwudziestkę.

- Pokaż pan...

Wręczył handlarze monetę. Ta zważyła ją w palcach i rzuciła na marmur. Złoty krążek zatańczył i upadł. Baba i jej pomocnicy uważnie wsłuchali się w brzęk.

- Belgijka - skwitowała waluciara ponuro.

- Co proszę? - zaniepokoił się Igor.

- Odlew zrobiony w Belgii z surowców zastępczych, czyli złota niskiej próby - wyjaśnił ten z limem. -

Kamień czy kwas? - zwrócił się do szefowej.

- Kwas - poleciła.

Wyciągnął walizeczkę z odczynnikami. Złota dwudziestka nakropiona mieszaniną z miejsca pokryła się czarnymi plamami.

- Kuuuuso - burknęła złotożęba.

- Osiem karatów najwyżej.

- Próba trzysta trzydzieści trzy? - Igor wolał się upewnić.

- Toż mówię.

- Chciałbym to spylić za zielone.

Obaj bazarowi cwaniacy skrzywili się demonstracyjnie, jakby ugryźli cytrynę.

- W końcu coś tam złota w tym jest - dodał spawacz.

Babsko zadumało się na moment.

- Czterdzieści dolców - orzekła wreszcie.

- Mało - zaprotestował.

Charakterystyczny trzask powiedział mu, że obaj goryle jednocześnie odblokowali ostrza sprężynowców.

- Z szefową się nie dyskutuje - wycedził bysior z podbitym okiem.

- Czy wy nie słyszeliście przypadkiem, że wampiry są niezwykle szybkie i pierońsko silne? - zirytował się Igor, pokazując kły.

- Takie gadki to możesz wciskać milicji, a nie praskim kiziorom. - Ten z blizną

uśmiechnął się tak paskudnie, że komunistę aż ciarki przeszły. - A na przerost uzębienia też mamy swoje sposoby, niekoniecznie mające związek z praktykami zębodłubów i szlachetną sztuką stomatologiczną...

- Zębki świetnie rwie się kluczem francuskim. - facet z limem swobodnym gestem położył rzeczzone narzędzie na blacie.

Wyglądało na to, że mówią zupełnie poważnie. Igor tytanicznym wysiłkiem woli opanował atak paniki.

- Co wy, chłopaki, ja z Pragi i wy z Pragi. Przecież swojaka ciąc nie będziecie? Po prostu ta cena tak na pierwszy rzut oka wydała mi się trochę dziwna. Czterdzieści pięć? - zaproponował.

Kobieta westchnęła bardzo ciężko i przewracając oczyma, zaczęła odliczać banknoty. Zakapiorzy, widząc, że transakcja dobita, złożyli noże. Igor z niepokojem obejrzał każdy banknot. Na szczęście chociaż one były prawdziwe...



Impreza urodzinowa hrabiego Pruta była bardzo sympatyczna. Marek nie podał wprawdzie nic do jedzenia ani picia, zabrakło też alkoholu i zakąsek, ale pod sufitem zawisły girlandy z wyblakłej krepiny, a całe wnętrze udekorowano na czerwono i czarno. Z magnetofonu dobiegały dźwięki menueta. Wreszcie nadeszła pora wręczenia tradycyjnego upominku.

- Hrabio - ślusarz ukłonił się przed gościem - zechciej przyjąć ten oto skromny składkowy podarunek...

Gosia wystąpiła o krok do przodu i z dygnięciem podała Xaweremu pakunek owinięty w szary papier.

Wampir zważył go w dłoniach, po czym rozpruł szponem. Wydobył płaszcz i zaraz przymierzył. Wyglądał na kompletnie zdumionego.

- Cudowny! - Owinął się połą. - Ale, ale, jakim cudem zdobyliście prawdziwy jedwab!?

- Wspólnym wysiłkiem, drogi hrabio - wyjaśnił Igor. - Dla zgranego kolektywu cwanych warszawskich wampirów nie ma zadań niewykonalnych!

Nim skończyli świętować, nadeszła dwudziesta druga. Dziadek Weteran i Profesor zmyli się wcześniej. Marek i Igor też zbierali się do wyjścia, tego dnia robili w fabryce na trzecią zmianę.

- To i ja pójde. - Hrabia dźwignął się z fotela. - Trzeba wrzucić na ząb jakąś urodzinową wisienkę z wielkiego tortu naszego społeczeństwa...

Z kieszeni fraka wydobył zmięty bilet tramwajowy i poczłapał na przystanek.

Wybrał na łowy odludną część parku Praskiego. Miejsce było niezłe. Krzaki rosły gęsto, za to oświetlenie rozmieszczono rzadko. Wprawdzie opodał, przy ulicy Cyryla i Metodego, znajdowała się komenda MO i jednostka ZOMO, ale jak to mówią, pod latarnią najciemniej... Czarny płaszcz pozwolił idealnie roztopić się w mroku. Hrabia długo czatował ukryty w zaroślach. Przepuszczał kolejne kobiety, wypatrując potencjalnej ofiary.

Wreszcie w dalekiej perspektywie alejki ujrzał odpowiedni obiekt. Dziewczyna była dokładnie taka, jak sobie wymarzył. Wysoka, niezłe zbudowana, szła lekkim, niemal tanecznym krokiem.

- Studentka, sportsmenka - zachwycił się.

- I odżywiona niezłe, skoro taka duża wyrosła. Pewnie córca jakiegoś badylarza albo

partyjniaka... Do tego blondynka. - Oblizął się.

Począł, aż osiągnie odległość kontaktową, i dopiero wtedy wyszedł z cienia.

- Dobry wieczór - uklonił się grzecznie.

- Pozwoli pani, że się przedstawię, Xawery hrabia Prut. Jestem wampirem, a pani ma zaszczyt zostać moją tysięc osiemset dziewięćdziesiątą drugą ofiarą.

- Won, zбочeńcu! - warknęła, grzebiąc w torebce.

- Zaszła zabawna pomyłka. - Hrabia uznał, że grzecznie będzie od razu wyjaśnić wszelkie wątpliwości. - Wiem, że obecnie wampirami nazywa się ludzi, którzy po prostu mordują kobiety albo gwałcą i mordują, ale ja jestem prawdziwym wampirem. To znaczy, zamiast mordować i gwałcić, wysysam krew. Gdyby teraz zechciała pani odchylić głowę w lewo, zamknąć oczy i nie krzyknąć...

- Dość tych żartów - syknęła jak żmija.

- Staranne wychowanie, które odebrałem w domu, stanowczo zabrania mi żartować przy jedzeniu - zapewnił solennie.

- Ty idioto! Nie widzisz, co trzymam w ręce?

Faktycznie, w czasie gdy przemawiał, kobieta wyciągnęła coś z torebki.

- Wygląda jak legitymacja milicyjna - wydedukował. - To by się nawet zgadzało, bo jesteś, pani, w stosownym mundurze.

- No właśnie - sapnęła dziewczyna. - I co z tego wynika?

- Masz, pani, milicyjne kartki na mięso i prawo kupowania żywności w specjalnych sklepach. Zatem twoja krew będzie bardziej kaloryczna.

- Mogę cię aresztować, ty chory świrze! No właśnie. Jesteś aresztowany!

- Ja tam się na waszych milicyjnych zwyczajach nie znam - wyznał. - Ale chyba żeby kogoś aresztować, trzeba oprócz legitymacji dysponować bronią, siłą lub chociaż autorytetem władzy...

- Ty mendo! Znieważyles właśnie funkcjonariusza milicji!

- Chyba funkcjonariuszkę? - zdziwił się. - A, pal diabli... Powtarzali zawsze, żeby nie dyskutować z jedzeniem...

Doskoczył jednym susem, złapał za dłoń, założył dźwignię. Kobieta próbowała się wyrwać, ale nadaremnie. Trzysta lat obezwładniania ofiar dało mu pewną wprawę.

Dziab! Zęby weszły jak w masło.

Syknął milicyjny gaz obezwładniający, ale hrabia tylko przestał oddychać i zamknął oczy. W następnej chwili krzepka dłoń milicjantki ucapiła go za jaja.

- Jauu! - wrzasnął, wyrywając zęby z jej szyi.

Ochlapał się przy tym całą krwią, a chwilę później kobieta ponownie walnęła gazem, tym razem skuteczniej. Paskudny opar wypełnił mu usta, przelyk i płuca.

- Puszczaj, pani! - wrzeszczał, usiłując wyrwać swoje klejnoty.

Wreszcie wyszarpnął skarb. Odetchnął z ulgą. Nadal niewiele widział. Gaz zadziałał nawet na martwe oczy.

- Ja ci dam zabawę w wampiry! - usłyszał piskliwy głos i dostał kopa w splot słoneczny. Normalnego faceta po czymś takim zdrowo by zamroczyło, ale on poczuł tylko ból i padł na wznak.

Brak krążenia i konieczności oddychania czasem się przydaje, pomyślał wesoło i w tym momencie ciężki bucior trafił go między oczy.

- Nie kopie się leżącego! - zaprotestował.

- Dlaczego nie? - Milicjantka tak się zdziwiła, że na chwilę przestała po nim skakać.

- Nie pamiętam - jęknął.

- Tu masz na przypomnienie! - Kopnęła go ponownie w czoło, aż zobaczył wszystkie gwiazdy.



Sam nie wiedział, jakim cudem udało mu się wyrwać. Z ośpienia otrząsnął się dopiero trzy ulice dalej.

- Co za babsko zdziczałe - mruczał pod nosem.

Dyszał jak lokomotywa, usiłując pozbyć się resztek gazu z płuc. Gdzieś daleko usłyszał tupot. Goniła go? Tak. Na szczęście pobiegła w innym kierunku. Hrabia ruszył w stronę latarni i w jej świetle obejrzał swój wspaniały płaszcz. Obawiał się, że piękny strój mógł uciepnieć w

starciu. I słusznie. Popatrzył krytycznie na liczne plamy krwi i błota pokrywające jedwab.

- Diabli nadali - burknął. - Ależ to utyłane. Wyprać trzeba. Tylko jak to się robi?

Z głębin pamięci wypłynęło wspomnienie czasów, gdy w jego pałacu praniem zajmowały się apetyczne, zdrowe wiejskie dziewczuchy... Fakt, było z tym trochę zamieszania, uciekały jak króliki z dziurawej klatki. Jakoś nie mogły zrozumieć, że delikatne podsysanie w niczym im nie szkodzi. Co kwartał musiał zatrudniać nową, ale i pracowały dobrze, i smakowały rewelacyjnie.

- To była taka piękna epoka - westchnął. - I po cholere podpisywałem ten durny papier o rozbiórce Polski? No nic, tak czy siak, muszę płaszcz wyczyścić.

Przejrzał w pamięci galerię znajomych płci pięknej. Ślicznotka? Za delikatne rączki, od razu widać, że nigdy nie miała do czynienia z ługiem. Małgorzata? Nie będzie przecież hrabiny gonił do prania!

- Zaraz, zaraz - przypomniał sobie. - Przecież teraz pierze się w takich dziwnych skrzyniach... Jak to Marek nazywał? Pralka automatyczna? Jak automatyczna, to znaczy, że tylko wrzucić i gotowe...

Zatarł wąskie arystokratyczne dłonie.

- Skorzystam z pralki poddanego - zdecydował.

- Tyle razy mówił, że jakbym czegoś potrzebował, to mam swobodnie korzystać... Dobry z niego człowiek, chociaż plebejskiego rodu.

Złapał ostatni tramwaj. Kwadrans później zapukał do drzwi. Odpowiedziała mu głucha cisza.

- Poszli już - domyślił się arystokrata. - Ja bym tak nie mógł. Nie dość, że pracować, to jeszcze codziennie, a czasem po nocy!?

W kieszeni namacał klucz i wszedł do wnętrza mieszkania. Zapalił sobie światło.

- No i gdzie ta pralka?

Był niemal pewien, że tak wspaniałe urządzenie stoi gdzieś na honorowym miejscu, ale ku swemu zdumieniu nie znalazł jej ani w saloniku, ani w sypialni.

- Pranie wiesz się w łazience, może tam?

Faktycznie pod ścianą drzemała skrzynia z okrągłymi szklanymi drzwiczkami.

- Dobra nasza. - Wampir zapakował do niej płaszcz. - Teraz trzeba pomyśleć, jak to działa? Sama woda na pewno nie pokona takich plam. Mydło trzeba tam wrzucić czy co?

U góry pralki była dziwna rynienka nakryta kłapką. Wewnątrz i wokoło widać było resztki białego pyłu. Hrabia kontemplował to dłuższą chwilę.

- Ani to mąka, ani kokaina. Proszek do prania - wydedukował wreszcie. - Pierze się proszkiem!

Na półce nad pralką odkrył całe opakowanie. Obok leżała jeszcze instrukcja do urządzenia. Wprawdzie od dzieciństwa lepiej czytał po francusku niż po polsku, ale w ciągu godziny rozszyfrował, jak ustawić programator.

Nasypał odpowiednią ilość IXI, wetknął wtyczkę do gniazdka i odpalił urządzenie.

Pralka zabuczała i zaczęła nabierać wody.

- Jestem zaiste geniuszem! - Zatarł ręce.

Zasiadł w saloniku i włączył sobie wideo. Z kolekcji ślusarza wybrał film „Rambo III”. Dziwny odgłos dobiegający z łazienki przerwał mu delektowanie się filmem. Pobiegł zobaczyć, co się, u licha, dzieje. To pralka wpadła w dziwny dygot, a jej bęben kręcił się ze zdumiewającą szybkością.

- Wirowanie - przypomniał sobie fragment instrukcji. - I świetnie.

Z gumowej rury wpuszczonej do wanny wyciekło trochę wody. Miała intensywnie bury kolor.

- Aż tak upaćkałem? - zdziwił się arystokrata. - To pewnie sadze obecne w powietrzu na skutek uprzemysłowienia albo błoto, w które milicjantka mnie wdeptała...

Pół godziny później maszyna zakończyła pracę.

- No, to rozumiem, wszystko zautomatyzowane. Cóż za postęp i nowoczesność - zachwycił się Xawery, otwierając drzwiczki.

Wydobył płaszcz i przez chwilę oglądał go w osłupieniu.

- Co jest, do cholery! - ryknął, aż żyrandol zadrżał.

Skrzypnęły drzwi i z mniejszego pokoju wyjrzała Gosia. Miała na sobie koszulę nocną. Tarła zaspane oczy.

- O, pan hrabia wrócił - wymamrotała. - Przepraszam, spałam...

- Jak to się stało? - jęczał zrozpaczony Prut, trzymając w objęciach mokry kłęb burej tkaniny. - Przecież instrukcję przeczytałem i temperaturę dobrą ustawiłem, i...

- ...I oczywiście polskiego proszku pan nasypał - westchnęła dziewczyna.

- To co? - nie rozumiał.

- Zeżarło. Zagraniczne ciuchy są za delikatne. Trzeba je koniecznie prać w zagranicznym...

- Nie wiedziałem...

- Szkoda. Tyle naszej pracy na marne - westchnęła i poszła spać.

Hrabia ciężko zapadł w fotel. Rozwieszony nad wanną płaszcz sechł powoli. Z każdą minutą robił się coraz dziwniejszego koloru. Na buroburaczkowym tle wyraźnie odznaczały się malutkie szaroczarne serduszka...



Wieczny Robol



Biuro SłużbyBezpieczeństwa wyglądało jak zwykły budynek rządowy. Szary, paskudny, z kratami w oknach i czerwoną tabliczką przy drzwiach. Radek przełknął nerwowo ślinę i wszedł do środka.

- Słucham, w jakiej sprawie? - odezwał się cywil wygodnie rozparty za barierką.
- Dzień dobry - wykrztusił chłopak. - Bo widzi pan, ja... Znaczy się dostałem wezwanie.

I...

- Proszę okazać.

Z pomiętej szarej koperty wyjął kartkę papieru. Strażnik czytał cztery linijki tekstu dobre pięć minut, a jego czoło chmurzyło się coraz bardziej. Potem długo i starannie sprawdzał numer wezwania w jakichś księgach.

- Tu jest oświadczenie do podpisania - powiedział wreszcie, wręczając Radkowi formularz.

Student przeleciał tekst wzrokiem.

- O cholera - mruknął.

- Coś nie tak? - Czoło wachmana przecięła jeszcze głębsza bruzda, a wzrok stwardniał na kamień.

- Bo... bo... bo... Tu jest, że zobowiązuję się nikogo nie informować o tym, że zostałem wezwany, i że nie powiem o treści rozmów...

- To chyba oczywiste? - Człowiek za barierką rzucił spojrzeniem jak cegłą.

- Ale ja już powiedziałem, że do was idę. Wczoraj, jak wyciągnąłem kopertę ze skrzynki.

- Porypało was? A komuście powiedzieli? - zirytował się strażnik.

- Mamusi...

- I to ona kazała wam wziąć szczoteczkę do zębów?

- Tak. - Radek, czerwieniąc się jak burak, wcisnął kompromitujący przedmiot głębiej do kieszeni.

- Głupio. Szczoteczki akurat mamy, za to pasty dla aresztantów zabrakło... A na przyszłość trzymajcie buzię na kłódkę. To zbyt poważne sprawy, żeby o nich chlapać ozorem na prawo i lewo! Wypełniajcie papiery, nie mam całego dnia!

- Przepraszam.

Podpisał śpiesznie.

- Pokój dwieście dziesięć. Po schodach na drugie piętro i do końca korytarza. Tu jest przepustka. - Strażnik wypełnił rubryczkę z godziną wejścia. - Pan major ma podpisać i podstemplować.

Radek wybąkał jakieś podziękowania i zaczął wspinać się po schodach. Znalazł drzwi opatrzone numerem 210. Zapukał.

- Wejść! - dobiegło ze środka.

Chłopak pełen obaw wszedł. Gabinet urządzony był surowo, niemal ascetycznie. Biurko straszyło obłazącym pseudososnowym laminatem, fotel dla śledczego obity był brązową skórą. Naprzeciw stało krzesło dla przesłuchiwanego. Student wypatrzył też reflektor do świecenia w oczy... Na podłodze położono szare linoleum, brudne lamperie na ścianach pomalowane zostały olejną farbą na beżowo. Wystroju wnętrza dopełniał siedzący w fotelu za biurkiem cywil o zaciętym wyrazie tępej gęby.

- Major Nefrytow - przedstawił się, nie wstając. - Siadajcie, Brona.

Student posłusznie zajął miejsce przeznaczone dla przesłuchiwanego.

- Czy wiecie, po co zostaliście wezwani? - warknął ubek.

- Nie mam pojęcia... - bąknął.

- Nie mydlcie oczu, Brona. Wy wiecie i my wiemy, że wy wiecie... Twoja siostra została wampirem.

To prowokacja, przeleciało Radkowi przez głowę. Nie mogą dać się sprowokować...

- Wampiry nie istnieją - oznajmił dzielnie.

- Tak bardzo nie istnieją, że aż się do nich strzela na ulicy? - Major skrzywił się paskudnie.

- Mam światopogląd materialistyczny! - chłopak postanowił iść w zaparte.

- I doskonale się składa, bo my jesteśmy specjalną, ściśle tajną komórką powołaną do kontroli i likwidacji realnie istniejących przejawów zabobonów ludowych -wyjaśnił major z dumą.

- Czyli...

- Czasem ludzie gadają, że gdzieś straszy. Bywa, ktoś melduje, że pojawiają się duchy. Zdarza się, że idioci spotykają wampiry, wiedźmy, wilkołaki, diabły. Wtedy właśnie dzwoni się po nas - wyjaśnił. - Zagrajmy w otwarte karty. Widziałeś ją i strzelałeś do niej. Potem szukałeś informacji o wampirach w bibliotece... Rozumiem, że chciałeś w imieniu własnym i ojca oczyścić honor rodu. Ale od tego jesteśmy my. Wydział Z.

- Z jak zaświaty? - Radek uśmiechnął się niepewnie.

- Z jak zabobon - sprostował major.

- Moja siostra wampirzyca to tylko zabobon? Widzieliśmy ją przecież...

- Słuchajcie, Brona. Trzeba na tę sprawę spojrzeć dialektycznie. Wampiry nie istnieją. Co więcej, ich istnienie jest z naukowego punktu widzenia całkowicie wykluczone. Z drugiej strony, niestety, musimy stwierdzić, że po świecie snują się osobniki podobne do opisywanych w legendach i horrorach wampirów. W ich istnieniu nie ma jednak nic nadprzyrodzonego. Przewodząca radziecka nauka dawno wyjaśniła ten fenomen. Po prostu u pewnego odsetka populacji procesy życiowe przebiegają w sposób anormalny. Po śmierci zakłócona równowaga biochemiczna sprawia, że ciało nie ulega rozkładowi, a w niektórych przypadkach jest zdolne do poruszania się. Przemiany chemiczne generują śladowe napięcie elektryczne, co sprawia, że niektóre partie mózgu jeszcze pracują, wysyłając impulsy do mięśni, skutkiem czego istota taka zachowuje zdolność ruchu i szczątkową świadomość. Ponieważ zachowaniem swoim przypomina wampiry z legend, dla uproszczenia nazywamy takie osobniki wampirami.

- Teza - antyteza - synteza - dialektyka... - szepnął Radek.

- No właśnie. Oczywiście lud mamy ciemny, dlatego istnienie takich istot utrzymać należy w tajemnicy. Sami wiecie, jak działa zabobon religijny. Do zupełnie naturalnych zjawisk, takich jak poruszanie się po mieście martwych ciał, ludzie gotowi sobie dorobić katolicką interpretację.

- Rozumiem. Zatem mamy zwalczać istoty, które wyglądają jak wampiry, ale nie są wampirami, choć dla uproszczenia nazywamy je wampirami.

- Dokładnie. Jeżeli komuś wystawiono akt zgonu, to ma grzecznie leżeć. A jeżeli nie chce - walnął pięścią w biurko - to my musimy go położyć. Teraz kwestie formalne. - Wyciągnął z szuflady plik kwestionariuszy. - Nam nie wolno werbować członków Partii, a członkom Partii nie wolno wstępować w szeregi ubecji. To słuszna decyzja i nie ma się o co obrażać. Sami rozumiecie, towarzyszu Brona, że prawdziwa tajna służba musi być całkowicie obiektywna i apolityczna.

- W jaki sposób apolityczna służba ma bronić socjalizmu!? - Radek wytrzeszczył oczy.

Major odchrząknął i spojrzał pod biurko, jakby chciał obejrzeć noski swoich oficerek.

- No dobra - mruknął. - Z tą całkowitą apolitycznością trochę się zagalopowałem. O czym to... A, właśnie. Sami rozumiecie, nasz wydział zajmuje się najtajniejszą i najbardziej skomplikowaną robotą. O tym, co tu robimy, nie może dowiedzieć się absolutnie nikt.

- Nawet Moskwa!?

- Zwłaszcza Moskwa. To nie jest zwykła działalność, jak na przykład inwigilacja pracowników naukowych czy podkładanie świni klerowi. To prawdziwa, skomplikowana i brudna robota, jak w czasie okupacji. Śmiertelne zagrożenie. Jeden błąd, jedno potknięcie i idziecie do piachu, bo albo tamci was zarzną, albo my zlikwidujemy za fuszerkę. Czy to jasne?

- Tak jest!

- Każdy przepracowany rok do emerytury liczy się za pięć lat, ale, towarzyszu Brona, musicie wiedzieć, że w naszym wydziale nikt jeszcze tej emerytury nie dożył!

- Ku chwale ojczyzny! Ja dożyję.

Major westchnął ciężko.

- Brona, obudźcie się! - ryknął. - Ja wam nie proponuję etatu u nas...

- Tylko werbunek na tajnego współpracownika? - Radek zgłupiał do reszty.

- Nie możecie być tajnym współpracownikiem, bo nie wolno nam werbować agentury w Partii, a wy jesteście już na stażu kandydackim.

- E... to co mam...

- Będziecie „kontakt operacyjny”. Tak pro forma rejestrujemy tych, których z różnych powodów przyjąć nie możemy.

- Ku chwale ojczyzny! A jak z tą emeryturą?

- Zamknijcie, Brona, jadaczkę, bo się zdenerwuję! Wasze pierwsze zadanie będzie nieskomplikowane, ale mimo wszystko śmiertelnie niebezpieczne. Jesteście naszym człowiekiem, więc weźcie to, zawieście na szyi i nie zdejmujcie nawet pod prysznicem.

Major wyjął z szuflady jakiś przedmiot na łańcuszku.

- Co to jest? - nastroszył się Radek. - Bo wygląda mi zupełnie jak...

- To jest tak zwany krucyfiks.

- Krzyż to symbol ciemnoty, zacofania i zabobonu katolickiego! Jako kandydat na członka partii i tajny współpracownik organów socjalistycznego państwa...

- I wszystko się zgadza - warknął major poirytowany. - Wampiry są istotami bardzo ciemnymi, zacofanymi i zabobonnymi. Ich szczątkowa świadomość sprawia, że zdają sobie sprawę ze swojej śmierci, ale interpretują ten stan kompletnie ciemniacko. Sądzą, że są wampirami, dlatego na widok krzyża reagują alergicznie. I tyle. Możecie w to nie wierzyć, ale macie to nosić.

- Nigdy w życiu! - uniósł się Radek. - Nie po to mój pradziadek zerwał z burżuazyjnymi zabobonami i padł w walce o socjalizm, żeby teraz...

- Nie podnoś głosu w moim gabinecie, gnoju. A co do twojego pradziadka - zmrużył złośliwie oczy - mogę zaraz pokazać ci jego teczkę.

- Nie boję się! Historia naszej rodziny jest kryształowa!

- Takiś pewien?

Major sięgnął po interkom.

- Agencie Kot, proszę przynieść z archiwum teczkę rodziny Brona. Tak, tę błękitną, z hrabiowskim herbem...

Kwadrans później Radek łkał jak dziecko, a grube łyzy rozbijały się o linoleum podłogi.

- No, już nie bez. - Major stanął obok i przyjacielsko objął go ramieniem.

Następnie podreptał do szafy na akta, pogrzebał w środku i podsunął chłopakowi pod nos musztardówkę z radzieckim koniakiem.

- Weź się w garść. Jesteś wśród przyjaciół. Pracuj lojalnie, a nikt się o niczym nie dowie. Ani o pradziadku poległym pod Radzyminem, ani o dziadku, który uciekł z Kołymy, ani o tym, jak twój ojciec zapisał się do Partii z rozpacz, po tym jak mu księżniczka z Czetwertyńskich dała kosza.

- Ja... - zaczął Radek i znów się rozbeczał.

Dopiero druga szklanica brązowego zajzajeru pozwoliła mu dojść do siebie.

- Dołożę wszelkich starań, żeby zmasać winy wynikające z mojego pochodzenia. -

Potulnie zawiesił sobie krzyż na szyi. - Partia będzie miała we mnie...

- Nie bądźcie naiwni, towarzyszu. Partia nie zapomina o niczym i niczego nie wybacza.

Wasze szczęście, że jesteście bezpieczni! I że ta dokumentacja bezpiecznie spoczywa w naszych sejfach. Czy kojarzycie nazwę Drucianka?

- Taka stara, jeszcze carska fabryka na Pradze? Koło bazyliki na Kawęczyńskiej?

- O! - Major mile się zdziwił. - Skąd wiecie?

- Czytałem „Historię ruchu robotniczego w Warszawie”. A naprzeciwko jest liceum, które rok po roku wypuszcza maturzystów reakcjonistów. Socjalistyczny Związek Studentów nieraz informował organa, co absolwenci tej szkoły wygadują na uczelni.

- Doskonale. Teraz warunki umowy. Wy nam coś sprawdzicie na Druciance, a my wam pomożemy zlikwidować siostrę wampirzycę.

- Ku chwale ojczyzny!

- Problem przedstawia się tak, że w Warszawie przebywa Wieczny Robol.

- Co proszę!?

- Od pytania to my tu... a, nieważne. Wieczny Robol to byt o charakterze bionekrotycznym.

- Co proszę?

Major przewrócił oczami.

- Coś jakby twoja siostra. Podejrzewamy, że też jest martwy, ale z jakichś przyczyn nadal przychodzi do roboty. W każdym razie pracował już kiedyś na Druciance. Konkretnie, zaczął pracę w tysiąc dziewięćset trzecim, a w tysiąc dziewięćset jedenastym przeniósł się do Norblina.

- To fascynujące! - Oczy Radka zalśniły.

- Co takiego?

- Z tego, co pan mówi, wynika, że pracował w Druciance podczas wielkich strajków w czasie rewolucji tysiąc dziewięćset piątego.

- To co? - nie zrozumiał zwierzchnik.

- W tym samym czasie co Karol Wójcik! Musiał go znać!

- I...?

- Skoro zachowuje świadomość, mógłby nam opowiedzieć, jak to wszystko wyglądało naprawdę!

- Niech ręka boska bro... To znaczy w żadnym wypadku! - przeraził się ubek. - Tylko tego brakowało, żeby zaczął chlapać ozorem! Historię ruchu robotniczego należy poznawać z książek i opracowań naukowych, a nie ze źródeł tak mało wiarygodnych jak naoczni świadkowie! W dodatku nie wiemy, na ile procesy zachodzące po śmierci wpływają na pamięć. Przez osiemdziesiąt lat pewnie wszystko mu się pomyliło.

- Mam przeniknąć do fabryki i dokonać jego likwidacji?

- Nie pieprzcie, Brona. Jakiej, u diabła, likwidacji? Jak niby? Mam wasze wyniki strzelania ze studium wojskowego!

- Moje wyniki? - Zaczerwienił się.

- A coście myśleli? Gromadzimy wszystko. Haki na sukinsynów z opozycji. Haki na bydlaków, którzy sprzyjają opozycji, i przede wszystkim haki na lojalnych obywateli, którzy w przyszłości mogliby się złączyć i polubić opozycję!

- yyy...

- Dostaliście kategorię F. Czy wiecie, co to znaczy?

- Nikt na komisji nie chciał mi wyjaśnić... - wybąkał student.

- Takich poborowych w razie wojny oddaje się wrogowi jako jeńców! Dupa wołowa z was będzie, a nie żołnierz. Ale nie martwcie się. Nasza socjalistyczna ojczyzna znajdzie jakieś pożyteczne zajęcie dla każdego. A słuchajcie: macie przeniknąć do fabryki, potwierdzić identyfikację, zdobyć odciski palców dla naszego działu daktyloskopii, poobserwować, wy badać

i napisać raport.

- Do fabryki dostanę się przez mur?
- Brona, co wy bredzicie? - zirytował się major. - Filmów o Bondzie się na wideo naoglądaliście? Pójdziecie tam legalnie na praktyki robotnicze.
- Jak go rozpoznam?
- I tu jest problem, towarzyszu Brona. Nie mamy żadnego jego zdjęcia. Wampiry i tego rodzaju istoty nie dają się sfotografować.
- To znaczy...
- To nic nie znaczy! - wkurzył się major. - Przewodząca radziecka nauka dawno już wyjaśniła ten fenomen! Nie ma w tym absolutnie nic nadprzyrodzonego lub choćby niezwykłego. Widzieliście kiedyś szklankę z wodą, do której wrzucono słomkę?
- Tak.
- Widzieliście zatem, jak słomka wydaje się załamana, choć jest prosta. Wiecie dlaczego?
- Złudzenie optyczne spowodowane tym, eee... że woda, eee... inaczej niż powietrze załamuje, eee... strumień fotonów?
- No i sami sobie odpowiedzieliście. Po prostu skutkiem anormalnej fizjologii w ich pocie występuje czynnik załamujący strumień fotonów. Dlatego w czasie fotografowania zawsze są przesunięcia poza kadr, a w scenach zbiorowych zawsze ugina obraz tak, że stoją za kimś.
- O rany! - Radek był zdumiony prostotą i elegancją naukowego wytłumaczenia zjawiska.
- To jak go rozpoznam?
- Tu jest szkic. - Ubek podał mu odbitkę. - Przedwojenny wprowadzie, ale nasz klient od tamtego czasu się nie zmienił. Do roboty. W ciągu najdalej trzech dni pocztą przyjdzie do ciebie wezwanie na praktyki.
- Ale jak... Poza tym jak zniknę z uczelni, powiedzmy, na tydzień, to nie zaliczą mi...
- Zaliczą. Zaufaj nam. Możemy wszystko. Ostatecznie jesteśmy ubecją...
- A dałoby się tak załatwić... zaliczenie egzaminu z filozofii? - Student spojrział przymilnie.
- Nie przeginajcie, Brona! - Major pogroził mu palcem. - Bo się zdenerwuję. Dajcie przepustkę, to wam podpiszę i won! W piątek meldujecie się z materiałami!
- Radek wyszedł z urzędu na miękkich nogach. Miał kompletny zamęt w głowie. Ale jednocześnie poczuł ulgę. Do tej pory sądził, że w walce z siostrą skazany jest wyłącznie na sojusz z babcią dewotką. A tu proszę, Partia w swojej mądrości powołała służbę do likwidacji nawet tak mało prawdopodobnych zagrożeń! Musiał jakoś ukoić skołatane nerwy. Krzyż na szyi ciążył mu kamieniem. Jeszcze bardziej ciążyła mu świadomość, że pochodzi z arystokracji. Na szczęście naprzeciwko był sklep. Wszedł do wnętrza.
- Czego? - warknęła sprzedawczyni.
- Jest piwo?
- Co ty, głupi? Nie ma!
- Jestem tajnym współpracownikiem SB! - huknął. - Na pewno na zapleczu jest kilka butelek.
- Legitymacja! - warknęła baba.
- Eeee... Jeszcze mi nie wystawili...
- Won, bo jak lunę ściera przez łeb, to się oduczysz podszywać pod służby, solidaruchu jeden!
- Gdy czekał na tramwaj, naszyły go wyjątkowo dziwne i reakcyjne myśli.
- Moi przodkowie nie tylko byli hrabiowskiego rodu, ale własny browar mieli...
- Siedemdziesiąt lat temu, zamiast łązić po sklepach, zadzwoniłbym srebrnym dzwoneczkiem na

lokaja i kazał przynieść wiadro najlepszego piwa prosto z kadzi! A potem zawołałbym najładniejszą służącą i... Tfu! Co ja gadam. - Aż się przestraszył. - To na pewno przez to! - Klepnął się po piersi. Krzyż wręcz parzył mu skórę. - Promieniowanie kształtów jak w radiestezji. Ugina promieniowanie cieków wodnych i miesza mi we łbie! A nic, popracuję w fabryce, to mi przejdzie!

Teraz dopiero uświadomił sobie, że stoi na przystanku, gada do siebie na głos i jeszcze klepie się po torsie niczym goryl.



Nad Pragą wstawał świt. Radek wtopił się w tłum ludzi podążających chodnikiem. Pierwsza zmiana... Wokoło człapały rozczłapane buciory, skrzypiały paski teczek i toreb. Na bramie chłopak okazał wezwanie. Skierowano go do biura, gdzie w ciągu kilku minut wypisano przepustkę. Zaraz też stary robociarz poprowadził studenta do szatni. Tam wydano mu strój. Przebrał się w granatowy drelich, blaszkę z numerkiem wrzucił w kieszeń i powędrowali w głąb zakładu. Weszli do jednego z najstarszych budynków.

- Hala obrabiarek - wyjaśnił robotnik, gdy przemierzali pomieszczenie wypełniające się tłumem ludzi. - A tu będzie wasze miejsce. - Wskazał dwa metry kwadratowe podłogi i jakiś przedpotopowy sprzęt. - Zaraz przyjdzie szef zmiany i wprowadzi was w tryb pracy.

Faktycznie po chwili nadszedł ślusarz. Był ciemnowłosy i niezbyt wysoki. Podwinięte rękawy drelichu odsłaniały istic goryle łapska.

- Marek jestem. - Uścisk lodowatej dłoni był prawdziwie niedźwiedzi.

- Radek - przedstawił się kapuś. - Miło poznać...

Zlustrował rozpracowywanego spojrzeniem.

To ma być wampir? - zdziwił się. Zupełnie nie wygląda!

- To jest tokarka, to frezarka, a to wiertarka. - Marek wskazywał maszyny. - Tokarka służy do toczenia, frezarka do frezowania, a wiertarka, jak sama nazwa wskazuje, do wiercenia. A tam pod plandeką jest komputer sterujący Odra. Programy pracy wczytuje z taśmy perforowanej. Czy to jasne? Jak trzeba, mogę powtórzyć albo wytłumaczyć dokładniej.

- Chyba zrozumiałem...

- Maszyny mają już swoje lata, ale to nie jest zły sprzęt.

- Mam pytanie.

- Proszę.

- Czy one pracują na parę? - bąknął student. - Widzę tu paleniska, kotły i tłoki...

- Zupełnie słuszne spostrzeżenie. Faktycznie, pierwotnie pracowały na parę, ale jeszcze przed wojną dodaliśmy im silniki elektryczne. Prąd to postęp. A że czasem elektrownia nam prąd wyłączy, nie demontujemy silników parowych. Stanowią rezerwę. Wiem, że nasz zakład nie jest najnowocześniejszy, ale dzięki temu macie unikalną okazję poznać zarówno warunki pracy panujące w dobie rewolucji przemysłowej, jak i najnowsze osiągnięcia techniki, przenoszące nas wprost w dwudziesty pierwszy wiek. - Poklepał obudowę Odry.

- Czemu to zapakowano w brezent?

- Bo zapylenie w hali jest takie, że gdybyśmy zdjęli plandekę, komputer szybko by zdechł. I niech was nie kusi przypadkiem, żeby do tego zaglądać. Zresztą wtyczkę od kabla zasilającego na wszelki wypadek schowałem, bo prostym robotom nie wytłumaczysz, że to do

pracy, a nie do grania w rozbieranego pokera. Im się komputer z jednym kojarzy. Jeszcze by zepsuli.

- Co będziemy robić?

- Jesteśmy ślusarzami narzędziowymi. Nasze zadanie to głównie dorabianie zepsutych detali do różnego rodzaju urządzeń pracujących w tej fabryce - tłumaczył cierpliwie. - Sami rozumiecie, kraj przeżywa pewne trudności, nie da się ot tak wymienić parku maszynowego. Jedna trzecia wszystkich obrabiarek jest carska. Jedna trzecia sanacyjna.

- A pozostała jedna trzecia nasza? - domyślił się chłopak.

- Nie. Pozostała jedna trzecia to używane obrabiarki angielskie kupione przez Gierka za kredyty, całkiem niezły sprzęt, ale ich się w ogóle nie używa.

- Dlaczego?

- Bo mają podziałki w calach, a poza tym gwintują śrubki w przeciwnym kierunku. Każda śruba odkręca się w lewą stronę, a angielskie w prawą.

- Czyli używa się maszyn carskich i sanacyjnych, bo są lepsze? - podpuścił go Radek.

W myślach już skrobał raport...

- Oczywiście, że są lepsze, przecież wykonali je w trudzie i znoju nasi bracia, twórcy i bohaterowie pierwszych lat zorganizowanego ruchu robotniczego! - Cwany ślusarz bez mrugnienia okiem uniknął prowokacji. - Dobra. Frezy montujemy do maszyny tak, a noże do tokarki tak. - Pokazał. - Jakbyście zapomnieli, to pokażę raz jeszcze. Teraz coś sobie wytoczymy, oto dzisiejsze zamówienia z biura normalizacji produkcji... Potrzebny jest blok stali narzędziowej. - Zapisał pośpiesznie specyfikację na druczku zamówienia. - Pobiegniecie do magazynu, niech wam wydadzą, a ja tymczasem sprawdzę sprzęt.

Student pobiegł. W magazynie jacyś kolesie uwijali się z heblami, strugając boki skrzynek. Pod ostrzami znikwały napisy wykonane ewidentnie cyrylicą. Inny przy użyciu szablonu malował na ich miejsce nowe oznaczenia: „Made in USA”. Druga ekipa przy kolejnym stosie skrzyń robiła z pozoru to samo, tylko że zmieniała oznaczenia amerykańskie na sowieckie.

- Nie gap się, tajemnica państwowa - ofuknął studenta magazynier. - Co potrzeba?

- Pan Marek potrzebuje stali... Tu jest specyfikacja. - podał blankiet.

Dostał kawał grubego walca o wadze co najmniej piętnastu kilogramów. Tymczasem prace z przemalowywaniem skrzynek dobiegały końca. Student wolał się ulotnić.

Dowlócił surowiec na miejsce. Ślusarz puścił frezarkę w ruch.

- Co cię gryzie? - zapytał, polerując szmatką gotowy wyrób.

- W magazynie... - zaczął Radek. - Zobaczyłem coś, czego nie rozumiem...

- Napisy na skrzynkach znowu zmieniali? To proste. Nasz zakład kupuje stale wysokogatunkowe, gdzie się da, a czasem tam, gdzie musi. Tylko że radzieckie wyroby są... Hmm... Zresztą sam zobacz.

Marek wyciągnął gdzieś z kąta dość gruby pręt i z pewnym wysiłkiem zawiązał go w supeł.

- Yyy - zdumiał się kapuś.

- Ta ruska stal zawiera oczywiście cenne i wartościowe pierwiastki, ale w wyniku jakiegoś pechowego niedopatrzania lub wręcz sabotażu reakcjonistów ma mniej żelaza niż marchewka. A tak... Sam rozumiesz, na sojusznika złego słowa powiedzieć nie można. Szacher-macher ze skrzynkami i za wszelkie braki materiałowe winni są Amerykańcy.

- Genialne.

- Tylko pamiętaj, buzia na kłódkę! - ostrzegł go zwierzchnik. - Poprzedni praktykant, który wtykał nos w nie swoje sprawy, utonął w kadzi do galwanizacji podkładek!

Do popołudnia Radek na tyle wdrożył się do pracy, że mógł już samodzielnie osadzać

obrabiany materiał w zaciskach.

Jednak bycie prostym fabrycznym robodem nie jest takie fajne, jak to wynikało z lektury książek o dziejach walki klasy robotniczej, dumał Radek, jadąc tramwajem do domu. Chyba faktycznie, zamiast być przedstawicielem klasy robotniczej, lepiej w szeregach PZPR stanowić jej reprezentację. No nic, jakoś wytrwam, to tylko dwa tygodnie...

Plecy rypały go od noszenia stalowych bloków i prętów. W uszach dzwoniło po całym dniu słuchania wizgu maszyn... Smary wżarły się w skórę tak, że wątpił, czy kiedykolwiek domyje ręce.



Następnego dnia Radek trafił na halę tokarek, gdzie w towarzystwie kilkudziesięciu robotników miał wykonywać jakieś elementy. Marek, pracując przy swojej tokarce, co jakiś czas korygował jego pracę i udzielał wskazówek, przekrzykując wizg ciętej stali.

- Tak właściwie co my robimy? - zainteresował się kapuś w czasie przerwy na papierosa.
- Detal c-821-z. - Ślusarz wzruszył ramionami. - Na eksport do bratniej Libii albo Iraku.
- Ale do czego to służy? Bo mnie to wygląda na wirnik do silnika odrzutowego.
- A cholera wie. Nie nasza sprawa.
- Ale... Chciałbym wiedzieć. Pan ma doświadczenie - podpuścił przełożonego Radek, bo naprawdę był ciekaw.

- Do odrzutowego za małe. Chyba że do jakiejś maluśkiej rakiety przeciwlotniczej albo przeciwpancernej. Moim zdaniem, to raczej wirnik do wirówki.

- Wirówki? - nie zrozumiał.
- No, takiej maszyny do frakcjonowania izotopów uranu - Marek postanowił opowiedzieć ciekawskiemu podwładnemu kilka bajeczek. - Sam rozumiesz, w rudzie jest ich kilka, ale tak naprawdę przydatny jeden. No i trzeba go oddzielić. Bez tego zesrasz się, a nie zrobisz bomby atomowej. Ale lepiej się nie interesować i niczego z roboty nie wynosić, bo skończysz jak Kowalski.

- Kto to był?
- Cwaniak z Pragi, który chciał dorobić na lewo. Sądził, że wynosi fragmenty zawieszenia do malucha. Akurat robiliśmy jeden detal, na oko nawet podobny. Kilkanaście milimetrów różnicy. Na bramie go drapnęli przy rutynowej kontroli. Okazało się, że miał w torbie spust rakiety przeciwlotniczej do MIG-a - ślusarz popuścił wodze fantazji. - Od razu go posunęli za sabotaż, szpiegostwo przemysłowe, nielegalne posiadanie części broni masowego rażenia... Żądali, żeby wydał współników i zleceniodawcę, ale nikogo nie sypnął, więc uznali, że taki zatwardziały szpion z niego.

- I co się z nim stało? - wykrztusił kapuś.
- Wiadomo, czapa. Teraz się nie patyczkują. Więc pamiętaj, że chociaż to, co robimy, jest z pozoru podobne do wirnika z pralki Frania, nigdy nie możesz być pewien, co tak naprawdę obrabiasz! I lepiej się tym w ogóle nie interesować.

Do końca dnia Radek już o nic nie zapytał. Szlifował, frezował, biegał z gotowymi detalami, donosił surowiec. Wreszcie zmiana dobiegła końca.

- Przynieś na jutro trzy świeże śledzie - polecił kierownik, gdy omiatali maszyny z pyłu.
- Na zagrychę? - zdziwił się chłopak.

- Socjalistyczny robotnik nie pije w robocie bez uzasadnionego powodu - mruknął ślusarz.

- Przynieś śledzie, jutro zobaczysz...



Następnego ranka Marek poprowadził Radka do starej, nieużywanej hali obrabiarek. Wiekowe mechanizmy ocechowane carskimi orłami drzemały pod grubą warstwą kurzu i pajęczyn.

- Co to za miejsce? - zainteresował się student. - Widzę tu sporo urządzeń, dlaczego się ich nie wykorzystuje?

- To linia do produkcji lamp na gaz świetlny.

- Co!?

- Bardzo ciekawa technologia, niestety, zanim na dobre rozkręcono produkcję, pojawiły się żarówki... I tak zostało. Zdemontować szkoda, bo tysiące rubli na to poszło, a używać nie ma do czego.

- Aha.

Radek poczuł coś na kształt ulgi, słysząc, że poprzednie pokolenia też popełniały idiotyczne błędy. Na podłodze między obrabiarkami stał porcelanowy talerz.

- Masz te śledzie?

Student wydobyl zawiniątko i wyłożył trzy rybki.

- Kici, kici! - zawołał Marek.

Kotów było tu z piętnaście. Powystawiały głowy z różnych zakamarków i spomiędzy trybów urządzeń. Najodważniejsze podeszły do obu robociarzy.

- To powinienem był kilogram przynieść - mruknął Radek. - Skąd tu tyle kotów?

- Lęgną się.

- I robotnicy je dokarmiają?

- Po co? Koty z głodu tu nie zdechną. Myszy łapia.

- Hmm... Tu jest dużo myszy?

- Zatrzęsienie. W piwnicach trudno przejść, żeby kilku nie rozdeptać. Dumas, czym się żywią?

- No... Przecież nie stałą?

- Za cara biuro fabryki to było czterech urzędników. Wtedy wystarczył jeden kot na zakład. Teraz urzędników mamy czterystu. Co roku produkują kilka ton akt. Stare wrzucają do piwnicy, żeby myszki miały co jeść, koty zjadają myszy. Tak powstaje swoisty łańcuch pokarmowy.

Załomotała blacha i na obudowie jakiegoś urządzenia wylądował wielki kocur, tricolor.

- Oto i Fabryczny Kot, wódz wszystkich futrzaków w tym zakładzie - wyjaśnił z dumą Marek. - Według legend należał do samego Karola Wójcika.

- Ale to przecież niemożliwe...

Zwierzę majestatycznie podeszło do półmiska.

- Teoretycznie niemożliwe - przyznał Marek.

- Mówi się, że ten kot, ratując Wójcika, zabił trzech carskich żandarmów. Gdy przyszli aresztować przywódcę strajku, zrzucił im na głowy osł lokomotywy... W nagrodę, a może za

karę, pozostał w fabryce na zawsze.

- Zabobony.
- Raczej robociarski folklor.

Kot wzgardził rybami. Odwrócił się i wskoczył na obudowę tokarki. Przeszedł z gracją kilka kroków i znikł, jakby się rozpląnął w powietrzu. Pozostałe zwierzęta, miaucząc, rzuciły się do półmiska.

- Nie podoba mi się ta legenda - mruknął Radek.
- Dlaczego? - zdumiał się ślusarz.
- Bo łączy postać niezłomnego bojownika o prawa ludu i wodza klasy robotniczej z jakimś zabobonem. Folklor socjalistycznej fabryki powinien być racjonalny, materialistyczny i ateistyczny!

Ślusarz nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się wrednie.



Dopiero w piątek wyznaczili mu pracę na drugą zmianę, więc mógł rano wpaść do biura SB z meldunkiem. W gabinecie u majora Nefrytowa siedział już jeden gość, ale gospodarz kazał studentowi wejść.

- Poznajcie się, panowie - burknął zwierzchnik do Radka.
- To jest agent w-871. Tajny wydział Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, Departament Emerytur Trudnych.
- Miło mi. - Chłopak podał rękę.

Agent wyglądał jak wampir. Był blady, chudy, patrzył spode łba i woniało od niego starym papierem.

Usiedli. Sekretarka przyniosła kawę zbożową. Brona wyczuł, że zwierzchnik jest z jakiegoś powodu rozdrażniony. Zaniepokoił się w duchu.

- Proszę referować - szef zwrócił się do studenta.
- Zebrałem odciski palców ślusarza Marka, przekazałem do działu daktyloskopii. Sprawdzili na poczekaniu. Pasują.

- Zatem udało się potwierdzić wszystkie założenia... -mruknął major.
- Tak jest! Identyfikacja ze stuprocentową dokładnością. Odciski palców pasują do akt z okresu międzywojennego, jak i dokumentacji zebranej przez UB po wojnie. To faktycznie Wieczny Robol.

- Doskonale. Zatem my zamykamy sprawę, kolejna kontrola za dwadzieścia lat? - Spojrzał pytająco na gościa.

- Nie - warknął przybysz. - Nasze szefostwo podjęło decyzję o likwidacji Wiecznego Robola. I oczekujemy współpracy.

- Czy was w tym ZUS-ie kompletnie porąbało? -parsknął oficer. - Po cholere chcecie go likwidować?

- Trzeba - uciął agent.
- Pomyślcie sami. Ten człowiek zapieprza jako ślusarz, za marne wynagrodzenie. A wiecie, jaki to fachura? Ma co najmniej siedemdziesiąt lat doświadczenia w pracy z obrabiarkami, a ciało dwudziestolatka. Niewysoki, bo przed pierwszą światową ludzicie rośli mniejsi. Czyli je też mniej. Zwłaszcza cenne jest to, że zje mniej deficytowego mięsa. Zresztą

cholera ich tam wie, wynaturzeńców, może wcale nie potrzebuje jeść? Silny. Zdrowy. Chorobowych nie bierze i co najważniejsze, na emeryturę się nie wybiera! Do Solidarności się nie zapisał, nie lubi gadać o polityce, nawet antypaństwowych dowcipów nie wygłasza. Robotnik jak złoto, a wy chcecie go wykończyć!? Dlaczego?

- Istnieje poważne ryzyko, że kiedyś jednak pójdzie na emeryturę - powiedział w-871.
- I co z tego? - wtrącił się Radek.
- Płacił normalnie składki. Ma ze sto lat udokumentowanego stażu pracy. Nawet przy minimalnych stawkach musielibyśmy mu wypłacać ze sto pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie!
- Ale sto lat temu nie było przecież ZUS-u!? - zdumiał się student.
- Za to były towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych, a przed wojną kasy chorych. Po wojnie przejęliśmy ich majątek. Teoretycznie wraz z ubezpieczonymi - skrzywił się agent. - Wprawdzie hitlerowcy, a potem towarzysze z różnych służb poważnie zredukowali liczbę uprawnionych do emerytur... - uśmiechnął się wrednie - ale niektórych, niestety, przegapili.
- Czego od nas oczekujecie? - zapytał major.
- Identyfikacji celu, co właściwie już zrobił pański człowiek. - w-871 uśmiechnął się, szczerząc zębiska poźółkłe od kawy i nikotyny.

- Kur... - major zdusił przekleństwo.
Gość uklonił się i wyszedł.
- No i po ptokach - westchnął oficer. - Czekamy na akt zgonu i odsyłamy akta Wiecznego Roboła do archiwum spraw zamkniętych. A szkoda. Liczyłem na to, że gdybyśmy znaleźli na niego odpowiednio mocne haki, dałoby się zrobić z niego wiecznego kapusia... - rozmarzył się. - To jest, chciałem powiedzieć, wiecznego tajnego współpracownika - ugryził się w język.
- Im tak wolno? - zdumiał się Radek. - Likwidować, kogo zechcą?
- Oficjalnie nie - westchnął jego zwierzchnik. - Ale to służba tak tajna, że nie sposób nawet udowodnić jej istnienia... Zatem w praktyce mogą zrobić wszystko, co im do łbów strzeli.
- Ale to nasza sprawa!
- Była nasza... ZUS to potęga, przed którą drży nawet bezpieczeństwo. Zdenerwowałem się - burknął i podszedł do szafki kryjącej koniak. - A wy, Brona, gońcie do fabryki, bo się spóźnicie!
- Rzucił okiem na zegarek.
- Skoro zamykamy sprawę...
- Sprawa sprawą, a praktyki zawodowe przydadzą się wam w karierze. No i w poniedziałek czekam na raport. Tylko żebyście przypadkiem nie ostrzegli ślusarza! - huknął. - ZUS by nam tego nigdy nie wybaczył! A oni mają naprawdę długie ręce...



W mieszkaniu ślusarza Marka Igor wyłączył głośnik i zaczął zwijać antenę.
- Cie choroba - powiedział, kręcąc głową. - Ty to masz nosa! W życiu bym nie przypuścił, że ten studencik może być wtyczką...
- Jak pożyczysz tyle co ja, też się nauczysz rozpoznawać kapusiów na kilometr - mruknął Marek. - Carscy, sanacyjni, hitlerowscy, komuniści, jeden do drugiego toczka w toczkę podobny... Ale pewności nie miałem, więc skorzystałem z pomocy Fabrycznego Kota.
- Niech zgadnę... Metodą na śledzika?
- Oczywiście. To najlepszy sposób. Nie zdarzyło się przecież dotąd, żeby przyjął

poczęstunek od konfidenta... Na szczęście technika poszła do przodu, więc i łatwiej takiemu gnojkwowi pluskwę podczepić. Bardziej mnie martwi ten w-871.

- ZUS jak do tej pory się nas nie czepiał. Sądysz, że...
- Ano trzeba dać im czytelny sygnał, żeby nie pchali nosa w nasze sprawy. A chłopaka załatwimy na perłowo. Wieczorkiem wyprawiam imieniny.
- Użyjemy naszej tajnej broni?
- Tak. Zadzwoń po Ślicznotkę. I dajmy znać Gosi.



Radek Brona tego ranka stwierdził, że czuje się w zakładzie niemal jak w domu. Z biura przysłano rozrysowany projekt sworznia. Pobrał z magazynu walec odpowiedniej stali. Zakręcił go w tokarkę. Osadził odpowiednie noże i puścił silnik w ruch. Wykonał zlecenie w kilkanaście minut, poleciał do hali, pomógł w instalacji dorobionego detalu w miejsce zużytego i z zadowoleniem patrzył, jak każdo do galwanizacji napełnia się setkami kilogramów nakrętek.

Tacy jak ja ratują plan przed zawaleniem się, pomyślał nie bez dumy. To my, ślusarze, nieustannie reanimujemy te przedpotopowe maszyny.

Potem brygadzysta skierował go do działu tokarek. Radek przez trzy godziny wymieniał tępe sowieckie noże na nowiutkie niemieckie. Zużyte trafiły do pojemnika na złom, po przetopieniu coś się z nich jeszcze zrobi... Zaduch, brud i hałas nie robiły już na nim wrażenia.

Jednak fajnie być robotnikiem, stwierdził. Przynajmniej widać jakiś pożytek z pracy... W biurze to tylko się przerzuca papiery z jednego stosu na drugi...

Zagryzł zęby. No tak. Marek. Ślusarz narzędziowiec. Elita fachu. Toczący i skrawający nawet z zawiązanymi oczami. Niezastąpiony. A tu, niestety, jakiś wypłosz, koleś od mokrej roboty, urzędas z ZUS-u przyjdzie i wpakuje mu srebrną kulkę.

Mus to mus, zdusił w sobie bunt. Co z tego, że dobrze pracuje, skoro samo jego istnienie może prowokować ciemnotę do praktyk religijnych? Budowa socjalizmu to wielkie dzieło. Każdy musi poświęcić coś dla przyszłych pokoleń. Skoro kolektyw zdecydował, że trzeba zlikwidować, to znaczy, że trzeba...

W tym momencie ktoś przyjacielsko klepnął go w ramię.

- Radku! Wszędzie cię szukam. - Ślusarz Marek uśmiechnął się do współpracownika. - Mam dziś imieniny.

- Serdecznie gratuluję... - bąknął student.
 - Robię wieczorkiem małą imprezkę, przyjdzie mój kumpel Igor, będą jeszcze ze dwie fajne dziewczyny. Kulturalnie, żadnego chlania wody. Wino mam dobre, zagraniczne, muzyki posłuchamy...
 - Ale ja...
 - Chcesz przecież wstąpić do PZPR. Zatem musisz poznawać rozrywki prostych ludzi. Jak nie przyjdiesz, to się obrażę. A w mojej osobie obrazi się na ciebie cała klasa robotnicza!
- Ten argument przeważał...



Radek zapukał do drzwi. Zaraz otworzyły się gościnnie.

- Zapraszamy w nasze skromne progi. - Marek gestem zachęcił gościa.

Student wszedł i rozejrzał się wokół. Spodziewał się robociarskiej nory, zdezelowanych mebli z płyty paździerzowej, pustych flaszek po wódzce, odrapanych ścian, a tymczasem wewnątrz urządzone było prosto, ale ze smakiem. Zauważył nawet telewizor Rubin i odtwarzacz wideo. Kasety stały na regaliku.

- Fiu, fiu! - gwizdnął gość.

- Meblościanka ze Swarzędza...

- Odrzut eksportowy - pochwalił się gospodarz.

- Igora, zdaje się, znasz?

- Tylko z widzenia...

Wampir komunista pobrzękiwał w kuchni kieliszkami.

- A to Ślicznotka. - Marek pchnął drzwi mniejszego pokoiku. - Przyjechała do nas z

Łodzi... Poznajcie się, proszę.

Student spojrzął i szczeka mu opadła. Dziewczyna siedząca przy biurku była obłędnie piękna. Miała śliczną okrągłą buzię, długie, grube warkocze... Ale najbardziej zdumiało go, że ubrana była w sukienkę uszytą z czegoś bardzo przejrzystego. Pod cieniutkim materiałem wyraźnie rysowało się nieziemsko kształtne i zgrabne ciało.

- Cześć - powiedziała miękko.

Uśmiechnęła się przy tym i spojrzała tak zalotnie, że serce zatrzepotało mu w piersi jak kanarek w klatce. Nie bardzo umiał cokolwiek odpowiedzieć, wszystkie potrzebne słowa gdzieś uleciały...

- Napijemy się najpierw wermutu. A później - ślusarz pokazał mu omszałą butlę - bordeaux, rocznik tysiąc dziewięćset osiem.

- Prawdziwy rarytas - bąknął kapuś, nie mogąc się zdecydować, czy patrzeć na wino, czy na dziewczynę.

- Skosztuj wermutu. - Igor wetknął mu kieliszek w dłoń.

Student machinalnie wychylił do dna. Zaraz dolali mu jeszcze. Wypił i poczuł śladowy przypływ odwagi.

- Jaka ona piękna - szepnął.

- I ma osiemnaście lat - usłyszał szept ślusarza.

- A nawet już od dawna ma osiemnaście lat... Jakbyście chcieli zostać trochę sam na sam, to wystarczy przymknąć drzwi...

Radek odchrząknął. Wino go uskrzydliło. Zrobił krok do przodu, potem drugi.

- Czy mogę panią zaprosić do tańca?

Ślicznotka uśmiechnęła się czarująco. W koralowych usteczkach zaśniły ząbki bielutkie jak perełki.

- Tak bez muzyki? - Głos miała jak srebrny dzwoneczek...

- Poprośmy Marka, żeby włączył magnetofon! A potem... - spojrzała na niego powłóczyście.

Wstała i podeszła, uśmiechając się. Nagle zamarła i zatrzymała się w pół kroku, jakby

trafiła na niewidzialny mur.

- Wiesz co - westchnęła.

- Jednak sobie nie pofiglujemy.

- Dlaczego? - omal się nie rozplakał.

- Przecież jestem miły, przystojny, elokwentny...

- Jesteś katolikiem, z punktu widzenia twojej religii sypianie z dziewczętami bez ślubu to grzech. Nie chcę, żebyś miał potem wyrzuty sumienia.

- Ale ja... A, to! - domyślił się i ściągnął pospiesznie łańcuszek z krzyżykiem. - Tak tylko dla picu noszę. - Rzucił krzyżyk na parapet, aż zabrzęczało.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła w jego stronę ręce. Igor podał mu kieliszek wina. Kapuś wypił jednym haustem. Z saloniku dobiegały już dźwięki muzyki...

Gosia przyszła kilka minut po północy. Przywitała się w progu z Igorem i Ślicznotką.

- I jak? - zapytała gospodarza.

- Zgodnie z planem, gotów... - mruknął Marek.

- Sama zobacz.

Radek siedział przy stole nad kieliszkiem wina. Na twarzy miał głupkowaty uśmiech.

- Jak sytuacja na zewnątrz? - zapytał ślusarz.

- Miał pan rację, że spróbują się dzisiaj na pana zasadzić. Zaczaili się koło bramy. Siedzą w kontenerze na śmieci. Nie wypatrzyłabym ich, ale strasznie smrodzą papierosami.

- Prawdziwi nieznani sprawcy. - Skrzywił się. - Stulecie mija, a metody ciągle te same. A więc zaczynamy realizację drugiej części planu...

Wyjął z szafki dwa pięciokilogramowe młotki. Każdy miał dolutowany odlew ludzkiej pięści. Igor z torby wyciągnął zaostrome ogrodnicze „pazurki”.

- Po co to? - zaciekawiała się Gosia.

- Wiesz, co mówią o nas legendy ciepłych - westchnął ślusarz.

- Wampiry są według nich niezwykle silne. A sama najlepiej zdajesz sobie sprawę z tego, jak jest naprawdę... Dzięki narzędziom - potrząsnął młotkiem - można zadać obrażenia, które będą wyglądały jak ślady po niebywale mocnych uderzeniach gołą ręką. Dobrze czasem podsycać zabobony, zwłaszcza te, które chronią naszą skórę.

- A ja - Igor bawił się grabkami - zrobię nakłucia wyglądające na ślady wampirzych zębów. Tylko na każdym agenciaku odbiję po kilkadziesiąt.

- Nie rozumiem po co.

- Gdy dojdą do siebie, będą pobici i pokaleczeni. Jak ci z ZUS-u zrobią obdukcję, stwierdzą, że ich ludzi dopadło wielkie stado niebywale silnych i głodnych jak cholera wampirów. To zniechęci kierownictwo instytucji do pchania nosa w nasze sprawy!

- Ale w jaki sposób zamierzacie ich unieszkodliwić? Siedzi ich w tym kontenerze chyba z pięciu i...

- Normalnie. - Ślusarz pokazał Gosi milicyjny miotacz gazu. - Zamkniemy klapę na kłódeczkę, wpuścimy gaz przez dziurkę. Dziesięć minut i po problemie. Wleziemy do środka, przecież nie musimy oddychać. A potem nic na siłę, wszystko młotkiem!



Radek obudził się na potwornym kacu. Leżał na kocu koło kaloryfera. Przetoczył

wzrokiem po saloniku.

- Gdzie ja jestem... - mruknął. - Ach tak... Mieszkanie Wiecznego Robola, ślusarza Marka.

W sąsiednim pomieszczeniu coś straszliwie, a zarazem jakby znajomo łomotało. Konfident długo nie mógł dojść, co to za dźwięk. Ktoś... Ktoś pisał na maszynie!?

- Wody - wychrypiał.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie pospieszył mu na ratunek. Kapuś zwał się z koca. Z trudem stanął na nogi. Spodnie wisały na krześle. Nim je założył, dwa razy omal nie runął. Zapinając koszulę, odkrył na swoim torsie odbite karminowe ślady usteczek.

- Zagraniczna szminka! - zidentyfikował. - Ale... zaraz. - Ścisnął skronie. - Co to było wczoraj wieczorem? Tańczyliśmy. Ślicznotka... Poszedłem z nią do pokoiku. Było tak słodko. A potem? Wino, stuletnie chyba... I znowu Ślicznotka, ale tym razem byliśmy pod prysznicem... Spociała się, biedactwo, w tańcu, pomagałem jej umyć plecki... I pupcię. A potem... Kurde. Co było potem!? Chyba kolejna rundka, ale już bez prysznic, boby się zmyły te ślady. Diabła tam, niewiele pamiętam. Zaraz, zaraz? Moja siostra wampirzyca tu przylazła!? I ktoś na stole leżał? E, niemożliwe, to chyba tylko delirka.

Poszedł do kuchni. Kieliszki, świeżo umyte, stały na suszarce. Student przeliczył puste flaszki. Cztery? Na trzech chłopca, co to jest... Na blacie stołu na srebrnej paterze piętrzyły się ciastka. Obok, jakby specjalnie dla niego, naszykowano dwie zapotniałe od chłodu butelki kefiru. Zerwał folię aluminiową i ugasił ogień płonący w trzewiach. Pięć minut później był już jakby bardziej do życia. Tylko ten uporczywy łomot...

- Ślicznotko! Miłości moja! - wychrypiał i czepiając się ściany, ruszył na poszukiwanie kochanki.

Drzwi do drugiego pokoju były lekko uchylone. Zajrzał i zamarł w progu.

Gosia siedziała przy biurku, stukając w klawisze maszyny do pisania. Igor zdejmował właśnie zdjęcia, które suszyły się na sznurku rozciągniętym w poprzek pomieszczenia.

- Wreszcie wstałeś - burknęła dziewczyna. - Najwyższa pora, już wpół do pierwszej...

- Co...?

- Ano, drogi szpiegusiu za dychę, postanowiliśmy wyręczyć cię w robocie i piszemy za ciebie donos - powiedział Igor życzliwie. - Sam rozumiesz, gdybyś sam się do tego zabrał, mogłyby wynikać różne problemy i nieprzyjemności... A tak podpiszesz tylko, zanieziesz gdzie trzeba i gotowe.

- Ale ja...

- Podpiszesz i zanieziesz majorowi - powtórzył wampir, szczerząc kły. - I od dziś możesz się uważać za prze-werbowanego.

- Przewer... co? - wychrypiał Radek.

- Jesteś naszą wtyczką w Wydziale Z ubecji - wyjaśniła mu siostra pogodnie. - Masz nas z wyprzedzeniem informować o wszystkim, co knują, a wszelkie raporty będziesz najpierw uzgadniał z nami.

- Co wy sobie wyobrażacie!? - ryknął. - Wy... wy... wy... zabobony. Ja was...

- Dzieciaku - westchnął Igor.

- Albo robisz, co każemy, albo twój przełożony dowie się, co robiłeś wczoraj wieczorem.

- A co niby robiłem? - zapytał głupio chłopak.

- Pokaż mu - westchnęła Gosia.

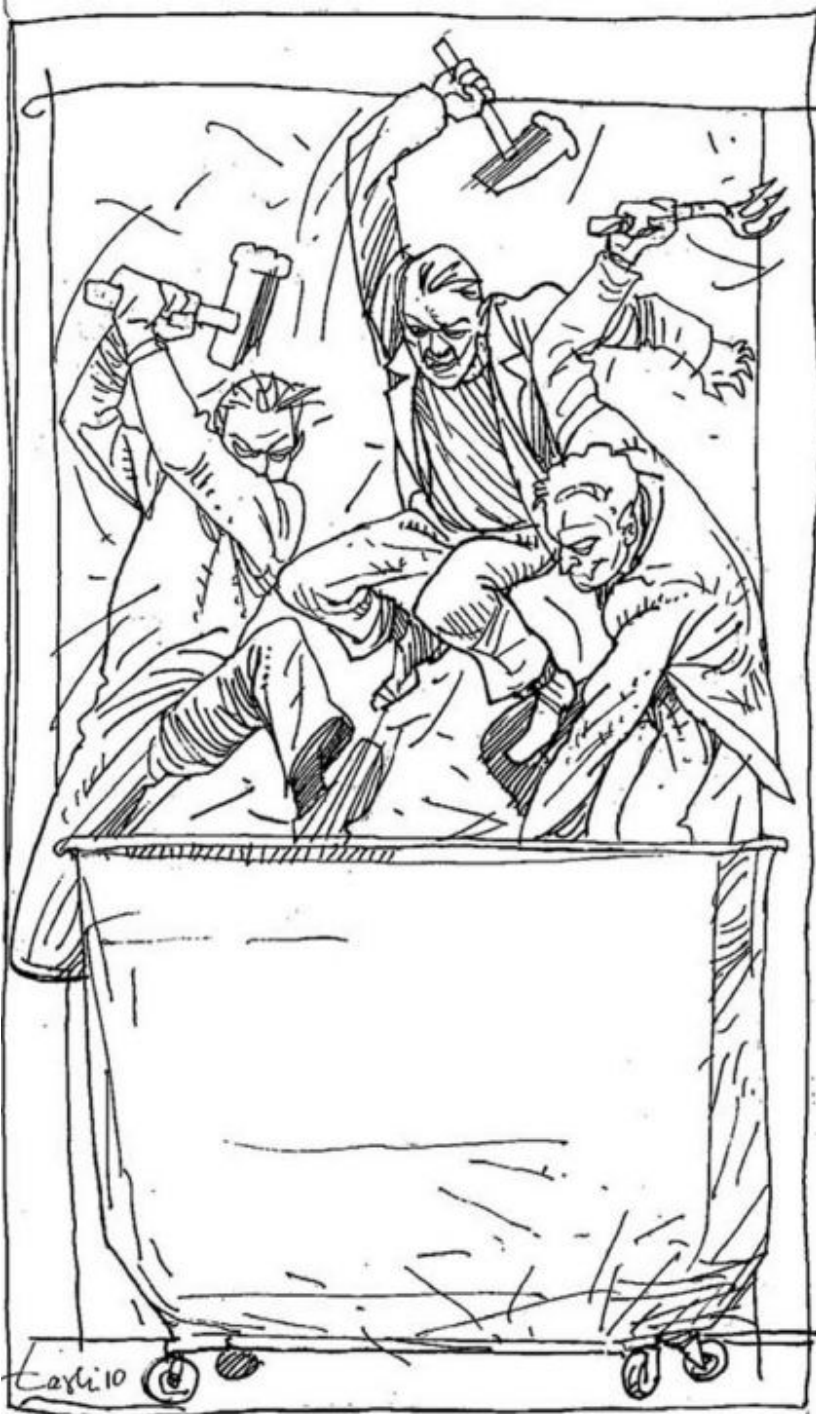
Wampir komunista uśmiechnął się wrednie.

- Ano zerknijmy na nasze materiały...

Odczepił pierwsze zdjęcie. Radek popatrzył na nie zmartwiały. Widać było wyraźnie, jak

tańczy ze Ślicznotką. Tylko że, khm... Dziewczyna była trochę rozebrana. Nie zdjęła ani zegarka z ręki, ani naszyjnika, ani bransoletki z kostki nogi... Za to reszta...

- Każdemu wolno tańczyć nawet z zupełnie nagą dziewczyną... - bąknął.
- A wampiry oficjalnie nie istnieją...
- Ślicznotka to nie wampir. Rzeczywiście taniec to nic złego, ale partia potępia udział w orgiach.



Nazywają to rozkładem moralnym i burżuazyjnym stylem życia - tłumaczyła jego siostra. - Mamusia

oczywiście dałaby ci za to dodatkowo po łbie, ale nie będę kablować, biedaczka ma dość innych problemów.

- Tu jest jeszcze jedno. - komunista podał mu kolejną odbitkę.

Radek gwałtownie wciągnął powietrze.

- Jak śmieliście ją fotografować w takiej chwili, wy bydlaki! - wybuchnął. - Że o sobie nie wspomnę!

- Pozwoliła. - Igor wzruszył ramionami. - Ona nawet nie wie, czym jest wstyd. To

Mawka.

- Kto?

- Istota taka, z ukraińskich legend - wyjaśniła Radkowi siostra. - Są nieziemsko piękne i uwielbiają tańczyć. No i, co ciekawe, żywią się energią wysysaną z chłopaków w trakcie stosunków seksualnych. A każde zbliżenie na parę godzin pozbawia mężczyznę rozumu. To nasza tajna broń na takich jak ty ubeckich obszczymurków.

- Nic na mnie nie macie! - jęknął.

- Hmm... A może jednak coś? - Igor odczepił kolejną fotkę.

Radek wziął ją do ręki i tym razem szczęka opadła mu z trzaskiem. Na zdjęciu widniał agent w-871. Leżał nagi na stole, a Radek przysysał usta do jego szyi.

- Ja.. ja.. ja... - wykrztusił student.

- Możesz się tłumaczyć, że to skutek zaćmienia umysłu wynikający z przypadkowego uprawiania seksu. A z prawnego punktu widzenia to współudział w wysysaniu krwi urzędnika państwowego. - Siostrzyczka wyszczerzyła ząbki w uśmiechu. - Karalne to nie jest. Może twojemu szefowi by się to nawet spodobało, strasznie ich nie lubi. Ale sam wiesz, że ZUS nie zapomina i nie wybacza nigdy. I ma naprawdę niezłych speców od mokrej roboty. Na nas oczywiście trochę za ciency, ale ciebie po-szatkuje jak kapustę.

- A jaka jakość fotografii, czysta żyleta. Naprawdę świetnie mi wyszło - chwalił się Igor. - Zeissowska optyka!

- Największy problem był zawsze ze zrobieniem fotografii wampira - wyjaśniła Gosia. - Sole srebra jako materiał światłoczuły nie wchodzi w grę. Ale w tym przypadku ta ciekawa właściwość kliszy działa na naszą korzyść. Dlatego właśnie na fotkach wyjdiesz na jedynego sprawcę.

Radek lkał jak dziecko, a łzy rozbijały się o parkiet podłogi.

- No już, nie becz. - wampir komunista stanął obok i przyjacielsko objął go ramieniem.

Następnie podreptał do kredensu, pogrzebał w środku, zabrzączało szkło. Podsunął chłopakowi pod nos musztardówkę z radzieckim koniakiem.

- Weź się w garść. Jesteś wśród przyjaciół. Pracuj lojalnie, a nikt się o niczym nie dowie.



Kapłan



Był ponury jesienny wieczór.

W magazynie na drugim piętrze Muzeum Narodowego grupa studentów archeologii zebrała się na ćwiczenia. Za oknami szumiały drzewa parku, po niebie sunęły burzowe chmury. Do scenarii niczym z horroru pasował temat zajęć. Dziś omawiali staroegipskie obyczaje funeralne...

- Pamiętajcie państwo moje wykłady na temat mumii - perorował doktor Olszakowski. -

Rozróżniamy cztery rodzaje mumii egipskich. Czy ktoś umie je wymienić?

- Po pierwsze naturalne. Powstały samoistnie, gdy nie podejmowano żadnych zabiegów mających umożliwić przetrwanie ciała, a jedynie grzebano zwłoki w sypkim piasku, który wyciągał z nich wilgoć - zaczął wyliczać rozczochrany student w okularach. - Trzy kolejne typy mumii różnią się długością procesu balsamowania i starannością konserwacji narządów wewnętrznych. W najtańszym wariantcie trawiono je olejem cedrowym, w najdroższym stosowano całą masę rozmaitych zabiegów...

- Doskonale. A zatem mamy tu jedyną w kraju i jedną z nielicznych na świecie mumię egipską zakonserwowaną sposobem piątym.

- Nie mówił pan o tym na wykładach - zdziwiła się studentka z jasnym warkoczem.

- Zatem opowiem o nim teraz.

Ujął dłoń mumii i ostrożnie ciągnąc, rozprostował powoli całe ramię. Studenci zaszemrali zaskoczeni.

- Jak państwo widzicie, tkanki, mimo że znacznie odwodnione, zachowały pewną elastyczność. Badania próbek wykazują, iż do krwioobiegu tego mężczyzny przetoczono zamiast krwi niezidentyfikowaną substancję pochodzenia roślinnego, która poprzez naczynia włosowate przesycała całe ciało, a tężąc, zamieniała się w coś na kształt lateksu.

- Jak zdołano tak dokładnie spuścić krew i wprowadzić na jej miejsce płyn konserwujący?
- zapytała inna ze studentek.

- Wydaje mi się, choć znajomi lekarze nie potwierdzili tej teorii, że można to było zrobić jedynie „na żywca”. Serce musiało bić przez cały czas. Wykonano nacięcia na nadgarstkach i piętach, żeby krew mogła uchodzić, a przez rurkę wbitą w aortę wprowadzano tę zagadkową substancję.

- Serce by nie wytrzymało. Zresztą mózg z pewnością obumarł szybko z braku tlenu i krążenie definitywnie ustało... - zaprotestował student w okularach.

- Przypuszczam, że resztkę preparatu tłoczono, uciskając rytmicznie klatkę piersiową jak przy zabiegach reanimacyjnych - dowodził profesor.

- W każdym razie „świat naukowy” jak do tej pory ignoruje moje odkrycie. Niestety, na moją niekorzyść działają tu głupie stereotypy. Mumifikacja za życia była motywem zbyt często wykorzystywanym przez dziewiętnastowiecznych autorów powieści brukowych. Teraz, z lęku przed kompromitacją, moi uczeni koledzy nie chcą podjąć się jakichkolwiek badań.

- To z pewnością bolało - zauważyła jedna z dziewcząt. - Czy wiadomo, kim był i dlaczego zdecydował się na tak okropny zabieg? Bo chyba nie zrobiono mu tego za karę?

- Miał na imię Hefi i był kapłanem bogini miłości Bastet - powiedział doktor

Olszakowski.

- Zachowała się na jego temat spora ilość papirusów z okresu rzymskiego. Hodował koty w przyświątynnej fermie. Gdy któryś zdechł, kapłan go mumifikował i sprzedawał pielgrzymom.

- Po co? - studentka z warkoczem wytrzeszczyła oczy.

- Oj, nie czytało się zadanych lektur - zgromił ją. - Jako wota. Kto chciał się pomodlić, kupował sobie takiego kotka i stawiał w przybytku, żeby bogini popatrzyła na niego przychylnym okiem. W tym okresie Egipt był już podbity przez Rzymian. Kapłanowi się to niezbyt podobało, więc w swojej świątyni zawiązał spisek przeciw Neronowi. Spiskowcy zbierali się na kociej fermie, tankowali wino palmowe i kombinowali, jak by tu zaszkodzić Rzymianom. Do spisku wciągnęli księżniczkę Merit-Amon, należącą do bocznej linii rodu, z którego wywodziła się słynna Kleopatra. Dziewczyna też lubiła koty, a kapłan miał zawsze kilkaset. Jak to się mówi, krew nie woda, więc Hefi zabujał się w dziewczynie. Zdaje się, i bogini mu sprzyjała, bo księżniczka odwzajemniła uczucie. Naturalnie wywiad Nerona dowiedział się o

wszystkim, to znaczy o spisku, a nie o romansie, i aby podciąć buntownikom skrzydełka, wprowadzono zakaz tej formy kultu. Ferma została zburzona, koty rozgoniono, a za kapłanem i jego ukochaną wystosowano listy gończe. Oczywiście cwani Rzymianie nie pisali w nich, że młodzi są spiskowcami, tylko przedstawili ich jako odrażających oprawców zwierzątek. Niby że aby przyspieszyć produkcję wotów, dusili koty. Do tego wynajęty arcykapłan sporządził ekspertyzę teologiczną, z której wynikało, że mordowanie ulubionych zwierząt bogini jest szczególnie paskudną profanacją.

- I co na to kapłan Hefi? - zainteresował się student w okularach.

- Wiedział, że władzy państwowej nie ma co fikać, a na pokonanie siły rażenia oficjalnej rzymskiej propagandy brakowało mu skrybów i papirusu. Postanowił przeczekać kilkaset lat, aż sprawa przyschnie. Dlatego kazał zmumifikować siebie i dziewczynę. Wierzył, że ożyją, gdy ich mumii dotknie ręka arystokratki.

- Ręka arystokratki? - Jedna z dziewcząt protekcyjnie poklepała zwłoki kapłana. - Mój dziadek był nieślubnym synem hrabiego i baletnicy, czy to się liczy?

- Proszę nie dotykać bezcennego eksponatu! - syknął Olszakowski.

- To wolno tylko magistrum! A teraz obejrzymy sobie ślepe wrota mastaby. - nakrył sarkofag grubą szybą i poprowadził studentów w inny kąt magazynu.



Nad ranem sarkofag lekko zadrżał. Starożytne dechy zaskrzypiały. Poczerniała, wyschnięta dłoń uniosła się i zaraz bezwładnie opadła w dół. Kapłan budził się powoli. Ziewnął tak rozdzierająco, że mało brakowało, a odpadłaby mu szczęka. Uchylił z wysiłkiem wysuszone powieki. Na szczęście szklane oczy, które wstawiono mumii podczas balsamowania, zachowały przejrzystość i przejęły funkcję brakujących źrenic.

- Gdzie ja jestem? - mruknął, rozglądając się wokół. - To chyba nie jest sąd Ozyrysa...
Zatem ktoś mnie przywrócił do życia. Wybiła godzina zemsty na Rzymianach!

Próbował usiąść i nieoczekiwanie walnął głową w szybę. W pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiał, co się stało. Wyciągnął rękę i z niedowierzaniem dotknął przeszkody.

- A niech mnie! - westchnął, obmacując tafle.

- Szkło! Jaka przejrzystość! Jakie rozmiary. - Wręcz nie mógł uwierzyć w to, co widzi. - Talent srebra, co najmniej... - oszacował wartość skarbu.

- A gdyby po cichu spylić Fenicjanom... Byłaby kasa na remont dachu świątyni i na nowy rydwan dla arcykapłana, i dla mnie też oczywiście coś by skapnęło.

Wstrzymując z wrażenia oddech, popchnął delikatnie. Szyba uniosła się lekko. Zaczepił krawędź palcami, ostrożnie przesunął w bok i opuścił na podłogę. Na myśl o tym, ile musiałby zapłacić, gdyby ją rozbił, poczuł mrowienie na karku.

- Gdzie ja jestem? - rozejrzał się wokół.

- Przecież to nie jest mój grobowiec! Skład rupieci w jakiejś świątyni? Czemu to wszystko takie zdezelowane?

W pomieszczeniu dostrzegł trochę egipskich sprzętów. Były potwornie zniszczone. Kolory kompletnie wyblakły, metale zaśniedziały, drewno popękało, wysychając... Spróbował wstać z sarkofagu, jednak nie udało się. Nogi w kolanach kiepsko się zginały.

- Gdzie moi pomocnicy?! - zawołał.

- Wyraźnie przecież napisałem w instrukcji, że przy budzeniu ma być obecny przeszkolony personel! Nawet zrobiłem w fenickim banku lokatę na ten cel. Potrzebuję przecież wody i oliwy, żeby odwrócić proces mumifikacji i odzyskać sprawność ciała... No i gdzie jest arystokratka, która mnie obudziła? I czemu nikt mnie nie odwinął? - Szarpnął za resztki bandażu.

Klnąc pod nosem, zginał nogę w kolanie, aż wreszcie zdołał rozćwiczyć zeszywniałe ścięgna. Wstał niepewnie.

Popatrzył na swój sarkofag.

- Farba cała się łuszczy... Albo ten grubas Sinuhe dał jakąś tandetę, albo musiało minąć naprawdę dużo czasu - mruknął.

- Dwieście lat, może nawet trzysta. I bandaże straszliwie zetlały. I amulety ktoś ukradł. - Pomacał się po szyi, ale znalazł tylko resztki sparciałego rzemyka.

- I sygnet po tacie gdzieś zniknął. - spojrzał na palce.

Przespacerował się po pomieszczeniu. Owijające go paski tkaniny darły się jak pajęczyna i spadały na podłogę. Za oknem niebo robiło się coraz jaśniejsze, świtało. Hefi otworzył pierwszą z brzegu szafkę. W pudełku leżała garść skarabeuszy.

- Tania tandeta dla biedoty - ocenił.

- Ciekawe, po co ktoś zgromadził ten szmelc... I gdzie ja w ogóle jestem? Te szafy otwierają się jak rzymskie. Agenci namierzyli mój grób, wyrabowali, wywieźli mumię za morze, potem wpakowali do jakiegoś magazynu i zapomnieli? Bzdura! Rzymskie służby o niczym nie zapominają.



A jakby jednak
zapomniały, to mają kartoteki na papierusie i kopie w ważniejszych garnizonach.

Natknął się na zlew. Obok stał czajnik elektryczny, w którym pracownicy gotowali sobie wodę na herbatę.

- Dzban jakiś dziwaczny?

Zajrzał do środka, powąchał i wychleptał całą zawartość. Długą chwilę stał nieruchomo, czekając, aż substancja w jego żyłach trochę się rozpuści. Zaczerpnął powietrza. Płuca podjęły pracę. Po kilku minutach prób i błędów zdołał odkręcić kurek i napić się kranówki.

- Nieźle - mruknął. - Całkiem jak w Pompejach.

Sześć litrów później poczuł, że organizm funkcjonuje już całkiem znośnie. Tylko zewnętrzne warstwy ciała wysuszone były na wiór. Ale tu potrzeba było kilku litrów oliwy. Podszedł do okna. Kolejne ogromne tafle idealnego szkła nie zrobiły już na nim takiego wrażenia. Spojrzał przez okno.

- Gdzie ja jestem? - szepnął, widząc drzewa gubiące liście. - To przecież nie jest Egipt! Rzym też nie, przecież bywałem w imperium. To roślinność z dalekiej Północy. Co to się porobiło? Jakies europejskie dzikusy wywlekły moją mumię z grobowca i wywozły Set wie dokąd!

Biadał przez chwilę, a potem się otrząsnął.

- Dobra, weź się w garść, Hefi - przykazał sobie.

- Jesteś przywódcą wielkiego spisku. Najlepszym konspiratorem w historii Egiptu.

Poradzisz sobie z takimi drobiazgami.

W tym momencie drzwi skrzypnęły rozdzierająco. Nocny stróż wpadł do pomieszczenia z pistoletem w jednej dłoni i milicyjną pałą w drugiej.

- Co tu się, do cholery...

Hefi odwrócił się w jego stronę. Wachman na widok ożywionej mumii przez chwilę stał niczym słup soli, a potem padł zemdlony. Kapłan podszedł do niego.

- No co? Mumii nie widziałeś? - parsknął zirytowany. - Wiem, jak wyglądam, ale mógłbyś wykazać odrobinę tolerancji.

Obejrzał zemdlonego.

- Dzikus z dalekiej Północy - zidentyfikował typ antropologiczny. - W dodatku nieogolony. Ano dobra, nie kijem go, to mieczem chepesz...

Następnie spokojnie i metodycznie pozrywał z siebie resztę bandaży. Z zemdlonego ściągnął koszulę.

- Niewątpliwie jest to jeden z krajów barbarzyńskich - mruczał do siebie, zdejmując spodnie strażnika. - Tylko oni chodzą w czymś takim... Ano trudno, nie ma co wydziwiać. Dostosowujemy się do klimatu.

Przebrał się, założył na nogi trampki i zbadał swoje odbicie w szybie.

- Ujdzie - ocenił, krzywiąc się niemiłosiernie. - Tylko ta gęba, jak z sennego koszmaru. Trzeba jak najszybciej zdobyć oliwę. A skoro mam jakoś przetrwać w tym niegościnnym obcym świecie dalekiej przyszłości, powinienem zacząć od wtopienia się w tłum i pozyskania informacji.

Otworzył ponownie szafkę i zaczął grzebać w amuletach. Położył nieprzytomnemu na czole oko udźat, na powiekach umieścił dwa skarabeusze.

Znowu się zakrzętała po magazynie. Ku swej radości znalazł niewielki posążek bogini Bastet. Ustawił go obok miejsca pracy i wykonał przepisowe trzy pokłony.

- O pani, to ja, twój wierny kapłan i niewolnik Hefi. Zechciej znów użyć mi choć trochę mocy, bym nadal mógł ci służyć - szepnął.

Bogini użyła mu mocy. Skoncentrował się. Nawiązanie kontaktu telepatycznego z nieprzytomnym strażnikiem poszło jak z płatka. Hefi szybko odnalazł wejścia w głąb jaźni. O dziwo, nie były w żaden sposób zabezpieczone. Starannie omijając pola nałogów, przepłynął przez umysł w poszukiwaniu pól kodów języka. Po godzinie zakończył poszukiwania w labiryncie duszy barbarzyńcy i wybudził się z transu.

- Dzień dobry - powiedział na próbę po polsku. - Jak się macie, towarzyszu? Wrona orła nie pokona.

Akcent nie pasował do wzorca zaczerpniętego z umysłu zemdlonego, ale nie było już

czasu na poprawki. Kapłan odczepił kółko z kluczami. Potem ułożył strażnika w sarkofagu i nakrył wiekiem.

- Dobra, może przez wachtę lub dwie nikt nie zauważy - mruknął. - A teraz chodu.

Ukradnę konia lub wielbłąda i znikam...

Posążek wpuścił w kieszeń, przecież nie zostawi wizerunku bogini w rękach pogan.

- Ha. A jednak musieli mieć jakieś kontakty z Rzymem - stwierdził, obracając klucz w zamku. - Zupełnie podobna technika.

Zamknął magazyn i po marmurowych schodkach zszedł na dół do portierni. Wyszedł przed budynek.

- Na święte papirusy Tota! - wykrzyknął, rozglądając się po okolicy. - A cóż to za fikuśna architektura!? Ale trzeba przyznać, że z rozmachem budują, choć szpetnie...

Socrealizm najwyraźniej nie przypadł mu do gustu. Na frontonie leżącej obok muzeum siedziby PZPR widniał czerwony transparent ozdobiony białymi literami.

- „Naród z Partią” - odczytał kapłan. - I litery rzymskie, i styl propagandy jakby podobny... Widać ta ich prymitywna cywilizacja zrobiła wrażenie na dzikusach, bo sporo skopiowali... Ciekawe, swoją drogą, który jest rok.

Długą chwilę podziwiał samochody mknące ulicami.

- Rydwany bez koni - mruknął. - Niezły pomysł, w sam raz recepta na nasz kryzys paliwowy. Tyle owsa wysyłamy przecież ostatnio do Italii. Ile asfaltu - szepnął, z podziwem patrząc na nawierzchnię.

Pociągnął nosem i przez jadowitą woń spalin wyczuł zapach Wisły.

- Rzeka to zawsze dobra droga ucieczki. Ukradnę felukę i poześluję na południe - podjął natychmiastową decyzję. - Dopłynę, dokąd się da, przejdę przez Alpy, poszukam rzek płynących na południe, a potem się zobaczy.

Ruszył estakadą mostu Poniatowskiego. Szedł i szedł, teren obniżał się wyraźnie, ale rzeki ciągle nie było widać. Mięśnie zastałe od dwu tysięcy lat i nadal zeszytywniałe stawy nie ułatwiały mu wędrówki.

- To na nic - mruknął wreszcie. - Trzeba złapać podwodę.

Już wcześniej spostrzegł, że mijające go pojazdy są przeważnie czteroosobowe, ale z reguły zajęte jest tylko jedno miejsce.

- Ten duży niebieski rydwan będzie chyba najlepszy - ocenił.

Wyszedł na środek jezdni i zamachał. Milicyjna nyska uderzyła go w pędzie. Wyleciał w powietrze jak z procy i przeleciawszy nad barierką estakady, runął ciężko na trawnik jakieś trzydzieści metrów dalej i dwadzieścia metrów niżej.

- Mumia z wozu, osłom lżej - westchnął ciężko i stracił przytomność.



Gosia dreptała sobie w dół Agrykołą, ubrana w ciuszki zdobyte swego czasu na bazarze Różyckiego. W piękny sobotni poranek nogi same niosły ją na spacer.

Pospacerując po Łazienkach, pomyślała sobie. Nacieszę się słońcem, póki nie parzy mi skóry, poczytam coś może, popatrzę na łabędzie... Kto powiedział, że wampiry muszą stałe siedzieć w grobowcach? I że muszą ubierać się w suknie do kostek?... Dwudziesty wiek mamy!

Mijający ją staruszek przełknął głośno ślinę. Obciągnęła odruchowo kusą mini, ale dużo

to nie pomogło. Czy z dołu, czy z góry, połowę pupy i tak zawsze miała na wierzchu. Jakiś samochód zachrząścił kołami na żwirze. Gosia obejrzała się. Zaraz, zaraz, ten mercedes, ach tak... Rozpoznała kierowcę i uśmiechnęła się szeroko.

- Witaj, moja piękna! - Greg zaparkował przy krawężniku i opuścił boczną szybę. - Dokąd to podążasz?

- Och, tak chodzę bez celu... A może - spojrzała na niego spod oka - jeśli masz chwilę, przespacerujesz się ze mną po Łazienkach?

- Z przyjemnością. - Skinął głową. - Wsiadaj, pojedziemy pod bramę.

Zaparkowali mercedesa w chaszczach przy płocie oznaczonym tabliczką „Teren ambasady Danii” i po chwili szli już alejką w stronę pałacu.

- Jak jesiennie - westchnął wilkołak. - Ciepło, ale czuje się już w powietrzu zapowiedź chłodniejszych dni... I te zapachy, prawie jak w lesie.

- No - odparła. - Faktycznie. Drzew tu tyle nasadzili. Niewiele czuję. Jakby mi trochę nos wysiadł po śmierci. Za to krew jestem w stanie wywęszyć z odległości kilkuset metrów.

- Mnie też to czeka - dodał. - Widzisz, teraz mam wilczy węch. Wtedy na cmentarzu znalazłem twój grobowiec po zapachu... Gdy przestanę się zmieniać, nos pozostanie wyłącznie ludzki. Lubię się włóczyć po parku - zmienił temat. - A Łazienki są naprawdę piękne o tej porze roku. Problem w tym, że nie mam z kim spacerować - westchnął.

- Nie masz w klasie żadnej miłej koleżanki? - zdziwiła się.

- Jest kilka, ale to kosmiczne idiotki. Zabujały się w Limahlu i świata poza nim nie widzą.

- Coś podobnego!? - mruknęła, usiłując ukryć zażenowanie.

- Czy mógłbym cię zaprosić na kawę i ciastko?

- To bardzo miło z twojej strony - westchnęła smutno. - Ale my nie jemy... Krew dostarcza nam całej niezbędnej do życia energii. Nie wiem, czy ludzkie jedzenie nie byłoby dla mnie wręcz szkodliwe.

Usiedli na ławeczce nad stawem. Greg patrzył na kaczki. Było ciepło, sennie i jakby trochę romantycznie.

- Ja też nie miałam z kim spacerować po parku - pożałowała się. - Mój chłopak spędzał weekendy, handlując na Skrze.

- Jesteś fajną dziewczyną. I ładna, i do rzeczy, i pogadać można... Większość wampirów to pieprzeni rasi-ści - powiedział niemal płaczliwie. - Gardzą wilkołakami. A to wszystko z zazdrości.

- Zazdrości? - nie zrozumiała Gosia.

- Marek chyba już ci tłumaczył, jak to jest z wilkołakami?

- Taa... Wilk, w którego się zmieniasz, zdycha i przestaniesz się zmieniać. Staniesz się normalny. Ciepły.

- No właśnie. Chociaż nie do końca stajemy się normalni - poprawił się. - Nasze dzieci też są wilkołakami, bo to się przenosi genetycznie. W każdym razie my kiedyś staniemy się prawie zwykłymi ludźmi, a wy nie. Będziemy żywi, zestarzejemy się i umrzemy, a wy nie zestarzejecie się, a za to pozostaniecie martwi.

- Sama nie wiem, czy chciałabym być wampirem, czy nie, gdybym miała wybór - przyznała. - Ale zwampirzenie jest chyba nieodwracalne?

- Nie wiem - westchnął. - Wydaje mi się, że tak... Najgorsze jest to, że gdy przestanę być wilkołakiem, nie będę mógł cię nawet bezpiecznie pocałować...

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Bo jesteś martwa. Trupi jad i te sprawy. Póki organizm jest trochę wilczy, neutralizuje toksyny. Zresztą nie ma o czym mówić, przecież wy i tak nie macie nigdy ochoty na...

- To prawda - westchnęła. - Nie mamy popędu płciowego.
- To takie suche, naukowe określenie - zachnął się. - Sam nie wiem, jak ubrać to w inne słowa - dodał po chwili.

- Pal diabli - mruknęła. - Fajnie tak siedzieć. Możesz mnie potrzywać za rękę czy coś. Jeśli oczywiście masz ochotę, bo dłonie mam zimne...

Uśmiechnął się i objął ją ramieniem.

- Wcale nie jesteś zimna w dotyku - zauważył.

- Bo jest ciepło, a długo już spaceruję. Skóra nagrzała się od słońca...



Hefi odzyskał przytomność, leżąc na czymś wygodnym. Przetoczył wzrokiem wokoło. Niewielki pokoik, na półkach masa zagadkowych przedmiotów. Wyciągnął jeden i po kilku próbach otworzył. Ujrzał cienkie karty czegoś podobnego do papirusu, zapisane maczką niebywale równych liter.

Archiwum jakiegoś czy coś? Rzymski alfabet... Psiamać. Ale język, który wtłoczyłem sobie do głowy, to zdecydowanie nie jest łacina, ani nawet greka czy aramejski...

Teraz dopiero usłyszał głosy dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia.

- Widziałem to na własne oczy! - perorował jakiś starzec. - Wyrzucili go z milicyjnej nyski jadącej mostem Poniatowskiego. Pierdut przez barierkę, nawet nie przyhamowali!

- Ubeckie ścierwa - burknął ktoś inny, ewidentnie dużo młodszy. - Facet miał fart, że przeżył. Toż tam jest ze dwadzieścia metrów!

- Albo i lepiej! W dodatku całą twarz, ręce i nogi ma jakby spalone kwasem czy czymś. W ogóle to nie wygląda jak mięso...

- Musiał być torturowany przez wiele dni - odezwała się jakaś dziewczyna. - A potem egzekucja. To w ich stylu.

- No właśnie nie w ich stylu - upierał się starszy. - Zazwyczaj jeśli kogoś chcą załatwić, to albo znika, albo katują go nieznani sprawcy... A tu na moich oczach...

- Wiem! - odezwała się dziewczyna. - Wyrzucili go z milicyjnej nyski, żeby było na gliniarzy.

- A moim zdaniem zrobiono to w biały dzień, żeby nas zastraszyć. Ważne, że możemy teraz sfotografować, jak wygląda człowiek po torturach bezpieki, i przekazać te fotki na Zachód! - cieszył się młodszy. - Narobimy smrodu na pół Europy!

- To się kupy nie trzyma - odezwał się znowu ten drugi. - Jakby kogoś tak skatowali, toby dobili i zakopali gdzieś na poligonie, nie zostawiając śladów.

- Może nie sądzili, że przeżyje? Przecież to istny cud, że wytrzymał taki upadek...

Spiskowcy, ucieszył się Hefi. Zupełnie jak ja!

Nie wszystko zrozumiał, ale duch buntu i anarchii dosłownie emanował przez uchylone drzwi. Uspokojony znowu przysnął. Nie na długo. Drzwi skrzypnęły. Trójka opozycjonistów zatrzymała się przy łóżku. Hefi uchylił powieki. Najstarszy mężczyzna miał sumiaste wąsy, a na piersi połyskiwała odznaka z orłem w koronie. Pozostała dwójka była znacznie młodsza.

- Witajcie - wychrypiał kapłan. - Dziękuję za ratunek. Już myślałem, że nie wyjdę żywy. Najpierw miesiąc tortur w kazamatach ubecji, potem ta ucieczka i próba rozjechania na moście.

- Nie ma za co. - Stary wiarus poruszył wąsami. - Witamy w siedzibie najbardziej

radykalnej organizacji antykomunistycznej Biali Mściciele. - Ja jestem Michał, to Piotr i Aneta.

- Heniek - kapłan uznał, że należy przełożyć swoje imię na język tubylców.

- Jak możemy panu pomóc? - odezwała się dziewczyna. - Wydaje mi się, że jest pan w okropnym stanie.

- Najpierw chyba odkarmimy go kartoflami - zauważył jej zwierzchnik. - Waży nie więcej niż trzydzieści kilogramów.

- Polewali pana jakimiś chemikaliami? - zapytała dziewczyna ze zgrozą w głosie.

- Wiem, wyglądam jak mumia... - Hefi machnął ręką. - Ale to w pełni odwracalny proces.

- Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. - Michał dotknął dłoni kapłana opuszkami palców.

- Zewnętrzne warstwy skóry wyglądają na martwe. Toksyna musiała uszkodzić też mięśnie.

- Potrzebuję pięciu, może ośmiu litrów oliwy, najlepiej greckiej - wyjaśnił kapłan. - Gdy się jej napiję, tkanki zmiękną i zregenerują się.

- O choroba - sapnęła dziewczyna. - Kilka butelek oleju rzepakowego to jeszcze może dałoby się zdobyć po paskarskich cenach na czarnym rynku, ale oliwy nie widziałam w sklepach chyba od osiemdziesiątego roku.

To znaczy, że ich też jakiś wróg eksploatuje gospodarczo, pomyślał kapłan.

Powoli wszystko zaczynało składać się do kupy.

- Przyjacielu, jeśli możemy cię skontaktować jakoś z twoją organizacją... - zaczął stary wiarus. - No właśnie, skąd pan jest?

- Tajna organizacja Synowie Czarnej Ziemi - wyjaśnił Hefi. - Problem w tym, że nie mam się z kim kontaktować. Z tego, co wiem, wszyscy od dawna nie żyją. Wyłapano całe kierownictwo, wielu szeregowych członków. Ktoś musiał wsypać.

- Hmm... A więc proponuję przyłączenie się do naszej komórki - powiedziała dziewczyna.

- Jeśli mogę jakoś pomóc...

- Na dzisiejszy wieczór zaplanowaliśmy akcję bojową - odezwał się chłopak. - Ale uczestnictwo w niej wymaga siły fizycznej i sprawności. - Spojrzał na kapłana powątpiewająco.

- Czuję się już prawie dobrze.

- To będzie akcja ekspropriacyjna. Włamiemy się do sklepu Peweksu, żeby zdobyć dewizy na dalszą działalność oraz zapas deficytowych towarów do konsumpcji własnej. Z uwagi na pańskie potrzeby z kilku rozpracowanych celów wybierzemy sklep, w którym mają oliwę.

- O! - ucieszył się Hefi.

- A po włamaniu namalujemy na ścianie napis „Solidarność żyje”! - rzuciła dziewczyna.

- Ale wy nie jesteście z Solidarności!?! - zdumiał się.

- No właśnie. Nadal nikt nie będzie podejrzewał, że istniejemy, a władzę ten akt sabotażu solidnie zabol. No i jakby co, to ich będą szukać, a nie nas.

- Bardzo pomysłowe - pochwalił. - Idę z wami, na pewno się przydam!

- Plan jest bardzo prosty - powiedział Piotr. - Panowie wyłamujecie drzwi od zaplecza. Ja i Aneta ubezpieczamy. Gdy będą panowie w środku, zaczynacie przenosić skrzynki z towaram w pobliże drzwi. Ja podjeżdżam samochodem i zabieram was razem z łupami. Jest sobotnie popołudnie, sklep już zamknięty, a nikt nie spodziewa się włamania o tej porze.

- Genialne w swej prostocie - pochwalił Egipcjanin i uśmiechnął się w duchu do swoich wspomnień. - Czym pokonamy zamki?

Chłopak bez słowa wręczył mu ciężki łom.



- Warszawska Praga - westchnął Greg.
- Jak ja nie lubię tej dzielnicy.

Koła mercedesa podskakiwały na kocich łbach. Amortyzatory i resory tylko jęczały. Najwyraźniej niemieccy inżynierowie nie przewidzieli, że ktoś może próbować jazdy po takich wybojach.

- Gdzieś trzeba mieszkać - odparła Gosia. - Krypta na cmentarzu nie jest już bezpiecznym schronieniem. Babcia i jej kumple z ak w każdej chwili mogą przypuścić kolejny atak.

- Masz rację - przyznał.
- A ślusarz Marek ma dwa pokoje... To fajny koleś.
- Tylko wilkołaków nie lubi. Dwa pokoje, wampir z M-3 - zakpił.
- Czepiasz się.
- No skąd.
- Swoją drogą, wspominał, że okoliczni ciepli wiedzą o wszystkim - mruknęła.
- To normalne. Szmulki to stara dzielnica, masa autochtonów, którzy żyją tu od pokoleń.

Gdy społeczność osiadzie gdzieś na dłużej, zaczyna się organizować, uzyskuje pewne formy świadomości zbiorowej, niczym wielki mózg - wyjaśnił. - Identyfikuje elementy potencjalnie niebezpieczne.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Ciepli z dzielnicy wiedzą, że jest wampirem. A nawet jeśli nie wiedzą, i tak wyczuwają zagrożenie.

- Czyli żaden miejscowy złodziejasek się do niego nie włamie, bo instynkt ostrzega...
- Miejscowe złodziejaszki na robotę chodzą za Wisłę. No chyba że na ich terenie zamieszka jakiś obcy frajer. Ale ty nie masz się czego obawiać, ciebie też ominą. I mnie - dodał ciszej.

- Dużo jest wilkołaków w Warszawie? - zmieniła temat.
- Teraz niewiele - zachmurzył się.
- Dziesięciu bodaj. Parę lat temu bezpieka urządziła rzeź...
Zaparkował przy chodniku przed samą kamienicą Marka.
- Kiedy znów się zobaczymy?
- Hmm... Taki piękny dziś dzień, może o szesnastej pod Kolumną Zygmunta?
- Przybędę. - Pocałował ją w policzek.

Wysiadła trochę skołowana.

Mam chłopaka, pomyślała z zadowoleniem. Tylko, kurde, co z tego, skoro jestem wampirem!? A jak się Marek dowie...



Aneta stanęła w załomie muru nieopodal budki telefonicznej. Student zaparkował

swojego fiata trochę dalej. Egipcjanin i stary wiarus wślizgnęli się jak duchy do wnętrza klatki schodowej. Na parterze ujrzeli obite metalem drzwi zaopatrzone w solidną kłódkę.

- To te - ucieszył się pan Michał. - Zaraz urwiemy skobel.

Hefi wziął go stanowczo pod ramię i skierował się w stronę wind.

- Co pan robisz?

- Proszę mi zaufać. To pułapka.

Wjechali na ostatnie piętro. Egipcjanin wypatrzył drabinkę i klapę prowadzącą na dach.

Dopiero teraz użył łomu. Wydostali się na lekko pochyłą powierzchnię.

- Czy na pewno wie pan, co pan robi? - biadał stary.

- Mieliśmy przecież... Zgodnie z planem...

- Proszę mi uwierzyć, to nie żaden plan, tylko ubecka prowokacja - uciał.

Powędrowali po dachach. Potem zakręcili. Wreszcie doszli do końca zabudowy. Przed nimi, niczym przepaść, otwierał się kanion ulicy. Kapłan sforsował łodem zamek kolejnej kraty i zeszli na klatkę schodową.

- Nasza organizacja... - zaczął biadolić staruszek.

- Jaka tam organizacja. Proszę spojrzeć. - Hefi wskazał mu okno.

Pod tylnym wejściem do Peweksu właśnie zatrzymywała się milicyjna nyska.

- Nic już z tego nie rozumiem...

- My dwaj mieliśmy wpaść na gorącym uczynku włamania do sklepu - wyjaśnił kapłan łopatologicznie. - I oczywiście byłaby to sprawa kryminalna, a nie polityczna... Pospolite przestępstwo. I totalna kompromitacja pana oraz organizacji. Zresztą co to za organizacja, w której dwie trzecie członków to kapusie...

- Jest pan geniuszem - szepnął stary. - W jaki sposób ich pan przejrzał?

- Schematyczne działanie. - Hefi wzruszył z pogardą ramionami. - Oklepany chwyt, znany już rzymskim służbom przed dwoma tysiącami lat. Pan poszedłby siedzieć, a oni otrzymaliby nagrody... I zaraz zostaliby wykorzystani do kolejnej prowokacji.

- Zawdzięczam panu wolność i dobre imię! - wzruszył się dziadek.

- A pan uratował mnie po upadku z wiaduktu - odparł z uśmiechem kapłan. - Zatem można powiedzieć, że jesteśmy kwita. A ich zaraz zwiną. Zawiedli, a kogoś przecież trzeba rzucić na żer zwierzchnikom.

Student i jego towarzyszka, gwałtownie gestykułując, tłumaczyli się przed jakimś cywilem. Nic im to nie pomogło. Milicjanci skuli im ręce i zapakowali do wozu. Nyska odjechała.

- Wygląda na to, że z całej organizacji konspiracyjnej zostałem już tylko ja - westchnął pan Michał. - Chyba że zechce się pan przyłączyć, panie Heńku?

- Po co? Niezależnie od pańskich działań ten dziwaczny system i tak wcześniej czy później musi runąć. A teraz chodźmy po coś, co rozweseli nasze wątroby.

- Co zamierza pan zrobić?

- Skoro milicja zwinęła zasadzkę, oczywiście obrabujemy ten sklep. Jakieś odszkodowanie za straty moralne należy nam się jak sfinksowi buda. No i muszę zdobyć oliwę...

Radek wszedł do gabinetu na trochę miękkich kolanach. Choć był ozi już od wielu dni, nadal nie mógł się przyzwycząić do rozmów z majorem.

- Pan wzywał? - bąknął.

- Tak, Brona, jesteście nam potrzebni, i to cholernie... - warknął zwierzchnik. - Nasza komórka stanęła oto przed wyzwaniem znacznie trudniejszym niż inwigilacja jakichś tam wampirów. Rzućcie okiem w te papiery. - Pchnął w jego stronę kilka teczek. - Tylko pamiętajcie, że to ściśle tajne!

Student w ciągu dwudziestu minut przejrzał wszystko. Jego twarz przybrała nieco dziwny kolor.

- I co powiecie, Brona? - zapytał major.

- Wydaje mi się - zaczął niepewnie Radek - jeśli poskładamy do kupy te dwa fakty... Z muzeum znika najcenniejsza mumia. Strażnik twierdzi, że ożyła i zabrała mu ubranie. Godzinę później rzut kamieniem od muzeum nyska taranuje człowieka, który wygląda jak z horroru. Opis ubrania zgadza się z tym, który skradziono strażnikowi... Z tego by wynikało, że mumia ożyła, zai-waniła strój, wyszła na miasto i wpadła pod samochód.

- Brawo.

- Mumia ta prawdopodobnie jest tożsama z dziwnym kolesiem, którego przygarnęła antypaństwowa jacejka Biali Mściciele - kontynuował student. - Nasza agentura umieszczona w tej komórce zdołała namówić go do sfingowanego włamania. Problem jedynie w tym, że najwyraźniej przebudzenie zorientował się, iż jest to prowokacja, i zwiął, w dodatku z szefem organizacji.

- Bardzo dobra interpretacja.

- To wspaniałe! - zachwycił się Radek.

- Że co!?

- To wspaniałe - powtórzył już mniej pewnie. - Skoro ożyła jakaś tam tandetna egipska mumia z warszawskiego muzeum, to Lenin tym bardziej...

- Przestańcie pieprzyć, Brona, bo jeszcze wykraczecie. - Ubek gorliwie odpukał w niemalowaną stronę blatu biurka.

- Ale...

- Jakby Lenin powrócił, to na jednej szubienicy obaj zawiśniemy! Zdajecie sobie sprawę, jak bardzo prłodbiega od jego wizji kraju socjalistycznego? Przecież jeżeli zobaczy wille naszych badylarzy i kupę prywatnych sklepów, to tak się wkurzy, że tu kamień na kamieniu nie zostanie!

- Yyy... - Radek pomyślał o willi i aucie ojca.

- Wróćmy do naszej mumii - rzekł major, już spokojniejszym tonem. - Wedle zeznań funkcjonariuszy potrącony koleś przeleciał nad barierką estakady. Oczywiście na najbliższym zjeździe milicjanci opuścili wiadukt i udali się na miejsce, gdzie prawdopodobnie upadł, żeby dobić i zatrzeć ślady... To znaczy udzielić pierwszej pomocy poszkodowanemu - poprawił się szybko. - Niestety, znaleźli tylko wygnieciony w trawniku ślad. Kilka godzin później mumia brała udział w skoku na Pewex i była na tyle sprawna fizycznie, żeby wymknąć się obławie. A to oznacza... - Spojrzał na chłopaka.

- Że ta kopana mumia przetrwała sfiknięcie z wysokości ładnych paru metrów? I to bez większych uszkodzeń, skoro była w stanie iść na włam.

- Właśnie, Brona.

- To oznacza, że jest żywa, i to praktycznie niezniszczalna! - przestraszył się Radek. - Co gorsza, staranowanie przez radiowóz i zabawa w berka z milicją zapewne nastawiły ją skrajnie negatywnie do ustroju socjalistycznego!

- No i sami widzicie, że tej sprawy nie możemy tak zostawić. Trzeba klienta dopaść i zlikwidować. A jak się nie uda zlikwidować, to wyekspediować na Wschód, niech go reedukują i przerobią na komunistę, albo na Zachód, i niech się kapitaliści męczą.

- Wedle rozkazu! - Radek zasalutował.

- Cieszę się, że rozumiecie, Brona, powagę sytuacji. Co tu owijać w bawełnę. Wpadliśmy tym razem jak śliwka w krowi placek. Jest tylko jeden pozytywny aspekt całego tego zamieszania - westchnął major.

- Jeśli wolno zapytać: jaki?

- Ożywiony trup Egipcjanina grasujący po mieście niewątpliwie podważa dogmaty humanistycznego racjonalizmu, ateizmu i komunizmu, ale zarazem na szczęście kompletnie nie pasuje też do ciemnogrodzkich dogmatów katolicyzmu.

- Hmm... To poniekąd żywy dowód na prawdziwość religii egipskiej!

- I...?

- A gdyby tak zbudować świątynię i wskrzesić ten zabobon? Oczywiście wszyscy kapłani byłiby od początku naszymi agentami. A byłaby konkurencja dla katolików. To osłabi wpływ Kościoła...

- Was, Brona, kompletnie porabiało? - zirytował się Nefrytow. - Mało mamy kłopotów z zarejestrowanymi już religiami? Chcielibyście nam na plecy jeszcze jeden kamień dorzucić? Wy się zastanawiajcie, jak namierzyć i zaciukać mumię, sprawami religii zajmuje się inny departament!

- A może... - Radek zamyślił się na chwilę. - A gdyby tak poszczuć na tę mumię wampiry?

- Co proszę? - zdumiał się major.

- Wampiry. Trup trupa jakoś pewnie wywęszy. Ostatecznie z tego, co pan mówił, wampiry mają kontakty w wilkołakami, zombiakami i innymi takimi. A wampiry i mumie to różne gatunki. Konkurencja do tej samej niszy ekologicznej.

- Wy, Brona, wcale nie jesteście tacy głupi, za jakiego was brałem. - W oczach ubeka błysnął szczerzy podziw. - Tylko jak je zmusimy do współpracy?

- W komunizm nie uwierzą, zatem pozostają nam dwa wyjścia - westchnął student. - Albo je przekupimy, albo zaszantażujemy.

- A ponieważ jesteśmy ubecją, w szantażowaniu mamy dużo większą wprawę. - Zwierzchnik zatarł owłosione kułaki.



Gosia marzyła o tym, żeby pójść z Gregiem na jakiś film o miłości albo chociaż na „Niekończącą się opowieść”, ale gdy dotarli do kina Praha, okazało się, że puszczają tam akurat „Elektronicznego mordercę”. Żadne z nich nie widziało jeszcze tego filmu. Wilkołak chciał kupić bilety. Niestety, wszystkie wyprzedano, więc ruszyli w stronę parku Praskiego. W międzyczasie niebo zaciągnęło się chmurami. Zerwał się zimny wiatr.

- Zaraz będzie lało - zauważył Greg. - Musimy się gdzieś schować. Może w przedsionku kościoła Świętego Floriana?

- Dobry pomysł - pochwaliła.

Kuląc się pod coraz silniejszymi smagnięciami wichru, biegli wzdłuż muru. Greg pierwszy wpadł na dziedziniec świątyni. Gosia skoczyła za nim i... Straszliwe uderzenie zatrzymało ją w pół skoku. Potoczyła się w tył po chodniku. Dłuższą chwilę potrzasała głową, nim doszła do siebie.

- Szlag! - zaklęła.

Dziewczyna zdumiona patrzyła na bluzkę. Materiał był całkowicie poszarpany, brzegi skrawków tkaniny wyglądały jak nadwęglone. Także pracowicie wydziergany stanik uległ przypaleniu. Diabli wzięli rajstopy, jedynie miniówka ocalała.

- Taki fajny ciuch cały... Nie gap się! - jęknęła w kierunku Grega, który pomógł jej

wstać.

- Przepraszam, zapomniałem. - Greg uprzejmie podał jej swoją jeansową kurtkę.
- Co zapomniałeś? - warknęła, pospiesznie zakrywając prawie nagie ciało.
- Że nie możesz wejść na poświęconą ziemię.
- Co!?
- No, jesteś wampirem. A wampiry są potępione.
- Jak mogę być potępiona, skoro w ogóle nie wierzę w te religijne zabobony? - zirytowała się.

- Tego nie wiem - westchnął.

Podeszła do bramy i ostrożnie wyciągnęła dłoń. Ból bez ostrzeżenia szarpnął całym jej ramieniem.

- Auuu! - pisnęła. - A ty niby co? Wskoczyłeś i nic ci nie jest.
- Bo nie jestem potępiony.
- Jesteś wilkołakiem!
- No to co? Biblia ani katechizm nie zabraniają zamieniać się w zwierzę.
- A w wampira zabraniają!?
- Nie wiem. Aż tak dokładnie nie czytałem - zawstydzził się.
- A krzyże?
- Co? - nie zrozumiał.
- Krzyże nam, wampirom, podobno szkodzą. A mieszkamy w grobach. Cmentarz to istny las krzyży. I grób też przecież jest poświęcony!

- Twój rodzinny grobowiec już nie jest - mruknął. - Świecki pogrzeb go zdesakralizował.

- Czy ty mnie aby nie obrażasz?

- Eee... - uciekł spojrzeniem w bok.

- Może to inny rodzaj poświęcenia albo coś. Skąd mam wiedzieć, nie jestem przecież teologiem! A co do krzyży, może szkodzą, tylko jak ich dotkniecie, a tak na odległość już nie?

Kropiło tylko przez chwilę, po czym deszcz na szczęście przeszedł bokiem. Ale Gosia straciła jakoś ochotę na kontynuowanie randki. Greg też dziwnie zmarmotniał. Zapakowali się do auta i pojechali na Kawęczyńską. Pech chciał, że akurat gdy wysiadała z mercedesa, napatoczył się Igor. Chłopak pospiesznie cmoknął ją w policzek i czmychnął, wciskając gaz do dechy.

- Marek nie będzie zadowolony, że się prowadzasz z wilkołakiem - łąjał Gosię starszy wampir.

- Oj tam. - Wzruszyła ramionami. - Wielkie mi halo. Dzieci z tego i tak nie będzie, a jemu tego wilkołactwa zostało na parę tygodni może. Wilk w nim już zdycha ze starości.

Wampir nic nie odpowiedział, tylko pokręcił z naganą głową, krzywiąc się demonstracyjnie. Weszli w bramę i po skrzypiących schodkach wdrapali się na piętro.

- O cholera! - syknął, patrząc na drzwi mieszkania Marka.

Skrzydło nosiło ślady otwierania z kopa. Framuga też była uszkodzona. Przekroczył ostrożnie próg. W przedpokoju wszystko było poprzewracane.

- Ubecja zwinęła naszego szefa - stwierdził, badając ślady butów odbite na parkiecie.
- Skąd wiesz, że to ubecja?
- Wzór podeszwy, produkcja specjalna dla oddziałów KBw. Nadal mają pełne magazyny tych trepów. Milicja i wojsko noszą inne - wyjaśnił. - Dziwne...

- To ścierwo mój braciszek miał nas ostrzec! - syknęła. - Małe ostrzegawcze wysysanko przywróci mu świadomość klasową. Na razie trzeba ustalić, gdzie trzymają Marka. I odbić siłą!

- Co?

- Odbić. Nie spodziewają się ataku na swoją bazę...
- Oj, dziecko, dziecko. - Igor westchnął ciężko. - Nie wiesz, o czym mówisz... Tak się nie da... Już raczej porwiemy im kilku funkcjonariuszy i wymienimy.

- Szantaż to ich metody. - Skrzywiła się.

- A masz lepszy pomysł?

W tym momencie zadzwonił telefon. Spawacz przez chwilę stał niezdecydowany, ale wreszcie odebrał.

- Halo?

- Cześć, wampirku, mówi major - odezwała się słuchawka.

- Jaki znowu major? - zirytował się Igor.

- I nie jestem żadnym wampirem! Wypraszam sobie takie podejrzenia. Jako komunista, były członek partii komunistycznej od tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego...

- Major Nefrytow ze Służby Bezpieczeństwa - warknął głos w telefonie. - Wydział Z, jak zabobony.

- A to się doskonale składa, bo chciałbym coś zgłosić. Ktoś porwał mojego przyjaciela. Sądząc z pozostawionych śladów, dokonała tego liczna grupa napastników. Zważywszy na fakt, że mój kumpel jest głównym ślusarzem narzędziowym na Druciance, a jego zniknięcie zagraża ciągłości produkcji o charakterze strategicznym, mamy do czynienia z celowym działaniem antypaństwowym, podjętym przez organizację terrorystyczną, której działania i motywacja są ewidentnie antysocjalistyczne.

- Aleś ty wyszczekany - westchnął major. - Przejdźmy do rzeczy. Twój kumpel jest w naszych rękach. Zasadniczo Wydział Z powołano, żeby tępić takich jak wy, ale tym razem gotowi jesteśmy pójść na ustępstwa. Jeśli się postaracie...

- Czego od nas oczekujecie? - Igor tytanicznym wysiłkiem woli stłumił w sobie zimną wściekłość.

- Współpracy w pewnej sprawie. W zamian oferujemy wolność waszego przyjaciela i na znak dobrej woli miesiąc pełnego zawieszenia broni.

- Co mielibyśmy zrobić? - westchnął ciężko.

- Pod wycieraczką leży koperta z instrukcjami. Za trzy dni zadzwonię i chcę usłyszeć, co zdziałaliście. Lepiej, żeby raport był zadowolający, bo jeśli nie... - roześmiał się i przerwał połączenie.

- Do diabła - zaklął Igor, odkładając słuchawkę na widełki.

Wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił z grubą kopertą pełną jakichś papierzysek. Wywalił je na stół i przez chwilę oboje przeglądali je w skupieniu.

- Czy ich już do końca porąbało? - zdumiała się Gosia. - Jak niby mamy się za to zabrać? Przecież... Ojciec mówił zawsze, że to oni są od brudnej roboty. Mają agenturę, pewnie ćwierć miliona kapusiów poutykanych, gdzie się da! Do tego pięćdziesiąt tysięcy etatowych funkcjonariuszy, wydział mokrej roboty, milicja na jedno skinienie wystawia oddziały ZOMO...

- Najwyraźniej walka z żywą mumią musi pozostać jedną z pilnie strzeżonych tajemnic ustroju - westchnął. - Nie mogą o to zapytać agentury, bo tym samym przyznaliby, że dzieje się coś, co podważa prawdziwość tezy o materialistyczno-ateistycznej koncepcji świata... Sprytnie to wymyślili. Jeden zabobon zlikwiduje drugi, a oni mają czyste ręce.

- To co robimy?

- Masz tu dwa tysiączki i kartę. Idź na Rember-towską. Tam jest wypożyczalnia wideo. Weź wszystkie horrory o mumiach, jakie mają, musimy się naukowo przygotować. A ja zobaczę, co Marek ma na ten temat w swojej biblioteczkę.



Gosia wróciła pół godziny później.

- Jak łupy? - zapytał Igor.

- Zdobyłaś coś ciekawego?

- Kuso - westchnęła.

- Był tylko jeden film: „Przeklęta królowa”. Widziałam go kiedyś, puszczała w kinie nocnym. Tylko że to niezupełnie o tym... Bo tam jak otworzyli grobowiec, to dusza złej faraonicy wyleciała i się wcieliła w dziewczynę egiptologa...

- Dobrze i to. A ja znalazłem książkę o starożytnym Egipcie. - Wskazał leżący na biurku tomik. - „Nie tylko piramidy” Kazimierza Michałowskiego. Trzeba doczytać. A tak w ogóle, kompletnie nie podoba mi się ten dumny układ z ubecją.

- Dlaczego?

- Pomyśl sama. Mamy im namierzyć mumię jakiegoś nieszczęśnika. Co zrobimy, gdy go im wystawimy? Upitolą mu głowę albo wykończą w inny sposób.

- No, głupio, faktycznie. Ale jeśli go nie znajdziemy, to załatwią Marka... - zauważyła.

- Nie znasz Marka tak dobrze jak ja. To prawdziwy twardy przedwojenny robociarz.

Nigdy by się na to nie zgodził. Zawsze twierdził, że nie wolno ratować człowieka, poświęcając kogoś innego.

- Czyli trzeba to przeprowadzić jakoś tak, żeby wilk był syty i owca cała...

- Nie mam pojęcia w jaki sposób. - Zaciśnął wargi. - Ty oglądaj, ja czytam, potem podzielimy się zdobytymi informacjami. A gdybyś coś przypadkiem wymyśliła...

- *Sure!*

Godzinę później ze złością zatrzaskała książkę. Podeszedł do regału i wstawił ją na miejsce.

- Pozycja bardzo ciekawa, ale jak na złość prawie nic o mumiach - oznajmił Gosi. - Jak ten film?

- Głównie o mumiach, ale jak na złość nic użytecznego - westchnęła.



Kapłan i pan Michał siedli sobie w parku na tyłach Muzeum Wojska Polskiego. Nad miastem zapadał już wieczorny zmrok. Hefi wydobył z zagranicznej walizki litrową butelkę oliwy, a starszek półlitrową butelkę whisky. Równocześnie odkręcili nakrętki.

- Za spotkanie! - Stuknęli się flaszkami i pociągnęli.

Dziadek przełknął jeden ostrożny łyk alkoholu, zakąsił duńską szynką z puszki. Hefi od razu wytrąbił całą butelkę oliwy i bez zagryzania sięgnął do torby po kolejną. Godzinę później z zadowoleniem obejrzał się w lusterku. Wyglądał już niemal zupełnie normalnie. Skóra, elastyczna jak u żywego człowieka, przybrała miły odcień kawy z mlekiem. Mięśnie zaczęły pracować tak, jak powinny. Wszystkie stawy działały bez zarzutu. Z przyjemnością stwierdził, że nawet serce znów zaczęło bić. Tylko oczy ze szkła i obsydianu wyglądały trochę dziwnie, ale

skoro widział przez nie równie dobrze jak przez normalne, nie było o co się na balsamistów boczyć.

- Hmm... - Jego towarzysz popatrzył nieufnie najpierw na opróżnioną do połowy butelkę, potem na kapłana. - Jest takie przysłowie, że nie ma brzydkich kobiet, tylko za mało gorzały, ale przecież nie jestem homoseksualistą, a widzę, że ta oliwa dała efekt co najmniej wstrząsający... W dodatku cała moja wiedza nie pozwala mi zrozumieć, co tu się dzieje. Ta przemiana jest nieomal magiczna...

- Tak naprawdę to jestem ożywioną egipską mumią - przyznał się kapłan. - Mumią specjalnego rodzaju, rzecz jasna, bo te zwykle nie ożywają. Oliwa pomogła mi odzyskać sprawność i normalny wygląd.

- Oszukałeś mnie pan!

- No skąd?

- Mówiłeś pan, że jesteś w opozycji! I że należysz pan do tajnej organizacji! - zachmurzył się pan Michał.

- Oczywiście, że jestem. I należę. No, może należałem. Planowałem poderwać mój naród do walki przeciw okupacji Rzymian. Lochy rzymskiej bezpieki też zaliczyłem. Powiedziałem prawdę, tylko nie całą.

- Hmm... I faktycznie ten numer ze sklepem był znany już dwa tysiące lat temu?

- Nawet wcześniej - zapewnił kapłan. - To najbardziej oklepany chwyt w historii prowokacji. Od razu też przewąchałem, co za ziółka z pańskich podkomendnych. Zachowywali się zupełnie jak wtyczki od Nerona u nas...

- Najwyraźniej ubecy i ich agenci w każdej epoce są identyczni...

Wstali z ławki i ruszyli w stronę dworca Warszawa Ochota.

- No cóż, do domu wrócić nie mogę - dumął stary. - Wsiadam w kolejkę podmiejską.

Pojadę na wieś do brata. Jedź ze mną.

- Do brata odradzam. Tam na pewno zaczną poszukiwania. Zawsze tak robią. Od tysięcy lat.

- To gdzie ja się podzieję? - Konspirator zwolnił kroku.

- U kochanki.

- Nie mam kochanki. I nie miałem od czterdziestu lat, chociaż w młodości byłem niezłym ogierem. U nas na wsi... Ech, te zdrowe wiejskie dziewczuchy i upojne noce na sianku w stodołach... - Uśmiechnął się do swych wspomnień. - Ale było i minęło. Osiem krzyżyków na karku!

- Bogini Bastet nam pomoże. - Kapłan zaczępił wzrokiem przechodzącą długonogą dziewczynę.

- Jestem katolikiem!

- W takim razie nie pomoże - zgodził się kapłan i pociągnął z butelki jeszcze łyk oliwy.

Dziewczyna posłała Egipcjaninowi zalotne spojrzenie.

- Ja jestem stary i zramolały, ale ty mógłbyś spróbować. - Dziadek dał Hefiemu przyjazną sówkę w bok.

- Mam już ukochaną. - Kapłan pokręcił głową.

- Muszę tylko ją odnaleźć. A co do pana, idę o zakład, że spośród tych zdrowych wiejskich dziewczuch, które pozbawił pan cnoty, co najmniej kilka jest obecnie apetycznymi wdówkami. Niech się pan ukryje u dawnej kochanki.

- Ty to masz łeb... - stary popatrzył na niego z podziwem.

Odprowadził kumpla aż na peron.

- Jedź ze mną - nalegał pan Michał.

- Gdzie tu się podziejesz, sam, bez dokumentów i pieniędzy...
- Dam sobie radę - uspokoił go Hefi.
- Zresztą nie zostanę tu długo. Sprawdzę tylko kilka rzeczy i ruszam do domu. Do Egiptu.

Kapłan pomachał odjeżdżającemu konspiratorowi i wbiegł po schodach do góry. Po chwili był już na ulicy. Zwalista bryła Muzeum Narodowego wyraźnie odcinała się na tle granatowego nieba. Egipcjanin przemknął na drugą stronę ulicy, starannie unikając pędzących samochodów.

- Muzeum - mruknął. - Brzmi podobnie jak Muze-jon. Że też się wcześniej nie połąpałem!

Głównym wejściem o tej porze nie można już było dostać się do środka, więc pomaszerał w kierunku bocznych drzwi. One także zamknięte były na głucho, ale miał przecież klucze zabrane strażnikowi. Otworzył po cichu i niczym duch wślizgnął się do wnętrza.

Strażnik w dyżurce nie zwracał na nic uwagi, oglądał mecz. Hefi przeczołgał się obok, a następnie po schodkach ruszył na piętro.

- Pracownia, laboratorium, magazyn - odcyfrowywał napisy na tabliczkach zdobiących drzwi. - Biblioteka! - Uśmiechnął się.

Ósmy z kolei klucz pasował. Kapłan, znalazłszy się w czytelnicy, zapalił światło. Omiótł wzrokiem półki.

- Biblioteka Aleksandryjska to to nie jest. - Skrzywił się. - Ale cóż, darowanemu skarabeuszowi nie zagłada się w żuwaczki...

Postawił na stole posążek Bastet i oddał mu pokłon.

- O pani - zaintonował - wiem, że nie jesteś boginią mądrości, a nawet trochę jakby wręcz przeciwnie, ale pragnę odnaleźć mą ukochaną, wesprzyj mnie zatem...

Bogini udzieliła mu wsparcia. Niepozorne drzwi w końcu pomieszczenia na chwilę rozjarzyły się blaskiem. Hefi podszedł do nich. Były oczywiście zamknięte, ale jeden z kluczy pasował. Otworzył i wszedł do magazynu książek.

- O, w mordę - szepnął, widząc numery ewidencyjne naniesione na grzbietach. - Ponad sto tysięcy książek, i to jeszcze takich grubych? Cofam to, co powiedziałem!

Biblioteka Aleksandryjska nawet się do tego księgozbioru nie umywa!

Ruszył między regały, rozglądając się wokoło. Kilka woluminów świeciło w półmroku. Wyciągnął je z półek i wrócił do czytelnicy.

- No to poczytajmy, co mędrcy tej epoki zdołali dowiedzieć się o mnie, spisku i o mojej ukochanej Merit-Amon...

Zaczął kartkować tomiszczą. Bogini nadal mu pomagała - miejsca, gdzie uczeni coś o nim napisali, lśniły jak oświetlone blaskiem księżycy. Niestety, pierwsza książka napisana była po francusku. Druga podobnie... Kolejnych parę po angielsku, a najnowsze publikacje po niemiecku.

- A niech to obelisk przygniecie - zirytował się. - Nie ma niczego po polsku?

Kartkował kolejne monografie, coraz bardziej wkurzony, aż w jednej nieoczekiwanie trafił na kilka stron reprodukcji papirusów.

- No, nareszcie coś w ludzkim języku! - ucieszył się.

Niestety, jedyna wzmianka na jego temat była zarazem obszerną krytyką stosowanych w świątyni Bastet metod ograniczania pogłowia świętych kotów.

- Co oni tu o mnie powypisywali - zirytował się, czytając.

- Palanty ze świątyni Tota, co nie odróżniają kastracji od sterylizacji, a uduszenia od zarżnięcia! Parszywi paszkwilanci, za garść sestercji gotowi całować Rzymian po tyłkach!

Zniechęcony położył księgi na biurku. Spojrzał na posążek, ale ten milczał. Kapłan

obszedł raz jeszcze pomieszczenie magazynu i nieoczekiwanie spostrzegł kolejne drzwi.

- Zbiory zastrzeżone, wstęp wzbroniony - przesyłabizował.

- Ha, zaraz sprawdzimy, coście tu ukryli... - mruknął i wsadził klucz w zamek.

Rozległo się przeraźliwe wycie, światło zaczęło migać. Kapłan rzucił się do ucieczki.

Chciał biec do schodów, ale pomylił drogę. Zakreślił. Przed nim znajdowały się drzwi.

Nasłuchując tupotu butów, pospiesznie sprawdzał klucze. Jeden dało się przekreślić. Hefi wbiegł prosto do sal ekspozycyjnych.

- Stój! - dobiegło z tyłu.

Kapłan nie był na tyle głupi, by posłuchać. Otworzył okno i skoczył w ciemność.

Wylądował na wąskim trawniku. Przed sobą miał ogrodzenie, a dalej widać było drzewa parku, lecz przeszkoda była stanowczo zbyt wysoka... Przebiegł spory odcinek wzdłuż muru budynku, aż dotarł do płotu dzielącego teren Muzeum Narodowego i Muzeum Wojska Polskiego.

Za plecami usłyszał tupot kilku par podkutych buciorów.

Jestem w pułapce! - uświadomił sobie.

Pokłusował wzdłuż rzędu zaparkowanych pojazdów bojowych. Koło budynku migąło już kilkanaście laterek strażników. Hefi przesadził niski płotek i przypadł do czołgu.

- To wygląda jak drzwiczki - mruknął, obmacując właz. - Tu się ukryję!

Niestety, wejście zaspawano, by smarkateria zwiedzająca park nie włąziła do środka eksponatu. Kapłan westchnął, otarł pot z czoła i wyjął z kieszeni posążek.

- O pani, pomóż swemu wiernemu słudze... - wymamrotał. - Bom przez wrogów otoczony...

Dłuższą chwilę oczekiwał na interwencję swej pani, ale nic się nie wydarzyło. Spojrzał na niebo.

- Trzecia godzina nocy - ocenił. - Bogini poszła spać.

Zrozpaczony przyładował w przekłety właz posążkiem. Spaw puścił.

- Dzięki ci, o Bastet! - Odetchnął z ulgą.

Pociągnął za uchwyt. Zawiasy nasmarowano po raz ostatni czterdzieści lat wcześniej, na szczęście nie zardzewiały. Sowiecka technika psuje się natychmiast albo nigdy...

Hefi pospiesznie wślizgnął się do środka czołgu. W ostatniej chwili przytknął za sobą klapę. Na ścieżce słychać było coraz bliższe odgłosy pogoni.



Około ósmej rano Gosia i Greg przyszli pod estakadę prowadzącą do mostu Poniatowskiego.

- To w zasadzie jedyny punkt zaczepienia - westchnęła dziewczyna.

- Tu go widziano przed włamaniem do Peweksu. Jeśli nie natrafimy na żaden sensowny ślad, możemy jeszcze zajrzeć do muzeum...

- Czyli gdzieś tutaj uderzył w ziemię - mruknął Greg, rozglądając się dookoła.

- No, sama nie wiem. Może zawisł na gałęzi, tyle tu drzew... Ale potem musiał zejść, skoro włamał się do sklepu. Czujesz coś?

- Chwileczkę... Hmm... Stary olejek cedrowy, miód, pakuły, mirt, asfalt...

- No, nie dziwię się - mruknęła, patrząc na pobliską alejkę.

- Prawdziwy asfalt, a nie ten odpad produkcji ropy -uściślił. - Kurz... Faktycznie pachnie tu mumią. Pewnie jak rypnął o glebę, to wyprószyło się z niego mnóstwo kurzu.
- Dasz radę tropić go po śladach?
- Wydaje mi się, że tak. Tylko najpierw muszę... Przepraszam, to nie będzie przyjemny widok, więc może zamknij oczy.
- Oj tam. - Wzruszyła ramionami. - Nie takie rzeczy...
Greg rozpiął sobie suwak wszyty pod lewą pachą.
- A to co? - zdumiała się, widząc, że pod ramieniem ma w ciele dziurę obrośniętą wewnątrz futrem.
- Raz, dwa, trzy, hop! - mruknął i wywrócił się przez ten otwór na nice.



Najpierw wróciło czucie.
- Leżę na plecach - uświadomiła sobie wampirzyca. - Czyli... zemdlałam?
Coś mokrego liznęło ją po twarzy. Uchyliła powieki. Nad nią siedział wielki basior. Był wyliniasty, pysk mu posiwiasty, a w paszczy brakowało kilku zębów...
- Greg? - zdumiała się i usiadła.
- Tak, to ja - odezwało się zwierzę. - Przepraszam... Nie przewidziałem, że możesz stracić przytomność. Omdlenia to najczęściej efekt krótkotrwałego ustania dopływu krwi do mózgu, a ty przecież nie masz krążenia...
- W porządku. - Potrząsnęła głową. - Myślałam, że porastasz sierścią jak na filmach... I przy pełni księżyca...
- Europejskie wilkołaki tak mają - wyjaśnił. - Ale ja i moja rodzina należymy do odmiany ukraińskiej. Wilk jest w środku. Owszem, przy księżycu nicuje nas automatycznie, ale jeśli zajdzie potrzeba, możemy dokonać przemiany w dowolnej chwili.
- Odmiana ukraińska? Ale... skąd w takim razie wzięliście się w Warszawie?
- Pradziadek przyszedł tu z armią Budionnego w dwudziestym roku. - Wilkołak zawstydzony uciekł spojrzeniem w bok. - Ale spodobało mu się w Polsce, więc poddał się do niewoli i poprosił o azyl.
- Aha.
Wstała. Otrzeptała starannie ubranie z liści i trawek. Zwierzak węszył intensywnie.
- Nasz kapłan był tu jeszcze raz - mruknął. - Przechodził tędy. Niedawno. Może wczoraj wieczorem. Tylko pachniał już trochę inaczej. Mniej mumią, a bardziej człowiekiem. I coś jeszcze przebija. Jakby... Prawdziwa oliwa z Peweksu - rzucił odkrywczco.
- Możemy pójść tym tropem?
- Jasne.
Przyjemnie było tak iść z wielką bestią u nogi. Wilk trochę utykał, łeb mu się trząsał, widać było, że najlepsze lata ma już dawno za sobą, ale nadal budził respekt.
- Tutaj... - Greg wskazał łbem ławeczkę.
Za nią w krzakach leżała porzucona zagraniczna walizka, a z kubła na śmieci wystawało kilka pustych butelek po oliwie. Obok tkwiła jeszcze puszka po zagranicznej szynce oraz papierki od snickersów.
- Ślady dewizowej uczty - mruknął chłopak. - Tu z jakimś kompanem pożerał łupy

zdobyte w Peweksie.

- W tych butelkach była oliwa grecka z pierwszego tłoczenia - stwierdziła Gosia. - Ojciec przywiózł nam kiedyś taką, jak wracał z delegacji do Berlina Zachodniego. Była wyłącznie do najwykwintniejszych sałatek. Ileż tego tu jest? - zdumiała się.

- Wypił je wszystkie, na szkle pozostał zapach jego rąk - mruknął wilkołak.

- Pięć litrów oliwy? Dostanie po tym nieziemskiej sraczki! Może nie pił, tylko się nią nacierał?

- Pochlapałby ławkę i chodnik, a one są prawie czyste. Wyczułem jeszcze coś. Nie był sam, ale tamten drugi pił Johnniego Walkera. Złe poszliśmy. - Wilk pokręcił łbem. - Skoro pod mostem już woniało oliwą, to znaczy, że tu był najpierw. Czyli szedł gdzieś w stronę dworca Warszawa Ochota.

- Zawracajmy...

- Zaczekaj.

Długo w milczeniu węszył w powietrzu.

- Wrócił tu jeszcze po raz trzeci - mruknął. - Jest niedaleko, czuję jego zapach, słaby, ale...

Zaczęli bez przekonania przeczesywać podnóże skarpy.

- Co to jest? - Dziewczyna zatrzymała się niepewnie przed dziurą ziejącą w zboczu.

- Elizeum - wyjaśnił Greg.

- Co proszę?

- Sztuczna grotta. Pod ziemią. Był tu kiedyś park romantyczny księcia Kazimierza Poniatowskiego, braciszka naszego ostatniego króla... Niewiele z niego zostało...

Gosia niepewnie ruszyła naprzód i po chwili znalazła się w sporej podziemnej rotundzie. W samym szczycie kopuły ział otwór, przez który wpadało nieco światła.

Na suficie widać było resztki fresków, otwory w ścianach prowadziły gdzieś w głąb.

- Dwieście lat temu w tych wnękach stały łoża, w których arystokraci dogadzali sobie podczas orgii - wyjaśnił wilkołak. - Ale nic tu po nas. Kapłana tu nie było...

- Trzeba tropić dalej - zgodziła się Gosia.

Wdrapali się na wierzch skarpy i tu udało się podjąć trop.

- Blisko, blisko - mruczał wilk, sunąc alejką. - Bardzo blisko!

Dotarli do bramy wiodącej na teren Muzeum Wojska Polskiego. Była otwarta.

- Tu nie wolno wprowadzać psów, więc w razie czego, gdyby ktoś cię zaczepił, pamiętaj, że jestem wilkiem! - zachichotał towarzysz Gosi, zezując na tabliczkę.

Przez chwilę węszył, po czym podszedł do czołgu T-34 i wystawił zwierzyne.

- Jest w środku, śpi - oznajmił.

A potem, wykorzystując, że w pobliżu nikogo nie ma, przenicował się i znowu był człowiekiem. Zasunął suwak, zakrywając dziurę.

- Hmm... - Dziewczyna otaksowała go spojrzeniem.

- Coś mi się tu nie zgadza.

- O co chodzi? - zaniepokoił się.

- Miałeś świeżo wyprasowaną koszulę...

- Chciałem ładnie wyglądać podczas spotkania z tobą. - Zaczerwienił się jak panienka.

- Nie o to mi chodzi. Miałeś wyprasowaną i nadal jest jak prościutko spod żelazka - rozważała. - A przecież zawinęło cię do środka, więc powinna wyglądać jak, nomen omen, psu z gardła wyjęta. W wilku przecież jest ciasno.

- Nie wiem, dlaczego tak jest - westchnął. - Może to taki sam efekt jak z twoim ubraniem?

- A co jest nie tak z moim ubraniem? - zirytowała się. - Ty też będziesz narzekał, że

miniowa za krótka?

- Twój strój nie odbija się w lustrze. A przecież powinien. Zresztą pies to trącał. -
Machnął dłonią. - Co z nim?

- Skoro śpi, to obudzimy. - Wzruszyła ramionami. - Nie będziemy przecież czekać cholera
wie jak długo, aż raczy wyleźć z łóżka. Panie Hefi, czas wstawać! - Załomotała dłonią w pancerz.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem dał się słyszeć podejrzany zgrzyt. Pokryta rosą
klapa wjazdu czołgu T-34 drgnęła i uniosła się. Kapłan wygramolił się z kryjówki i przeciągnął
jak kot. A potem zamarł, patrząc podejrzliwie na gości.

- Dzień dobry - przywitała się Gosia. - Małgorzata hrabina Bronawska. Mój przyjaciel ma
na imię Greg.

- Hefi-Neb-Bastet - przedstawił się i dalej patrzył na nią i towarzyszącego jej chłopaka.
Szczególnie długo oglądał jej nogi, ale nie była pewna, czy to przez tę minispódniczkę,
czy po prostu zastanawiał go brak cienia.

- Na świętego ibisa! - mruknął wreszcie. - Hmm... Nie obraż się, panienko, ale coś mi się
wydaje, że jesteś martwa. I że nie żyjesz chyba od jakiegoś czasu.

- Ano umarłam - bąknęła. - Jestem wampirem. - Pokazała kły.

- Zaś twój towarzysz...

- Jestem wilkołakiem - wyjaśnił Greg z godnością.

- Na Seta, słyszałem o istotach takich jak wy, ale sądziłem, że to tylko legendy
prymitywnych ludów Pół nocy! - Egipcjanin wyglądał na głęboko wstrząśniętego.

- Tak to już bywa, gdy się zawędruje za daleko od domu - skwitował chłopak.

- My to samo sądziliśmy o ożywionych mumiach. - Gosia wzruszyła ramionami. - Też
byliśmy przekonani, że to tylko głupie wymysły. Panie Hefi, przejdźmy do rzeczy. W imieniu
kierownictwa warszawskich wampirów proponuję panu schronienie, opiekę oraz walkę ze
wspólnym przeciwnikiem.

- Hmm... Wspólny przeciwnik? - zainteresował się kapłan.

- Bezpieka porwała naszego przyjaciela. Chcieli wymienić go na pana. Oczywiście nie
wydamy w łapy tych zbirów ofiary prześladowań. Ale może wspólnie wykombinujemy jakiś
wredny numer, żeby im się na dobre odechciało wtykać nos w nasze sprawy.

- Jestem specjalistą od wrednych numerów. - Hefi uśmiechnął się złośliwie.

- Zaprowadźcie mnie do waszego wodza.



Kolejne dni wlokły się jak guma do żucia. Igor i Greg tkwili w bibliotekach, usiłując
wygrzebać jakieś dodatkowe informacje na temat Hefiego i Merit-Amon. Kapłan siedział i
kombinował, jak wydobyć Marka z łap ubecji. Po prawdzie częściej oglądał z Gosią horrory na
video, niż kombinował, ale i tak sporządził kilkanaście fantastycznych i całkowicie nierealnych
planów odbicia ślusarza.

Wampirzyca szybko zorientowała się, że Hefi, choć w swojej epoce może i był
wytrawnym konspiratorem, to jednak w nasyconym techniką świecie kompletnie się zagubił, a
wrednych zagrań wymyślonych przez dwa tysiące lat, które minęły od jego czasów, po prostu nie
był w stanie przewidzieć. Gosia ze złości gryzła paznokcie. O Marku nie mieli żadnych
wiadomości, a Egipcjanin, zamiast przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę, sam raczej

wymagał opieki... Nadszedł środowy wieczór. Spawacz i wilkołak przybyli razem.

- Mamy wiadomości, kapłanie! - krzyknął Igor już od progu. - Tylko nie wiem, jak je zinterpretować.

- Dobrze czy źle?

- Nie wiem...

- Gadaj - zażądał Egipcjanin twardo. - Najgorsze nawet...

- Znaleźliśmy sporo informacji. Twój sarkofag wygrzebał hrabia Tyszkiewicz przed ponad stu laty. Egipto-lodzy, krojąc mumie świętych krokodyli, trafili na kupę niepotrzebnych już papirusów, które używane były do ich wypychania. Wśród nich było trochę dokumentów i na twój temat. Rozkopali też ruiny świątyni, w której spędziłeś życie... - zreferował Greg.

- Hmm... I?

- I ani słowa o twojej ukochanej. Nigdzie nie ma ani jej grobowca, ani sarkofagu, ani mumii. Czyli na dwoje babka wróżyła. Albo dawno temu wyrabowano jej grobowiec i zniszczono mumię, albo nadal śpi sobie spokojnie pod piaskami Egiptu... - rozważał Igor.

- Znam miejsce, w którym ją pogrzebano - uciał Hefi.

- Było bardzo starannie zamaskowane. Myślę, że grób ocalał. Pojadę tam, odszukam mumię, ożywię, a potem wspólnie spróbujemy jakoś urządzić się w waszym dziwnym świecie.

- Khm... Będzie z tym maluśki problemik - westchnęła Gosia. - Bo widzi pan, stąd nie da się tak po prostu wyjechać.

- Co?

- Żeby pojechać do Egiptu, trzeba mieć paszport, a pan nie ma nawet dowodu osobistego. Przelot samolotem jest bardzo drogi, skąd pan weźmie tyle pieniędzy?

- Jeśli trzeba, pójdę pieszo!

- Granice są pilnowane. To kilometry drutu kolczastego, miny, strażnicy z psami... - ostrzegł spawacz.

- Ale nie łam się, coś wymyślimy. Wszyscy prześladowani powinni sobie pomagać!

- Zostać tu też nie mogę - parsknął Hefi.

- Ubęcja cię ściga, Egipcjaninie - powiedział Greg. - Skoro nam udało się ciebie namierzyć, oni też są w stanie to zrobić.

- A tak właściwie, po co mnie ścigają?

- Dokładnie nie wiemy - westchnęła Gosia. - Ale wygląda na to, że po prostu im się pan nie podoba. Oni nie muszą mieć powodów, żeby się za kogoś zabrać. Mówią: „Jest człowiek, to i paragraf się znajdzie”...

- Na przykład złamanie przepisów meldunkowych albo nielegalne przekroczenie granicy - podsunął Igor, grzebiąc pospiesznie na pawlaczu.

- Ależ nie przekraczałem żadnej granicy, przywieziono mnie zmumifikowanego, i to wbrew mojej woli! - zirytował się kapłan.

- Nie sędzę, żeby był to argument, który ich przekona - stwierdziła dziewczyna.

- Z drugiej strony... Hmm... A gdyby tak deportacja? Może to jest wyjście?

- Nie rozumiem - burknął Hefi.

- Jest pan Egipcjaninem. Niech pana złapią i jako uciążliwego cudzoziemca odeślą do kraju pochodzenia!

- Głupie - skwitował Igor. - Znasz ich przecież. Zamiast do Egiptu gotowi wysłać go do zSRR.

- A może niech pójdzie do egipskiej ambasady i powie, że polskie służby porwały go i przywiozły tutaj, a on uciekł i chce wrócić do domu... - fantazjowała dziewczyna.

- Na to się chyba nie nabiorą. Zaraz by sprawdzili w ewidencji, czy ktoś taki w ogóle mieszka w Egipcie, a do tego, żeby dobrze łąć, nasz gość powinien znać chyba arabski? - Greg spojrzął na kapłana.

- Arabski? A po cóż miałbym znać mowę tych prymitywnych pastuchów? - zdumiał się.

- Khm... bo to oni teraz żyją w Egipcie... - wyjaśnił spawacz.

- Moi bracia cierpią zatem niewolę - ucieszył się Hefi.

- Poprowadzę ich do walki o wolność! Bogini Bastet nie jest wprawdzie panią walki, lecz miłości, jednak...

- Potomkami starożytnych Egipcjan są Koptowie - powiedział wilkołak.

- Obecnie stanowią jakieś piętnaście procent ludności tego kraju. I raczej nie pójdą za panem, bo od setek lat są chrześcijanami.

- Kim!?

- Chrześcijanami - zabrał głos Igor. - Powinieneś kojarzyć, to ci, których Neron rzucał lwom na pożarcie.

- Ta małutka żydowska sekta nadal istnieje!? - zdumiał się kapłan.

- I ma półtora miliarda wyznawców. - Spawacz wzruszył ramionami.

- A moja religia? - jęknął Hefi.

- Twoja religia zanikła. Święte zwierzęta wyzdychały, świątynie leżą w ruinie, skarby zrabowano... Ostatni ślad jakichś praktyk związanych z twoimi kultami to wypożyczenie posągu bogini Izidy z wyspy File przez władców Nubii w połowie piątego wieku naszej ery - wyjaśnił spawacz.

- Te dzikusy z kraju Kusz wyciągnęły swoje brudne łapska po najświętszy posąg bogini!?

- Hefi poczerwieniał z oburzenia. - To profanacja!

- Nie ma się o co ciskać - zgromił go wampir. - Tylko oni w nią jeszcze wierzyli. Dobra.

Nie ma co zwlekać. Musimy odesłać cię do domu, a potem pomyślimy, jak ratować Marka.

- Odesłać? - zdziwiła się Gosia. - Niby jak?

- Są sposoby - westchnął. - Ale zacząć musimy i tak od zdjęć do dokumentów...

Pokazał znaleziony na pawlaczu polaroid. Strzelił kilka fotek, wybrał najlepsze i poszli do auta. Zaparkowali przy Brzeskiej.

- Idę załatwić dokumenty - oznajmił Igor. - Pilnujcie samochodu.

- Czy to konieczne? - zdumiał się Hefi. - Czy rydwanu nie wystarczy pozamykać kluczykiem?

- Nie wystarczy. To takie miejsce, gdzie czerwone twarze polują na jeleni, a i dyliżanse białych twarzy nie są w tej kniei ludzkiej bezpieczne - mruknął wampir.

Po chwili szedł już ulicą ponury jak gradowa chmura. Nie minął kwadrans i stanął przed bramą bazaru Rózyckiego.

- Co potrzeba? - zagadnął dyżurny kombinator. - Znowu złoto wymienić?

Najwyraźniej zapamiętał go z poprzedniej wizyty.

- Potrzebuję paszportu.

- Czwarta alejka, buda numer osiemdziesiąt cztery.

Igor zagłębił się w trzewia targowiska. Minął go patrol milicji. Na spasionych gębach malowało się zadowolenie. Gliniarze poskrzypywali nowiutkimi oficerkami. Jeden niósł pod pachą turecką kurtkę, drugiemu z kieszeni sterczała zawadiacko flaszka kubańskiego rumu. Widać kontrola jak zwykle przyniosła im niewielki prywatny dochód...

Wampir przesunął wzrokiem po stosach kaset wideo i przyspieszył kroku. Szewc stojący przed swoim zakładem splunął mu pod nogi. Igor ostrzegawczo pokazał kły, ale nie zaryzykował konfrontacji. Odnalazł budkę. W drzwiach minął jakiegoś studenta. Wewnątrz staruszek za ladą

obsługiwał jeszcze jednego klienta. Spawacz zajął krzeselko przeznaczone dla oczekujących i obserwował zawieraną właśnie transakcję.

- Co potrzeba? - właściciel zwrócił się do wypłoszo-watego faceta w wymiętym ortalionie.

- Mam paszport i jadę na wycieczkę. Chcę zostać w RFN-ie na stałe - bąknął klient. - I żeby mieć tam...

- Rozumiem, potrzebne zaświadczenie, że przodkowie byli Niemcami. - Doświadczony fałszerz w mig rozeznał się w zawłościach sytuacji. - Metryki ewangelickie będą z Leszna, tam poszło z dymem całe archiwum, nikt ich nie zdoła zweryfikować. Oczywiście, jak mówią prawnicy, jeden papier to żaden papier. - Staruszek pogrzebał w pudle z jakimiś blankietami. - O, proszę bardzo, tu jest coś odpowiedniego. Zaświadczonko, że pański dziadek został zdemobilizowany z Waffen-ss z powodu ran odniesionych na froncie wschodnim. Witek, daj niemiecką maszynę do pisania! - zawołał w stronę zaplecza.

- Którą?

- Adler, czcionka na rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci.

Po chwili wkręcił formularz w wałek, poprosił klienta o podanie nazwiska przodka, a następnie wypełnił rubryki. Gdy skończył, wyjął wieczne pióro i w odpowiednim miejscu ozdobił blankiety nieczytelnymi gry-zmołami. Na mniejszym przywalił pieczęć luterańskiego proboszcza, na większym okazały stempel z nazistowską „gapą”.

- Piętnaście dolarów się należy.

Klient uszczęśliwiony wysupłał plik banknotów jedno- i dwudolarowych.

- I te dokumenty...

- Trzeba przedstawić w RFN-ie służbom imigracyj-nym razem z wnioskiem o azyl.

- Nie skapną się?

- No niby jak? - zirytował się fałszerz. - Oryginalny blankiet, oryginalna pieczęć, oryginalna czcionka, nawet atrament z epoki. Dowolne laboratorium może to badać. A tę dywizję wyrznął niemal do nogi oddział mojego ojca. I wszystkie papiery w rodzaju list zmobilizowanych do niej są u mnie pod kluczem.

Kandydat na folksdojczca wyszedł uszczęśliwiony.

- A tobie co potrzeba, wampirku? - Stary spojrział na Igora znad okularów. - Blankieciak ze szpitala na wydanie kilku butli z banku krwi? Bo chyba nie akt zgonu?

- Potrzebuję paszportu...

- Nie ma problemu. Zgaduję, że nie chodzi o polski. Jaki zatem? Szwecja? Francja? USA? Chile? Mam też sowieckie, bułgarskie...

- Egipski.

- Od ręki nie da rady - zasepił się fałszerz. - Może być na rano?

- Oczywiście. Tu jest zdjęcie. - Igor podał fotografię kapłana. - Przydałby się też bilet na samolot... Do Kairu.

- Łącznie będzie kosztowało dwadzieścia siedem dolarów. Bilet wydrukujemy nie do odróżnienia, ale będzie problem z numeracją miejsc. Na listę pasażerów się dopisze, potrzebuję trzy dolary ekstra dla biurwy z Okęcia. Niestety, nie mam jak sprawdzić rezerwacji. Wystawię miejscówkę w klasie biznes, praktycznie nikt nią nie lata, ale gdyby miejsce było zajęte, niech pana znajomy siada na pierwszym wolnym.

Igor wysupłał resztę oszczędności.



Tymczasem trójka pozostawiona w maluszku nudziła się jak mopsy. Po drugiej stronie ulicy witryna sklepu z re-sorakami wabiła kolorami. Jednak równocześnie kolory nosów i twarzy autochtonów snujących się po okolicy jakoś zniechęcały do opuszczania auta.

- Wydaje mi się, że widziałam przed chwilą Radka -mruknęła dziewczyna.
- Twojego brata konfidenta? - zaniepokoił się wilkołak. - A co on tu robi?
- To właśnie mnie zastanawia. Od kiedy wiemy, że pracuje dla ubecji, kompletnie mu nie ufam. Wydaje mi się, że nas śledzi. O, zobacz, wygląda zza muru.

- To rzeczywiście on - zasepił się Greg. - Widziałem go tamtej nocy na Powązkach. Co robimy? Igor zostawił kluczyki. Spróbujemy go zgubić, czy może...

- Mam pewien pomysł. - Zmrużyła oczy. - Czy mógłbyś dać mu w łeb, ogłuszyć, związać i zapakować do bagażnika auta?

- Jakiego znowu bagażnika!? W maluszku? - roześmiał się.

- A ogłuszyć i związać? - Trafiła nogą zwój mocnego sznura leżący na podłodze.

- Żaden problem - odparł wilkołak, wyciągając z kieszeni milicyjny gaz obezwładniający.

Wysiadł i nonszalancko podszedł do węgła, za którym czatował student. Nieoczekiwanie sprężył się i jednym susem skoczył za róg. Zakotłowało się. Po chwili Greg z miną zwycięzcy włókł skrępowanego linką, półprzytomnego kapusia w kierunku samochodu. Autochtoni oczywiście niczego nie zauważyli. Wilkołak wcisnął jeńca na tylne siedzenie, między kapłana a dziewczynę. Spawacz też już na szczęście wracał.

- Mmm... - zaprotestował zakneblowany Radek. -Mmmm mm mmmmm!

- Cicho, bo cię wyszę - warknęła Gosia, kopiąc go w łydkę.

- Po co przywlekliście tu tego szurka? - zirytował się Igor, siadając za kółkiem. - Mało mamy problemów?

- Wymyśliłam, jak uwolnić Marka! - wypaliła triumfalnie Gosia.

- W ogóle nie uda się go uwolnić - westchnął Igor ciężko.

- Czego żąda major? Chce dorwać pana Hefiego -mówiła szybko. - Ale nie wie przecież, że nasz gość przekształcił się już z mumii w ciepłego.

- Gadaj po ludzku! - zirytował się.

- To bardzo proste. Weźmiemy Radka, wysmarujemy pastą do butów, zwiążemy, zapakujemy w bandażę i dokonamy wymiany.

Wilkołak, wampir i egipski kapłan zastygli z idiotycznymi wyrazami twarzy i długo gapili się na Gosię, jakby ujrzeli ją pierwszy raz w życiu.

- O, ja piernicę! - odezwał się Igor po chwili.

- To nie może być pasta do butów. - Greg pokręcił głową. - Myślę raczej, że pomalujemy go brązową farbą emulsyjną. Najpierw warstwę wolnoschnącej, na to nałożymy kolejną, czarną, szybkoschnącą. Wyschnie po wierzchu, potem schnąca warstwa głębsza porozrywa zewnętrzną. Powstaną śliczne spękania, jak na pięćsetlet-nim obrazie. Pomalujemy mu oczywiście gębę i dłonie, reszty nie ma sensu.

- Włosy zgolimy na łysą głacę. - Dziewczyna zerknęła na fryzurę Egipcjanina.

- Widzę tylko jeden problem - odezwał się Hefi. -Wystarczy, że otworzy usta, i podstęp się wyda. A potrzebujemy co najmniej kwadransa, by czmychnąć.

- Zakneblujemy? - zaproponowała. - Albo upijemy w trupa.



- Genialny pomysł -

pochwalił Igor. - Greg, przyjacielu, czy masz może w aucie jakiś lejek?

- Lejek się znajdzie. Może być ten, którym nalewałem płyn do spryskiwaczy? Poza tym, żeby ucharakteryzować kapusia na mumię, potrzebujemy odpowiedniej mety. Mieszkanie ślusarza Marka może być pod obserwacją. Na szczęście mój dom stoi pusty. Rodzice są na kontrakcie w Algierii. Mamy też zapas gorzały... Ale będzie kłopot z, że się tak wyrażę, kluczowym elementem planu... - westchnął wilkołak.

- To znaczy? - zaniepokoił się wampir.

- Mumia jest obandażowana. Skąd wytrzaśniemy taką ilość skrajnie deficytowego towaru? Mam w apteczce zaledwie dwie rolki.

- Coś wymyślimy.

Dom Grega okazał się małym segmentem na Ochocie. Zjechali maluchem do garażu umieszczonego w piwnicy, stamtąd zawlekli Radka do salonu. Wilkołak podreptał do apteczki w łazience i po chwili wrócił z całym swoim zapasem bandaży.

- Kurde! - westchnął wampir. - To o wiele za mało...

- Hmm... - Kapłan rozwinął kawałek. - Wydaje mi się, że bandaże w moich czasach były inne. Geś-ciejsze... Ta wasza pajęczyna w żaden sposób ich nie przypomina. Nie macie czegoś, że się tak wyrażę, kon-kretniejszego?

- W domu jest kilka starych bawełnianych prześcieradeł - zaofiarował się znowu wilkołak. - Potniemy na pasy i będzie jak znalazł! Tylko mało poźółkłe są.

- Zabarwimy czymś - zaproponowała Gosia. - Najlepiej będzie zaparzyć ze dwie paczki gruzińskiej her-baty. Ona zawsze daje taki mętnobrazowy kolor, ojciec mówi, że ruscy dodają barwnika, żeby lepiej w szklance wyglądała...

- Dwie paczki herbaty!? - Gregowi takie marnotrawstwo nie mieściło się w głowie. - Może lepiej nadmanganian potasu? Mam cały słoik!

Igor wyjął Radkowi knebel.

- Wy sflądrysiny! - syknął student. - W życiu się wam nie uda, łajdaki...

- W życiu pewnie nie - zgodziła się Gosia. - Ale nie zwracajmy sobie tym głowy, przecież i tak nie żyjemy.

- Ubecja was spali na stosach, obezjajcy!

Igor nie lubił, gdy go wyzywano, więc dał Radkowi w zęby. Ten padł jak długi.

- Myślałem, że ta legendarna siła wampirów to tylko plotki, a tymczasem... - mruknął Greg.

- Nie wiem, jak inni, ale ja mam krzepę, bo od kilku dekad pracuję fizycznie. - Wampir wzruszył ramionami. - Dostał po robotniczo-chłopsku. Mogę prosić o ten lejek?

Wbił konfidentowi rurkę między zaciśnięte zęby, a potem zaczął łać wódkę z podanej flaszki.

- Szkoda dobrej gorzały na taki ubecki pomiot, ale znaj moje dobre serce, szczurku - przygadywał.

Student próbował się szarpać, ale przygnięciony przez siostrę, kapłana i wilkołaka musiał poniechać oporu. Pół godziny później zalany w pestkę zasnął na stole. Można było przystąpić do charakteryzacji. Spawacz uruchomił maszynkę do strzyżenia, Greg naszykował farby, a Gosia suszyła poźółkłe paski tkaniny suszarką. Hefi malował na nich hieroglify.

Skończyli przed północą.

- Na odwłok skarabeusza! - zachwycił się Hefi. -Mumia jak prawdziwa! Aż mi się przypomina kochany stary Egipt... Tylko, eee...

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się dziewczyna.

- Za czysty jest. W starych grobowcach zawsze wala się masa kurzu, pajęczyn...

- Mam na strychu niezły zapas, zaraz przyniosę choćby kilogram. - Wilkołak pokłusował na piętro. -A wy zadzwońcie do majora! - krzyknął ze schodów. -Tylko nie stąd, dwie ulice dalej jest automat!



Na moście Gdańskim o czwartej rano nie było nikogo. Spiskowcy zatrzymali mercedesa i zapalili światła. Po chwili w odległości może trzydziestu metrów zatrzymała się szara nyska bez oznaczeń. Igor wysiadł z auta. Z nyski wygramolił się major.

- Macie towar? - zapytał. - To znaczy mumię.

- To zależy tylko od tego, czy przywieźliście naszego przyjaciela całego i zdrowego - odwarknął wampir.

- Cały i zdrowy - mruknął ubek. - Trochę może sponiewierany, ale sami rozumiecie, stawał opór przy aresztowaniu, a areszt to nie sanatorium...

Jego pomagierzy wypuścili ze środka nyski Marka. Wyglądał nieszczególnie, ale chyba nie doznał większego uszczerbku na zdrowiu. Igor i Greg wydobyli z bagażnika zapakowanego w bandaż Radka i położyli na jezdni.

- Coś ta mumia nieruchawa - zaniepokoił się major.

- Jest trochę pijana - wyjaśnił wampir.

Rzeczywiście, przed spotkaniem z ubecją napoili studenta kolejną porcją „znieczulacza”.

- Że co!?

- Sami rozumiecie, walka z mumią jest bardzo trudna, więc obezwładniliśmy ją podstępem. Proszę potwierdzić na piśmie, że dostarczyliśmy właściwego klienta.

Major podszedł i bez przekonania obejrzał czarną, spękaną twarz i podobnie wyglądającą rękę. Przez chwilę kontemplował hieroglify wypisane na bandażach.

- Zgadza się.

Dwaj potężnie zbudowani „nieznani sprawcy” puścili ślusarza, a mumię rzucili na nosze i zanieśli do nyski.

- Nawet miło robi się z wami interesy, wampirowa-ci - burknął ubek, krzywiąc się.

- Cała wątpliwa przyjemność po naszej stronie. - Igor również się skrzywił.

Marek z westchnieniem ulgi opadł na tylną kanapę auta.

- O, w mordę - sapnął. - Nareszcie wolny... Co to za auto? - Rozejrzał się zdezorientowany.

- Moje - wyjaśnił Greg siedzący za kierownicą. - To znaczy mojego ojca.

- Wilkołak... - Ślusarz wzdrygnął się.

- Zawiazaliśmy sojusz taktyczny - wyjaśnił jego przyjaciel. - Może i wilkołak, ale porządny gość. Bez niego byśmy cię nie uwolnili. A to jest pan kapłan Hefi -przedstawił ostatniego z pasażerów. - To o niego była cała ta zadyma.

- Mów mi Heniek. - Egipcjanin uścisnął dłoń oswobodzonego.

- Czyli ta mumia, którą przekazaliście...

- Żadna tam mumia - uśmiechnęła się Gosia. - Jeden żywy konfident, półtorej flaszki wody, trochę farby, starych szmat i inwencji twórczej naszej drużyny.

- Ale się major wkurzy - zachwycił się Marek. - Gorzej, że nici z obiecanego rozejmu.

- I tak by go nie dotrzymał - skwitował Hefi.



Kapłan, pogwizdując, pakował walizkę. Po prawdzie dużo rzeczy nie miał. Ręcznik, książkę o Egipcie, dwie koszule podarowane przez wampiry. Początkowo upierał się, że mu to w ogóle niepotrzebne, ale przyjaciele nalegali. Bez bagażu wyglądałby podejrzanie. Gosia siedziała w fotelu i dziergała na szydełku pas do pończoch.

- Czemu jesteś taka smutna? - zapytał Hefi przyjaźnie.

- Kocha pan tę swoją Merit-Amon... Miłość trwająca od dwu tysięcy lat, niezniszczalna, niepokonana, do tego z szansą na happy end! Podziwiam... A ja... Poznałam wreszcie naprawdę fajnego chłopaka... I nic z tego nie wyjdzie.

- Greg nie chce z tobą zażywać rozkoszy? A może jego rodzice nie zgadzają się na ślub?

- Nie o to chodzi. My, wampiry, nie mamy popędu płciowego... - Prawie się rozplakała.

- On mnie całuje, a ja niczego szczególnego nie czuję. Tylko łaskocze.

- Hmm... - zadumał się. - Wydaje mi się, że to bardzo łatwo wyjaśnić. Chociaż zaradzić temu będzie pewnie trudniej.

- Wyjaśnić? Nikt nie wie, dlaczego tak jest. Czyżby pan...? - Spojrzała na Egipcjanina z zaciekawieniem.

- My, kapłani, od tysięcy lat badamy sekrety i prawa otaczającego nas świata. Uważam, że przyczyną twoich problemów jest brak cienia.

- Żaden wampir go nie rzuca. I co z tego? - parsknęła. - Odbić w lustrach też nie mamy...

- Odbicie to żaden problem. Użyj lusterka z polerowanego brązu. To srebro nie toleruje waszych wizerunków. A co do cienia, w nim ukryta jest żądza seksualna człowieka. Jeśli znajdziesz światło, które przywróci ci cień, wszystko powinno wrócić do normy.

- O rany. - Wytrzeszczyła oczy. - To takie proste?

- Życie ogólnie jest proste. - Uśmiechnął się. - Tylko ludzie je sobie niepotrzebnie komplikują. Wymyślają jakieś granice, paszporty, bilety na samolot...

Igor stanął w drzwiach.

- Pora na lotnisko. Jedziesz z nami? - zwrócił się do dziewczyny.

- Jasne.

- Zatrzymaj to na pamiątkę. - Kapłan podał jej posążek Bastet. - Może przyniesie ci powodzenie.



Na tarasie widokowym Okęcia było niemal pusto. Tylko na samym końcu stał jakiś typek w prochowcu, uzbrojony w potężną lornetę. Lekko mżyło, więc obcy nakrył głowę kapturem. Trójka wampirów obserwowała, jak Egipcjanin, machając radośnie neseserem, wspina się poschodkach do wnętrza samolotu. Drzwi zamknęły się, schodki odjechały. Stalowy ptak kołował na pas startowy.

- No i po problemie - stwierdził Marek.

- Jakie to piękne! - westchnęła Gosia. - Wieczna miłość, która pokonuje wszelkie

przeszkody...

- Za nasze dolary pokonuje - zauważył Igor. - Ale trudno, gość rzecz święta nawet dla wampira...

- Oj tam - parsknęła Gosia. - Ja wam o uczuciach, a wy o garści zielonych papierków! Jakie to żalosne i przyziemne!

- Dziecko, jesteś jeszcze bardzo młoda i nie rozumiesz, że pieniądze są po prostu niezbędne... Nawet martwym się przydają - westchnął Marek. - Bez nich...

- Będziecie zaraz mieli swoje zasrane pieniądze - wycodziła. - Ubezpieczajcie mnie.

Ruszyła dziarskim krokiem w stronę mężczyzny w prochowcu.

- Dzieńdoberek, panie majorze! - Klepnęła go w ramię, aż wypuścił lornetkę. Dobrze, że wisiała na pasku.

Kaptur też opadł.

- Yyy... - zgłupiał ubek.

- Przed chwilą widział pan, jak śmiertelnie niebezpieczna antykomunistyczna mumia o imieniu Heniek została przez nas wyekspediowana prosto do Egiptu - powiedziała dziewczyna. - Pozbyliśmy się jej z terytorium naszej socjalistycznej ojczyzny, ba, wykopsaliśmy z terenu kontynentu europejskiego, nie szczędząc wysiłków, podstępów i twardej waluty.

- Mieliśmy układ... - bąknął.

- I twoje szczęście, fagasio, żeśmy go nie dotrzymani, bo jakbyście go faktycznie złapali, to z pałacu Mostowskich nie zostałby kamień na kamieniu! - Igor wczuł się w rolę. - Czy wy w tej ubecji w ogóle wiecie, co to znaczy starożytny, obdarzony mocą, wkurzony byt bionekrotyczny?

- Sam pan rozumie, że aby uprzątnąć z kraju tę nader kłopotliwą egipską suszonkę, ponieśliśmy znaczne koszty w walutach wymiennalnych - dodał Marek.

- W związku z tym...

- Będzie pan łaskaw zwrócić nam sto czterdzieści dwa dolary - wyrębała Gosia.

- Ile!? Ale ja... Nie mam takiej kwoty w dolarach... - bąknął major.

- Poza tym nie umawialiśmy się wcześniej...

- W walce z mumią utraciliśmy też znaczną część sił życiowych. - Gosia obnażyła ząbki.

- Jeśli nie ma pan kasy, to trudno, weźmiemy w naturze. Chłopaki, ściągnijcie mu tak z półtora literka krwi...

- Zabierzcie tę krwiozerczą wariatkę! - Major wycofywał się tyłem. - Powiedziałem, że nie mam dolarów, bo naprawdę nie mam! I z powietrza przecież nie wyczaruję! Ale to nie znaczy, że nie chcę uregulować długu! Marki zachodniemieckie mogą być?



Jechali w stronę miasta. Ślusarz prowadził, Igor na kalkulatorze przeliczał kursy, a dziewczyna dzieliła zachodnie marki na dwie kupki. Mniejszą i większą.

- To doprawdy nieładnie tak kantować. No, pal diabli, oskubałaś ubeka, to trochę zmniejsza twoje winy - prawil morały Marek. - Ale przecież zdarłaś z niego dużo więcej niż...

- Ja też mam swoje wydatki - oznajmiła. - Wy chodźcie do roboty i dostajecie co miesiąc wypłatę, a ja nie. Potrzebuję kieszonkowego!

- W wysokości sześciomiesięcznych zarobków ciężko pracującego ślusarza!? - zdumiał

się wampir.

- Czy wy w ogóle byliście kiedyś w Peweksie odzieżowym? Głupie jeansy Wranglera kosztują ze czterdzieści dolców! A potrzebuję spodni, bo mnie wiatr podwiewa! I wysadźcie mnie koło zoo. Muszę pogadać z Profesorem.

Zaparkowali koło mostu Gdańskiego. Gosia kupiła sobie bilet i radośnie pobiegła do szklarni. Wampir uczony był na posterunku. Dorzucił właśnie do pieca, teraz przygotowywał rozsądę.

- Miło cię widzieć. - Uśmiechnął się.
- Jak tam wasz gość?
- Właśnie odleciał do domu - wyjaśniła.
- Czym zatem mogę ci służyć?
- Panie profesorze, czy mógłby pan wyjaśnić, dlaczego wampiry nie rzucają cienia?
- Pojęcia zielonego nie mam - przyznał.
- Tak na logikę, skoro jesteśmy widoczni dla innych, to znaczy, że nasza skóra odbija światło. Skoro odbija, to nie przechodzi przez nas na wylot. Czyli cień powinien być.
- To musi być chyba kwestia źródła oświetlenia - dumiała.
- Tak mówił kapłan Hefi. A gdyby użyć czegoś innego? Nie słońca, nie prądu...
- W blasku świetlówek jest tak samo.
- A lampa stroboskopowa?
- Nie sprawdzałem. Hmm... A gdyby tak użyć radu? - zapalił się.
- Nie rozumiem?
- Rad jest pierońsko promieniotwórczy i do tego świeci całkiem jasno... - powiedział.
- Promieniotwórczość jest szkodliwa - zauważyła Gosia.
- Dla ciepłych na pewno. Nam nie zaszkodzi, i tak nie żyjemy. Chociaż z drugiej strony - zawahał się - nikt nigdy nie sprawdzał. Może to i dla wampirów szkodliwe. A po co ci ten cień?
- Zakochałam się. - Spuściła skromnie wzrok.
- Gratuluję. Co!?! - zreflektował się. - Niech zgadnę, w tym wilkołaku, co się za tobą snuje?

- Tak.
- Nie widzę związku...
- Kapłan Hefi twierdzi, że w cieniu kryje się popęd płciowy.
- Kastraci cienie mają - zamyślił się.
- Zna pan jakiegoś? - zdziwiła się.
- Nie... Ale jakby nie rzucali, ktoś by zauważył. W czasach, gdy było ich więcej. Zostałyby ślady w literaturze, poezji, sztuce. Albo impotenci. Też mają cień. Czyli w tę stronę to nie działa. Ale w drugą... Kto wie! Choroba, jeśli to prawda... Nie spałem z dziewczyną od wiosny tysiąc dziewięćset czternastego - rozmarzył się. - To będzie, no, ponad siedemdziesiąt lat! Ale... - Spojrzał na nią spod oka. - Czy ty nie jesteś przypadkiem trochę za młoda, żeby myśleć o takich rzeczach?

- Mam już osiemnaście lat - odparła. - Poza tym na razie nie myślę o niczym szczególnym, chcę tylko coś poczuć, kiedy mnie całuje! Jeśli nie szybsze bicie serca, to może chociaż... Tak czy inaczej, sądzę, że gdy odzyskamy cienie, staniemy się jakby bardziej normalni...

- To będzie wymagało z pewnością wielu żmudnych doświadczeń... - mruknął.
- To na koszt. - Zdecydowanym ruchem wręczyła mu błękitny stumarkowy banknot.



Gosia siedziała w fotelu i dziergając szydełkiem, słuchała, jak Limahl śpiewa z magnetofonu, gdy zadzwonił telefon.

- Halo? - zagadnęła.

- Mówi Profesor. Wydaje mi się, że znalazłem!

- Światło, które daje cień? - ucieszyła się.

- Tak! Trzeba założyć na zwykłą żarówkę odpowiedni filtr. Z rtęci i kilku innych składników. Teraz posłuchaj uważnie, ja nie mam nikogo na oku, ale pomyślałem, że zechcesz sprawdzić, czy to działa. Spreparowałem odpowiednio jedną z latarni w parku Praskim.

Dłuższą chwilę tłumaczył, jak ma odnaleźć właściwe miejsce. Podziękowała i odłożyła słuchawkę.

- Dobra nasza. - Zatarła ręce.

W notesiku miała zapisany numer do Grega. Pozostało tylko umówić się na randkę...

Na miejscu pojawiła się dwadzieścia minut przed czasem. Odszukała latarnię. Przeszła się, potem usiadła na ławce. Spojrzała na oparcie. Cień... Rzuciła cień! Był dziwnej barwy, ale ewidentnie tam był. A zatem... Serce nie zatrzepotało jej radośnie w piersi, bo nie biło, ale poczuła dziwne uniesienie. Greg pojawił się może po pięciu minutach. Szedł alejką, pogwizdując serenadę Schuberta. W ręce niósł różę.

- Witaj. - Wstała i uśmiechnęła się.

- Cześć. - Musnął wargami jej policzek.

- Tu usiądziemy?

- No...

Rozparł się wygodnie obok niej. Gosia zanurzyła nosek w płatkach kwiatu, ale poczuła jak zwykle tylko ślad zapachu.

- Co oni tu za żarówkę zamontowali. - Chłopak spojrzał na lampę i skrzywił się. - Łuk elektryczny czy ki diabeł? Wyglądam w tym świetle jak ufoludek.

- Pewnie jakiś eksperyment. - Machnęła dłonią. - Sam wiesz, szukają w tym kryzysie oszczędności, na czym tylko się da.

- Możliwe - przytaknął.

Objął ją ramieniem.

- Jakie to wszystko porąbane - powiedział.

- Znajduję sobie wreszcie sensowną dziewczynę, a tu... - umilkł.

- Przepraszam, ale chyba pisana mi dożywotnia samotność...

- Pocałuj mnie - zażądała.

Wilkołak spojrzał na nią niepewnie.

- Eee... - wyraził cały wachlarz uzasadnionych wątpliwości.

- Całuj! - zażądała twardo.

Całował ją delikatnie i z wyczuciem, ale ona nadal czuła tylko idiotyczne lekkie łaskotanie. Spreparowana przez Profesora lampa ewidentnie nie działała.

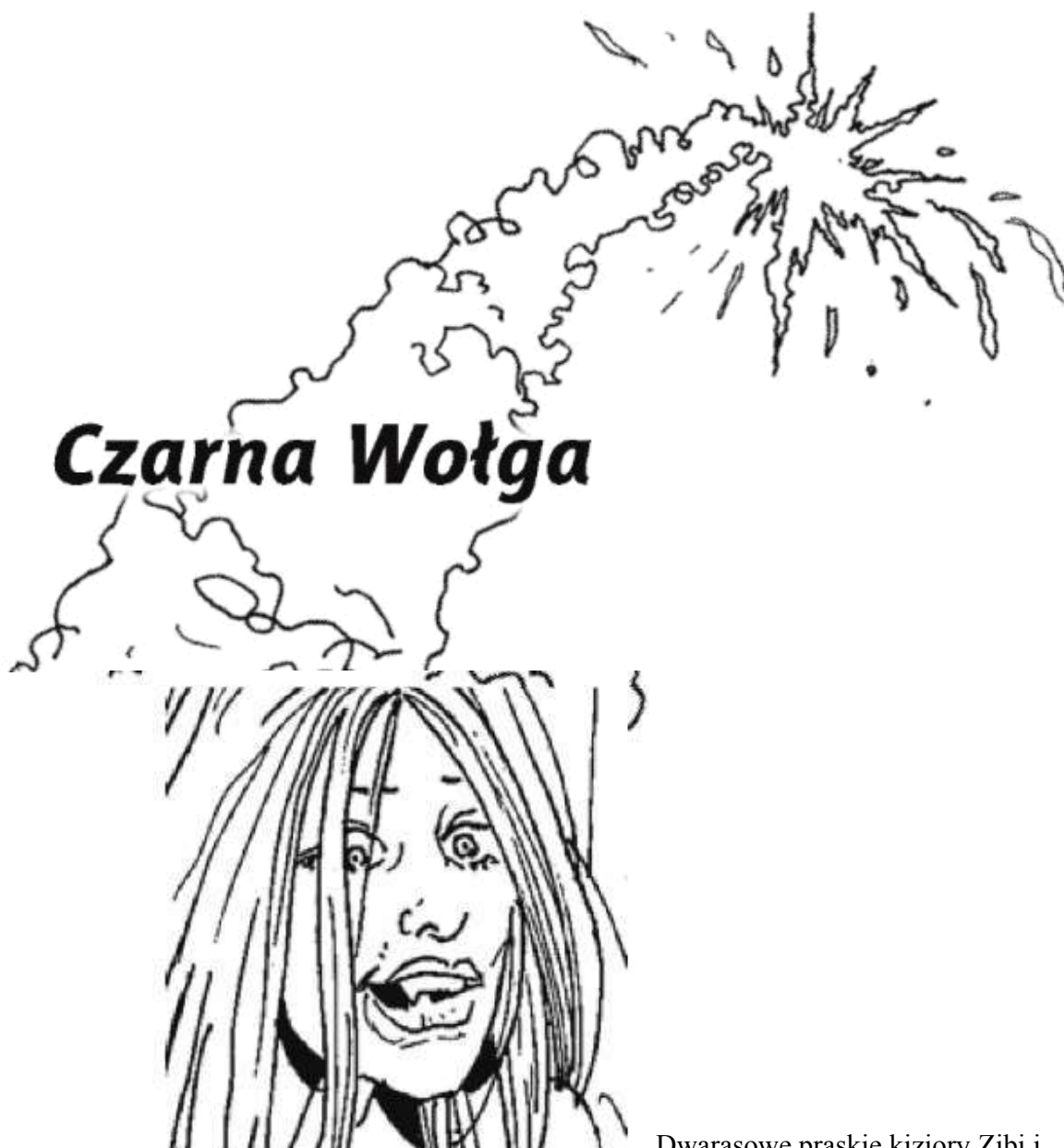
Czyli kapłanisko się mylił. Cień wcale nie jest źródłem popędu płciowego. Cholerne egipskie zabobony, pomyślała ze złością. A może problem leży w sercu?

W dawnych czasach ludzie sądzili, że to ono jest źródłem uczucia. Może gdy nie bije, nie

działa też reszta? I czy jest na to jakaś rada? Rozrusznik wszczepić czy co?

- Chyba miałeś rację z tą dożywotnią samotnością. -Łagodnie odepchnęła chłopaka. - Ale myślę, że możemy się przynajmniej kumplować...

Czarna Wołga



Dwarasowe praskie kiziorzy Zibi i Gienek wdrapali się do swej „łóży”. Tak nazywali zniszczoną parkową ławkę umieszczoną w połowie wysokości wału kolejowego, który od północy i północnego wschodu otaczał łukiem tę część Szmulek. Stąd, z góry, mieli niezły widok. A jak powszechnie wiadomo, piękny krajobraz znakomicie podnosi walory smakowe spożywanego w plenerze jabola.

Po lewej, za betonowym ogrodzeniem, rozciągały się całe hektary placów i hal fabryki sprężyn, zasłane zardzewiałymi kawałkami drutu i obrzynkami metalu. Na wprost widzieli wylot

ulicy Łomżyńskiej oraz dachy czynszówek w kwartale pomiędzy Otwocką i Grajewską. Na prawo można było zobaczyć blok mieszkalny wzniesiony w nowoczesnej technologii wielkiej płyty, który stanowił przykry dysonans architektoniczny. Choć nie umieli ubrać swych uczuć w słowa, obaj amatorzy winka byli przeświadczeni, że budowla ta nieodwracalnie niszczy antyczny urok ich dzielnicy. Gierkowska szka-rada nie pasowała do syjących się kamienic.

Wzdłuż wału, niemal u ich stóp, przez chaszczę i chwasty biegła ścieżka, którą od czasu do czasu przechodzili ludzie podążający z przystanku autobusowego przy ulicy Radzywińskiej. Wtorkowe jesienne popołudnie powoli zamieniało się w wieczór. Pierwsza butelka pokazała dno i trzeba było napocząć drugą.

- Urwał, jaki tu z góry ma się, urwał, piękny widok -ziewnął Gienek.

- Urwał! - Towarzysz przyznał mu rację i czknął potężnie, rozsiewając wokół zjadliwą woń nadtrawionego alkoholu i dwutlenku siarki.

- Ty! Zobacz! Co tam się, urwał, dzieje?

Ścieżką biegła na złamanie karku nastoletnia dziewczyna. Za nią przez chaszczę przedzierał się czarny jak smoła samochód, rycząc silnikiem. Koła co chwila utykały w wykrotach, chwasty wkręcały się w osie.

- Sie mnie to, urwał, nie podoba - warknął Zibi.

- Ty, a ta mała to nie jest czasem córka Parkana?

- No chyba. - Oczywiście Gienka po latach picia różnych rozpuszczalników nie były już tak dobre jak w czasach, gdy żył z kantowania przy kartach.

- O ty, w mordę. Żadne milicyjniaki nie będą, urwał, na naszej, urwał, dzielnicy ganiać naszej, urwał, swojacz-ki! Zbieramy się!

Gienek posłusznie wstał i wyciągnął brzytwę z kieszeni wyszmelcowanej kurtki. Nieoczekiwanie auto utknęło definitywnie. Trzasnęły drzwiczki po obu stronach i z wnętrza wyleźli dwaj kolesie ubrani na czarno. Puścili się klusem za dziewczyną.

- Urwał! - Zibi dopił haustem resztę winka i jednym ruchem przerobił butelkę na tulipana.

Zbiegli po skłonie nasypu. Dziewczyna minęła ich w biegu. Na widok sąsiadów na jej twarzy odmalowała się ulga, ale nie zwolniła. Ziomale ustawili się na ścieżce. Dwaj czarno ubrani kolesie właśnie nadbiegali. Obaj zakapiorzy zastąpili im drogę. Ścigający zatrzymali się.

- Gdzie się, urwał, tak, urwał, spieszycie, obesrań-cy? - zapytał Zibi, zadając jednocześnie niski, podstępny cios tulipaniem.

Wsadził kwiatek prosto w pępek mężczyzny w płaszczu. Poczuł, że szklane drzazgi weszły w mięso głęboko, aż do kiszek.

- Dziewczyny się, urwał, zachciało? - przekreślił szyjkę flaszki, robiąc z wnętrzości frajera kompletną już sieczkę.

- To se za Wisłą poszukaj! - pociągnął jeszcze w górę.

Urwał! Łapiduchy z, urwał, ubeckiego szpitala na Komarowa będą to, urwał, łątać całą noc, pomyślał z ponurym zadowoleniem.

- Zawędrowało się, urwał, za daleko od, urwał, domu? - Gienek zarechotał i chlasnął mojką drugiego frajera.

Brzytwa na gumie uderzyła jak kobra. Piękny, precyzyjny śmiertelny cios rozorał skórę na lewo od szczęki. Teraz dopiero kiziorzy spostrzegli, że coś jest nie tak. Zagadkowi napastnicy po prostu stali. Mimo ciężkich ran na ich obliczach nie pojawił się najlżejszy grymas bólu. Oczywiście patrzyły nieruchomo jak porcelanowe kulki. Spojrzenie było jakby martwe. Z rozchlastanej szyi wyższego nie wyciekła ani kropla krwi.

Obaj zakapiorzy mogliby też przysiąc, że obcy nie oddychali. A przecież po takiej przebieżce powinni dyszeć jak lokomotywy.

- Urwał, kończmy ich - burknął Zibi i uderzył tulipaniem raz jeszcze. Mojka Gienka zatańczyła śmiertelny taniec.

I nagle w obu obcych jakby wstąpiło życie. Tulipan podbity celnym kopniakiem wbił się w czoło żuła. Brzytwa Gienka poleciała gdzieś w krzaki. Sekundę później w ślad za nią poleciał właściciel.

Zakrwawiony lump odrzucił resztki flaszki i zaczął się cofać. Jucha biła z czoła, zalewała mu kaprawe ślepią. Ledwie widział, ale czuł przez skórę, że obaj czarno odziani obcy idą w jego stronę.

- Panowie, po co tak ostro? - wybelkotał, widząc isticie rzeźnicze noże w ich rękach. - Przecież się dogadamy...

W tym momencie z tyłu rozległ się tupot kilkunastu par ciężkich butów. Zibi otarł krew z oczu i obejrzał się. To Maryśka sprowadziła na pomoc pół dzielnicy. Na czele odsieczki gnało trzech roślących Cyganów. Jeden w pół-skoku artystycznie cisnął sprężynowcem.

Obcy zachwiał się od siły ciosu, ale nawet nie upadł, choć nóż wbił mu się w pierś po rękojęść. Wujo pierwszy doskoczył do frajerów, unosząc gazurkę wypełnioną ołowiem. Zamierzył się na wyższego, wykonał piękny bandziorski zwód i przyładował w szczękę niższemu. Pała skrzesiała iskry o zęby, ale obcy nawet się nie zachwiał. Zamiast tego chlasnął majchrem.

Wujo w ostatniej chwili odbił cięcie i z przerażeniem spostrzegł, że jego broń skróciła się o połowę. Klinga z łatwością przecięła stalową rurkę wodociągową. Wróg wzniósł nóż i w tym momencie jego twarz eksplodowała. Uderzony chyba kilogramem ołowiu poleciał do tyłu.

Wszystkie kiziorzy obejrzały się odruchowo. Na stosie porzuconych płyt betonowych stał Motorowy. W rękę dymiła mu lufa jakiegoś straszliwego samopału.

- Ferajna naprzód! - krzyknął.

- Kończyć ich!

W tym momencie samochód ryknął silnikiem i podjechał. Obcy pomógł wstać postrzelonemu kompanowi. Odwrócili się, próbując wskoczyć do auta. Resztką gaz-rurki Wuja popieściła jednego po potylicy, ale najwyraźniej nie skruszyła kości. Kolejny ciśnięty z rozmachem cygański kozik wbił się w nerkę drugiego, gdy ten już wsiadał do pojazdu. A potem drzwiczki się zatrzasnęły. Kiziorzy otoczyły wóz.

- Nie tak, urwał, szybko! - ryknął oszalały z bólu Zibi, podkładając pod koło bryłę betonu.

- Urwał! Riezać frajerów, zanim wezwą, urwał, radiem pomoc! - zakomenderował któryś z Cyganów.

Mychajło szarpnął za klamkę, ale wóz był zamknięty. Przyciemniane szyby lśniły ponuro w świetle latarni. Wujo walnął resztką gazurki w szkło, ale nic to nie dało, stal odbiła się jak od gumy. Zagrał silnik i auto, cofając się tyłem, pomknęło ścieżką wzdłuż wału. Dwie oderwane klamki oraz wyszarpane z bebechami wycieraczki zostały w rękach żądnych zemsty mieszkańców Szmulek.

- Co to, urwał, było? - wykrztusił Wujo. - Czarna, urwał, Wołga!?

- Czarna Wołga to, urwał, tylko, urwał, legenda. Ty lepiej, urwał, Motorowemu, urwał, podziękuj! - warknął Wihajster. - Gdyby, urwał, nie walnął ze spluwy...

Ale ich sąsiad znikł bez śladu.

- Szukajcie Gienka - wymamrotał Zibi, trzymając się za pokiereszowane czoło... - I dajcie znać Felczerowi, potrzebuję szycia... Potem zwołajcie ferajnę na naradę. To nie przelewki.

Gienka znaleziono dopiero po pięciu minutach przeczesywania chaszczy Miał skrecony kark.



Marek zbierał się właśnie do roboty na nocną zmianę. Zapakował do teczki czysty ręcznik i notes. Dorzucił torebkę wędzonych szprotek dla fabrycznych kotów. Kanapek ani termosu z herbatą nie zabierał. Nie były mu potrzebne. Jego kumpel umiłał sobie czas, gawędząc z Gosią.

- Znasz legendę o Jakubie Wędrowyczu? - zapytał.
- O kim? - zdziwiła się.
- Ty jej nie strasz - warknął Marek, pastując buciory.
- Bo jeszcze uwierzy w te bzdury.
- To nie są żadne bzdury, tylko niesprawdzone pogłoski o wysokim poziomie prawdopodobieństwa - obraził się Igor.
- Jaaasne. Legenda o człowieku, którego żaden wampir w życiu nie widział - prychnął gospodarz.
- Byli tacy, którzy go widzieli, ale nie przeżyli - sprostował kumpel.
- To jak by potem zdali relację? - Ślusarz uśmiechnął się krzywo.
- Opowiedzcie - poprosiła ich podopieczna. - Uwielbiam historie grozy.
- Jakub Wędrowycz to egzorzysta i łowca wampirów - zaczął komunista.
- Żyje gdzieś na Lubelszczyźnie. To już stary dziad. Chleje całymi dniami, ale czy trzeźwy czy nie, jest śmiertelnie niebezpieczny.
- A najgorszy sadysta wychodzi z niego pewnie, gdy jest na kacu - westchnął z ubolewaniem Marek.
- Skąd wiesz? - Igor wytrzeszczył oczy.
- Domyśliłem się. Gadaj dalej.
- W każdym razie Wędrowycz ubiera się tak, że doskonale wtapia się w tłum. Nosi gumofilce, kufajkę, spodnie z worka. Ale zawsze ma granat w kieszeni, posrebrzony bagnet w cholewie buta i linkę hamulcową.
- Po co mu ta linka? - zdziwiła się.
- Do duszenia chyba. Jak stryczek - wyjaśnił spawacz. - Jakub jest szybki, okrutny, nieprzekupny, silny i bezwzględny. Poznać go można po jednym. Zawsze śmierdzi starymi skarpetkami. Najpierw czuje się ten upiorny smród, potem dopiero pojawia się on.
- Co on, nóg nie myje?
- Jak to na polskiej wsi, raz w roku, na Świętego Jana - zakpił Marek.
- Smród pochodzi z tego, że od czasów przedwojennych nosi te same skarpetki, zielone skarpetki arcymi-strza szachowego doktora Laskera, który wyrzucił je, jadąc przez Chełm na zawody...
- Starczy tych bzdur - westchnął właściciel mieszkania. - Sam się zastanów, co to za stek pierdół. Bezwzględny zabójca wampirów, którego nikt nie spotkał, a ci, co spotkali, już o tym nie opowiedzą. W dodatku nosi te same skarpety od sześćdziesięciu lat? To by się przetarło tak z tysiąc razy! I pomijając wszystko inne, skąd wiadomo, że ma zielone skarpetki, skoro jak twierdzisz cały czas chodzi w gumofilcach? Jakiś wampir zajrzał mu do cholewki?
- Doktor Lasker był znany z tego, że nosił jedwabne skarpetki jadowicie zielonej barwy!
- Jesteś głupszy od telewizora! Nawet jedwab nie wytrzyma kilku dekad kisenia w gumowcu! To po prostu tak niemożliwe, że aż śmieszne! - burknął Marek.

- Ech, ty niedowiarku. Inaczej zaśpiewasz, jak cię Wędrowycz dopadnie!
- Srali muchi, będzie wiosna, będzie śliczna trawka rosła. A ty się nie przejmuj - zwrócił się do Gosi. - Nie ma żadnego Wędrowycza. To tylko plotki znudzonych życiem i zramolałych wampirów.

- Jeśli to plotki, to jak wyjaśnisz zniknięcie klanu Iwazki? - zapytał Igor.
- Nijak. Nie jesteśmy ich nadzorcami. Może drapnęli do ZSRR albo przedostali się na Zachód? Może dopadli ich chłopci? Mieszkańcy wsi faktycznie czasem bywają niebezpieczni.
- I to by się zgadzało! - Wampir komunista uśmiechnął się kpiąco. - Wędrowycz jest niemal kwintesencją polskiego wieśniactwa. No, jest też taka możliwość, że dopadł ich Van Helsing.

- Nie pieprz! Van Helsing, zakładając, że kiedykolwiek istniał, musiałby mieć dziś sto sześćdziesiąt lat! I skąd by się tu wziął?

- Inaczej zaśpiewasz, gdy usłyszysz upiorne skrzypienie jego skórzanego płaszcza!
- Dobra. Kończmy te głupie gadki i żebyś mi się więcej nie ważył straszyć dziewczyny tymi bzdurami - warknął ślusarz. - I tak biedaczka nie może się pozbierać. Pamiętasz, co z tobą było na początku? Dobry miesiąc od przemiany chodziłeś jak śnięty.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Przekręcił klucz w zamku. Na wycieraczkę stali trzej tubylcy. Najwyższy prezentował w uśmiechu klawiaturę złotych zębów. Drugi miał na czole kilkanaście świeżych szwów, układających się w gwiazdę. Trzeci, najmłodszy, był kompletnie siwy.

- Czym mogę służyć ferajnie? - zapytał Marek.
- Reprezentujemy, urwał, grupę, urwał, mieszkańców Szmulek szczerze, urwał, zatroskanych o, urwał, stan bezpieczeństwa na dzielnicy - powiedział ten ze złotymi zębami. - Wołają mnie Wihajster, jestem przy ulicy jakby za starszego. To jest Zibi - przedstawił kolesia z pokiereszowanym czołem. - A to Dziadek. - Wskazał najmłodszego z kompanów.

- Praska mafia... - westchnął Marek, gestem zapraszając ich do kuchni.
- Oj tam, jaka, urwał, zaraz mafia - prychnął ten z blizną na czole. - Po co nam, urwał, tak górnotne, urwał, określenia? Mafia to jest, urwał, za granicą. Jeździ, urwał, drogimi autami, urwał, urządza, urwał, strzelaniny z, urwał, bronią maszynową, szmugluje, urwał, złoto i, urwał, narkotyki oraz, urwał, przekupuje, urwał, polityków. My jesteśmy, urwał, drobne warszawskie, urwał, bandziorki zrzeszone, urwał, w coś w rodzaju, urwał, spółdzielni samopomocowej.

- Zamiast limuzynami jeździecie autobusami i zamiast pistoletów macie kastety... Czego ode mnie oczekujecie? - zapytał ślusarz.

- Przyszliśmy tu, urwał, w zgodzie, jak to do, urwał, sąsiada - powiedział Wihajster. - Pogadać, urwał, jak kizior z kiziolem. Wiemy, że jesteście, urwał, wampirami - wzdrygnął się - ale, urwał, zwisa nam to. Przestrzegacie, urwał, zasad, czyli jesteście, urwał, wporzo. Swojaków, urwał, nie ruszacie, wysysać, urwał, frajerów chodźcie za, urwał, Wisłę. I, urwał, git. Reszta to nie nasza, urwał, sprawa. Każdy orze, jak może. A dyskrecja jest, urwał, cnotą.

- W czym zatem mam wam pomóc?
Zibi pokrótce streścił przebieg wczorajszej bitwy.

- Tak nam się, urwał, wydaje, że ci z czarnego auta byli tacy jak wy - powiedział najmłodszy poważnie. - Szybcy, silni, bladzi na gębach. Cięci brzytwą nie krwawili. Nie czuli, urwał, bólu. Nie oddychali. I, urwał, nie do zajebania.

- Się, urwał, grzeczniej wyrażaj przy panach, urwał, wampirach. - ranny w czoło walnął go pięścią po ramieniu.

- I przy pani szanownej dyrektorowej też. - ukłonił się Gosi szarmancko.
- Tak sobie, urwał, pomyśleliśmy, że nawet jeśli to, urwał, tacy sami jak wy... - odezwał

się Wihajster dziwnie grzecznym tonem.

- Dzielnica rzecz święta. - Ślusarz poważnie skinął głową. - A lojalność wobec sąsiadów jest ważniejsza niż solidarność gatunkowa! Jeśli to faktycznie jakieś obce wampiry, to nie pozwolimy im pałętać się po naszych Szmulkach!

Kiziorzy wyraźnie odetchnęły z ulgą.

- Zrobiliśmy tu, urwał, wśród, urwał, sąsiadów małą, urwał, zrzutkę i za likwidację Czarnej, urwał, Wołgi będzie dla was, urwał, obu po dwadzieścia siedem, urwał, dolarów... - Złotozęby wyciągnął plik pomiętych zielonych papierków.

- Schowaj to, człowieku, bo się obrażę - zgromił go Marek.

- Dla sąsiadów pracuję gratis. Za to - zmrużył oczy - jakbym potrzebował pomocy...

- Oczywiście - odparł ten ze szramami na czole. - Chętnie się z nimi, urwał, raz jeszcze, urwał, spotkamy. Coby, urwał, leszcze zaświatowi, urwał, nie myśleli, że jeden, urwał, tulipan w, urwał, czole ostudzi krew, urwał, kiziora...

- Dziewczynę dobrze schowajcie i nie wypuszczajcie na ulicę - polecił wampir.

- Już, urwał, schowana! Sam, urwał, diabeł, urwał, nie znajdzie!

Chłopaki z dzielnicy pożegnali się i poszli. Marek pospiesznie dopakował torbę. Dorzucił na wierzch paczkę kawy.

- Worożyła? - mruknął Igor domyślnie.

- Tak. A ty weź Gośkę i gnaj do Profesora. Trzeba zasięgnąć jego opinii.



Było już za późno, by zastać uczonego wampira w robocie, na szczęście Igor znał adres domowy. Profesor wybudował sobie małą chatkę na terenie ogródków działkowych. Dłuższą chwilę wędrowali alejkami. Drzewa zgubiły już większość liści, w mroku widać było gałęzie uginające się pod ciężarem czerwonych i złocistych jabłek. Z daleka wiatr niósł woń palonych chwastów.

Igor pchnął zardzewiałą furtkę i po chwili pukał już do koślawych drzwi. Profesor zaprosił przyjaciół do domku. Lokum z zewnątrz wyglądało jak zwykła altana sklecona ze starych desek. W środku to wrażenie prysło. W kącie stał kominek, przy ścianach piętrzyły się regały z książkami. W dwu akwariach pływały pijawy. W ciasnym wnętrzu znalazło się także miejsce na stół z mikroskopami.

- O, goście, a ja nieogolony... - sumitował się.

- To wampiry mogą mieć zarost? - zdziwiła się Gosia.

- Trochę rośnie, tak mniej więcej dwadzieścia razy wolniej niż u ciepłych - wyjaśnił.

- Czegoś się napijecie? Mam tu w szopie kilka królików...

- Właściwie to sprowadza nas pewna sprawa służbowa - odparła dziewczyna.

- Przyszliśmy po konsultację.

- Naukową - uzupełnił Igor. - Marek nas przysłał. Mamy pewien drobny kłopot w dzielnicy...

- Kłopoty to jego specjalność - westchnął uczoney. - Co tym razem? Wycieczka wampirów żebraków z Rumunii, czy może znów nadepnęliście na odcisk ubecji?

- Przyplątało się jakieś tałatajstwo z daleka i rozrabia. Nie wiemy, czy to Rumuni, ale musimy ich usadzić. Co wiesz na temat Czarnej Wołgi? - zapytał Igor.

- Niewiele - westchnął Profesor. - W zasadzie tyle co nic. Same legendy, pogłoski, plotki...

- Mów, proszę, po kolei.
Zasiedli w fotelach.

- Czarna Wołga pojawia się i znika od dziesięcioleci. Podobno jeżdżą nią po Polsce sowieccy lekarze. Łapią dzieci i ściągają z nich krew dla ratowania zdrowia Breżniewa.

- Breżniew nie żyje od dobrych kilku lat - mruknęła Gosia. - Pamiętam, jak ojciec pisał przemówienie żałobne.

- Jeszcze wróble nie ćwierkały, że kiedyś będzie Pierwszym, a już ta machina grasowała... Rzecz jasna, trudno szukać śladów takiej legendy w oficjalnie wydawanych pracach etnograficznych, ale to bardzo stara opowieść.

- Ekstra - westchnęła Gosia.

- Istnieje teoria zakładająca, że ta plotka ma racjonalne przyczyny - poinformował ich uczoney. - W latach czterdziestych Beria tłukł się po Moskwie czarnym autem i polował na uczennice. Potem je gwałcił.

- Praska żulia żyje z kradzieży samochodów, od kiedy tylko pojawiły się w Warszawie. - Igor pokręcił głową. - Nie pomylili by wołgi z rządową gablotą. A inne legendy?

- Ponoć tą piekielną machiną podróżują diabły. Jak już upatrzą sobie łup, to zawsze po niego wracają. Nie popuszczają, aż dopną swego.

- To dlatego praskie kiziorzy obawiają się kolejnego ataku - mruknęła Gosia. - To pewna wiadomość?

- A skąd! - prychnął. - Tam nie ma nic pewnego!

- A może poszczujemy ich wielką pijawą? - zażartował Igor, patrząc na potwory kotłujące się w akwarium.



Tego wieczoru jak na złość robota się spiętrzyła. Na dziale tokarek strzeliły dwa „koniki” służące mocowaniu toczonych elementów. Dostosowanie współczesnych do carskiej jeszcze szyny nawet takiemu mistrzowi jak Marek zajęło blisko trzy godziny. Potem musiał dorobić zużyte sanacyjne koło zamachowe. Ledwo się z tym uporał, gdy do szlifierni przywleczono uszkodzoną prasę balansową. Poszedł gwint. I tu praca okazała się trudna. Urządzenie liczyło sobie przeszło sto sześćdziesiąt lat, wszystkie wymiary miało jeszcze w werskach. Ślusar-nia nie miała tak starych gwintowników, Marek musiał pracować ręcznie przy użyciu pilnika.

Gdy skończył, usiadł i otarł pot z czoła.

- Za stary jestem na takie zabawy - mruknął.

Poczuł na karku czyjś wzrok. Obejrzał się. Kot Karola Wójcika siedział na obudowie frezarki.

- Czy Worożycha udzieli mi audiencji? - zapytał ślusarz.

Zwierzę poważnie skinęło głową, a potem umknęło. Marek wyjął z torby paczkę kawy, włożył ją do kieszeni i ruszył przez sąsiednie działy. Przyświecając sobie latarką, wszedł do opuszczonej od lat hali. Nie lubił tu przychodzić. Po chwili odnalazł schodki prowadzące do szatni. Przez brudne okienka do pomieszczenia sączyło się trochę poblasku latarni oświetlających nocą teren fabryki. Robocze kurtki, zetławe, zniszczone przez wilgoć i ponadgryzane przez myszy

wisiały w boksach z kompletnie zardzewiałej siatki. Na ceglanej podłodze stały kałuże wody. Stara szatniarka siedziała jak zwykle w swojej pakamerze, szara od kurzu. W półmroku świeciły jedynie jej oślepiająco błękitne oczy.

Co za paranoja, pomyślał z melancholią. Dział zlikwidowali trzydzieści lat temu, a o tym, że szatnia już niepotrzebna, nikt nie pomyślał. Papiery zgubili w dziale kadr. Nikt staruszki nie odwołał ze stanowiska i od samotnego siedzenia w ciemnościach kompletnie zwariowała... Aż któregoś dnia podczas inwentaryzacji znaleziono zasuszoną od miesiący mumię...

- Nie bądź taki pewien, że mi odbiło - warknęła Wo-rożycha, nie podnosząc nawet głowy.
- Niby wszyscy gadacie, że wariatka, a jakby co, to ciągniecie tu niczym sarenki do wodopoju.

- Przepraszam - bąknął.

No tak, zapomniał o tej cholernej telepatii...

- Wiem, co gadacie, że od dawna nie żyję, tylko nie wiem, że umarłam. Nie jestem bardziej martwa niż ty. - Wyszczrzyła poźółkłe zęby.

- Umarłaś. Jesteś duchem - przemówił łagodnie.

- Czy duchy piją kawę?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- Nie umarłam, tylko wyzwoliłam się z okowów czasu kosztem przypisania do tego miejsca - oznajmiła uroczyście. - Siedzę tu i będę siedzieć do siódmej nieskończoności. I widzę jednocześnie wszystko, co było, jest i będzie.

- To co będzie? - zakpił.

- Runie ta hala do reszty czy zrobią remont i uruchomią produkcję?

- Przyjdzie taki czas, że w tych murach powstanie uczelnia. I zamiast takich jak ty roboli o mózгах zastygłych w mazucie pojawią się tu ludzie, którzy zagraniczną kawę z automatu będą popijali na każdej przerwie!

- Coś podobnego! To będzie partyjna uczelnia czy ubecka może? - zdziwił się.

- To będą czasy, gdy nie będzie już ani Partii, ani ubecji.

- Bezklasowe społeczeństwo komunistyczne, o którym pisał Lenin, powstanie nie wcześniej niż za tysiąc lat! Te mury, chociaż to dobra carska cegła, nie wytrzymają tak długo.

- Za dziesięć lat tego zasranego socjalizmu też już nie będzie! - syknęła, mrużąc oczy.

Westchnął w duchu. Babci najwyraźniej kompletnie już odbiło.

- Przyniosłem kawę. - Postawił paczkę na blacie zżartego przez wilgoć i robactwo stolika.

- Sto pięćdziesiąt gramów!? - ryknęła oburzona.

- Ale patrzy pani jaka - próbował się bronić. - Prawdziwa, z Peweksu. Z jednej łyżeczki dwie filiżanki zrobi...

- A, chyba że tak - burknęła nieco udobruchana.

Zabełtała brudnym palcem w przedwojennej filiżance i wpatrzyła się w fusy.

- Trzy trupy - mruknęła.

- Na razie zginął jeden mieszkaniec...

- Te trupy to ty z kumplem i ta dziewczeczka, co z wami mieszka.

- Zginiemy? - zasepił się.

- Stary wampir, a głupi! Przecież już nie żyjecie! - huknęła. - Do tego... Zagrożenie...

Straszna moc. Wewnątrz słaba. Jest szansa, że dacie radę. A w zamian wiedza... Ale jest i inna siła. Jak płomień. Buzuje obok. Jeśli uzna was za swojaków, to się ogrzejecie. Jeśli nie - spopieli...

Fabryczny Kot otarł mu się o nogę i zamruczał, jakby dodając otuchy.

- Nie łam się - warknęła kobieta. - Jesteś robolem z Pragi. Byle kto ci nie fiknie. Wal w mordę, jakby co, po robociarsku.

- Czym jest Czarna Wołga? - zapytał.
Zabełtała w fusach.
- Ty wiesz. A w każdym razie wiesz, kogo zapytać...
- Czemu się tu zjawiała?
- Szuka tego, kto jej kiedyś nabruździł. Dziewczyna to dla niej dodatkowy łup.
- A pasażerowie?
- Renegaci. - Skrzywiła się. - Wygnani ze swojego świata...
- Wampiry? Demony?
- Nie wiem. - Pokręciła głową. - Moc w nich płonie. Jeśli to wampiry, to nauczyły się więcej niż wy...

Gdzieś z daleka rozległ się głośny rumor.
Oho, stelaż się urwał, pomyślał ślusarz.
- Goń - warknęła szatniarka. - Będziesz tam potrzebny. Ja nic więcej i tak ci już nie powiem. Niejasne to wszystko.

- Dziękuję.
Pomaszerował na swój dział. Dopiero gdy był już poza zasięgiem telepatii, skrzywił się i westchnął.

- Do dupy ta przepowiednia - mruknął. - Szkoda dobrej kawy na gusła i zabobony. Ale faktycznie można kogoś podpytać...



U zbiegu ulic Folwarcznej i Kawęczyńskiej, rzut kamieniem od szkoły muzycznej, na wprost zajezdni tramwajowej, stała stara chata, pamiętająca jeszcze epokę przed budową okolicznych czynszówek. Chata chyliła się ku ziemi. Otaczał ją stary płot częściowo drewniany, częściowowzniesiony z betonowych elementów. W chacie od kilku tygodni mieszkał sobie na dziko Motorowy. Żule ani kiziorzy nie mieli pojęcia, skąd się tu wziął ani jak się naprawdę nazywa.

Przedstawił się ksywą i tak też zostało. Wieczorem pierwszego dnia pobytu we wszystkich bramach wystawił po skrzynce wódki. Gest doceniono. Motorowy nie wchodził ferajnie w drogę, a i tubylcy go nie zaczepiali.

Ile miał lat, nikt nie wiedział. Wyglądał na siedemdziesiątkę, ale w tej okolicy wiek biologiczny nie zawsze pokrywał się z tym, co zapisano w metrykach. Alkohol jednych przedwcześnie postarzał, innych zakonserwował, a dowody osobiste też niekiedy zmieniały właścicieli w sposób, który niejednemu dzielnicowemu przysporzył siwych włosów. Powszechnie przebąkiwano, że Motorowy chodzi z klamką za pasem, a i w mordę potrafi dać. Z czego żyje, nikt nie wiedział. Jeździł po okolicy na zdezelowanym rowerze składaku, wygrzebywał ze śmietników rozmaite urządzenia i wymontowywał z nich przydatne mu części... Z początku miejscowi dziwili się jego zainteresowaniom, ale szybko przestali. Bo to mało wariatów na świecie?

Marek prosto z fabryki poszedł na tramwaj. Podjechał dwa przystanki. Wysiadł koło szkoły muzycznej. Siódma rano, a ktoś już ćwiczył... Wyobraził sobie ciemnowłosą nastoletnią skrzypaczkę i zaswędziały go dźwięki.

- Najpierw robota, potem przyjemności - zganił sam siebie. - Poza tym napić się to będzie

trzeba najwcześniej za tydzień...

Poprawił pasek torby i ruszył do szturmu. Podkrał się na paluszkach. Problem z Motorowym był, niestety, taki, że nie lubił gości. Gdy ktoś przychodził z wizytą, ułatwiał się czym prędzej, a ślusarzowi nie chciało się przeczesywać całej dzielnicy tylko po to, by pogadać... Furtka była oczywiście zamknięta. Wsadził dwa druciki do dziurki i w trzydzieści sekund pokonał nieskomplikowany zamek.

- Za łatwo poszło - ocenił.

Obejrzał dokładnie słupki. Tak jak przewidywał, do skrzydła bramki podczepiono całkiem skomplikowany alarm. Rozbrojenie go zajęło mu dłuższą chwilę. Ominął potykacze rozłożone na ścieżce. Drzwi nie były zamknięte. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, otworzył je szarpnięciem. Mieszkaniec chaty oczywiście nie dał się tak do końca zaskoczyć. Jednym ruchem wycelował w pierś niespodziewanego gościa swój garłacz.

- Gdzie! - ryknął.

- Witaj, Motorowy - odezwał się ślusarz spokojnie.

- A może wolisz dawną ksywę, „Suchy”?

Żuł zamarł.

- A ty skąd wiesz? - syknął i wpatrzył się w twarz przybysza.

- Marek!? - wykrztusił z niedowierzaniem.

- To ty?

- Jakie fikołki robi ta pamięć. - ślusarz uśmiechnął się krzywo.

- Ja cię od razu poznałem.

- Nie zestarzałeś się.

- Ty też nie!

- Ja to co innego - prychnął Motorowy.

- Nie mogę się bardziej zestarzeć.

- Żuł wieczny tułacz - zakpił ślusarz.

- A żebyś wiedział, zasrany wampirze!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, zaciskając pięści, gotowi do zwarcia. Potem emocje przygasły.

- Wiesz, co się dzieje? - zapytał Marek, bezceremonialnie siadając na krześle. - Gadali, że uratowałeś ferajnę, a potem się zmyłeś...

- Wiem - mruknął powściągliwie Motorowy, zajmując drugie siedzenie. - Zakichana Czarna Wołga szuka swojego łupu.

- Czyli ciebie.

Motorowy lekko pobladł.

- Nie wsypiesz mnie chyba przed chłopakami z dzielnicy? - Strzelił nerwowym spojrzeniem na boki. - Ferajna by nie darowała...

- Nie sypnę. Miałeś z tym draństwem już do czynienia. Potrzebuję twojej pomocy.

Informacji.

- Miałem - burknął. - W Leningradzie w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim. Tylko wtedy to była jeszcze czarna dorożka. Wyszadziłem ją siedmioma kilogramami trotylu. Ja i dwaj ludzie od Sawinkowa... Ale to nie pomogło. Nie minęło dwadzieścia lat i wróciła. Już jako samochód. Najpierw ford, teraz wołga... Za kolejne dwadzieścia lat może zamieni się w mercedesa...

- Jesteś pewien, że to ona?

- Tak. Kształt się zmienia, ale idea trwa. I ciągle depcze mi po piętach. Już z piętnaście razy się wyrывałem...

- Kto tym jeździ? Beria? - spytał ślusarz.
- Wampiry. Ale nie takie zwykłe jak wy, tylko nad-wampiry. Zamiast chleptać krew, wysysają mózgi.
- Zombiaki! - zgadł Marek.
- Nie, bo zombiaki się rozpadają w kilka tygodni, a oni nie. To coś innego. Inny byt bionekrotyczny. Może komuchy w laboratorium ich wyhodowali czy jak?
- Dostałem na nią zlecenie.
- Wal się, wampirku, sam to załatwię.
- Równie skutecznie jak poprzednio? - warknął ślusarz.
- Uciekasz, kryjesz się, a ona ciągle depcze ci po piętach.
- Już parę razy nieźle ją urządziłem - odwarknął Motorowy.
- Tym razem mam koncepcję ostatecznego rozwiązania sprawy tego pojazdu. A zwłaszcza jego pasażerów!
- Tak jak wczoraj?
- Poszedłem na spacer. Nie wiedziałem, że się na nią natknę... Gdybym mógł się lepiej przygotować... - tłumaczył się żul.
- Na każdy spacer chodzisz z garłaczem?
- Czepiłeś się mnie jak milicjant. Co cię obchodzi, dokąd chodzę i z czym chodzę? To pamiątka.

Marek krzywym spojrzeniem otaksował flintę. Drewno kolby kompletnie poczerniało. Zamek kapiszonowy...

- Pamiątka? Znaczący strzelałeś na wiwat podczas balangi, którą urządził książę Kazimierz Poniatowski z okazji koronacji brata? Czy może raczej przywiozłeś ten souvenir z wycieczki do Moskwy, tej z biurem Na-poleonTour?

- Aż taki stary to ja nie jestem! A nawet jeśli jestem, nic ci do tego!
- Rób, jak uważasz - burknął Marek. - Nie chcesz połączyć sił, to bez łaski.
- Daj numer telefonu. Jakby co, dam znać, żebyś mógł popatrzeć, jak pracuje profesjonalista.



Marek wrócił do mieszkania zły. Igora nie było, poszedł do roboty. Gosia streściła, czego się dowiedzieli.

- Czyli Profesor niewiele wie - mruknął ślusarz rozczarowany.
- Tak się zastanawiam - odezwała się dziewczyna - ubecja poszczuła nas na mumię pana Hefiego. A gdyby tak odwrócić role...
- Wystawić Czarną Wołgę ubecji? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł... Musimy rozwiązać tę sprawę sami albo z pomocą praskiej ferajny. A zacniemy od odpowiedniej broni... Masz ochotę na małą wycieczkę?
- A dokąd?
- Odwiedzimy Dziadka Weterana. Na taką zadymę z pewnością coś nam ze swojego arsenału użyczy.



Marek zatrzymał się przed jednym z zakładów kamieniarskich w pobliżu Cmentarza Bródnowskiego. Krzywe ogrodzenie sklecone z metalowej siatki i starych blach było ledwo widoczne zza gęstych krzaków. Ponad nie wystawał dach kryty poszarzałym eternitem. Za to tabliczka z nazwą zakładu już z daleka rzucała się w oczy.

- Dziadek Weteran robi nagrobki? - zdumiała się Gosia.
- I grobowce muruje - wyjaśnił Marek.
- Dlaczego nie? Już przed wojną był kamieniarzem. W sam raz robotą dla wampira...
- Yyy... Hmm... no tak - nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

Marek zadzwonił do furtki. Dłuższą chwilę stali i czekali, aż wreszcie dziewczyna spostrzegła kawałek papieru wystający zza blachy ogrodzenia.

- „Jestem w pracy” - odczytała staranne, kaligraficzne pismo. - To co, mamy przeszukać cały cmentarz?

- Nie żartuj, tu jest sto czternaście hektarów. To jeden z największych cmentarzy w Europie. Z milion ludzi tu leży.

Wampir popatrzył na niebo, potem na zegarek.

- Dziadek trzyma się zasad. Ośmiogodzinny dzień pracy, przerwa na drugie śniadanie i przerwa obiadowa. Dochodzi dziesiąta, zaraz wróci... - zawyrokował.

- Ale przecież wampiry nie jedzą?

- Jedzą czy nie, przerwa śniadaniowa to dla socjalistycznego robotnika rzecz święta.

Nie minął kwadrans, gdy rozległo się skrzypienie tacek i na chodniku pojawił się Dziadek.

- O, goście - ucieszył się. - Zapraszam.

Otworzył bramę do zakładu i wmaszerowali do wnętrza. Niewielki dziedziniec zastawiony był mniejszymi i większymi płytami. Dziadek poprowadził ich przez halę, gdzie stała potężna machina do cięcia kamienia.

Weszli do biura i sypialni zarazem.

- Czym mogę wam służyć? - zapytał stary wampir.

Marek pokrótce streścił, jaka jest sytuacja.

- Potrzebujemy czegoś konkretnego - powiedział.

- Na przykład pancerfausta. Albo karabinu przeciwpancernego...

- Z takim sprzętem u mnie kuuuuso. - dziadek pokręcił głową.

- A pistolety maszynowe?

- E... część arsenału zabrała mi ubecja zaraz po wojnie. Oczywiście ukryłem trochę broni w różnych grobach, ale sami rozumiecie, długo nie było mnie w Warszawie i...

- Wszystko zardzewiało? - zapytał ze zgrozą ślusarz.

- Wszystko to nie...

Staruszek przystawił sobie stółek i z szafy ściągnął podłużny pakunek owinięty w gazety. Rozsupłał sznurek...

- Szabla? - zdumiała się Gosia.

- Nie byle jaka szabla. - wypiął pierś.

- Przedwojenna, kawaleryjska. Szczytowe osiągnięcie pięciuset lat doświadczeń naszego

narodu w rąbaniu wrogów.

- Za samo posiadanie broni białej można dostać pięć lat!
- Dlatego właśnie nikt nie wie, że ją mam. To dobra stal.
- Wiem, bo sam kułem, jeszcze przed wojną w Hucie „Ludwików” w Kielcach - burknął

Marek.

- Trzeba tylko posrebrzyć głównię - uśmiechnął się stary partyzant.
- Posrebrzyć? - zafrasowała się dziewczyna.
- Będzie z tym grubszy problem - przyznał weteran. - Same opary wydzielające się w tych procesach mogą zabić wampira! A raczej wykończyć, umarłego nie zabijesz - poprawił się. - Ale nie zmienia to faktu, że musi to dla nas zrobić jakiś ciepły.
- Majster z wydziału galwanizacji wisi mi przysługę - westchnął ślusarz.
- Do tego mam jeszcze granaty. - Staruszek wyciągnął z szuflady dwie nieco obrdzewiałe „cytrynki”. - Tylko nie wiem, jak z zapalnikami.
- Sprawdźmy. - Ślusarz umieścił je w kieszeni. - Jak możemy się odwdziżyć?



Rano Marek poszedł do roboty. Igor odespał nocną zmianę i teraz łąził z kąta w kąt i marudził.

- Marek jest niepoprawnym romantykiem - utyskiwał. - Wydaje mu się, że jedną szabelką poradzi sobie z trzema fachowcami od mokrej roboty.

- Co pan sugeruje? - zaciekała się Gosia.
- Potrzebujemy konkretów. Broni z prawdziwego zdarzenia. Kilka kostek trotylu, jakiś pistolet maszynowy, albo chociaż zwykła kłamka. No i przydałoby się srebro...

- Będziemy łać kule jak podczas powstań narodowych? - zakpiła.
- Oczywiście - zgasił ją. - Kłopot w tym, że odłać to jeszcze najmniejszy problem...

Trzeba jeszcze skali-brować... Nie, to na nic. Potrzebujemy flinty i srebrnego śrutu.

- Mój ojciec ma dubeltówki. Kilka sztuk. I sztucer chyba. Jest zapalonym myśliwym.

Amunicja też jest. Wymieni się tylko śrut w nabojach na srebrny i po kłopotcie.

- Khm... nieetyczne. W końcu to twoja rodzina.
- Oj tam. - Wzruszyła ramionami. - Pożyczę tylko na czas akcji, potem się odda...

Igor wzniosł oczy ku sufitowi.

- Dobra, leć.

Na Żoliborz dotarła wczesnym przedpołudniem.

- Rodzice w robocie, braciszek na uczelni - kalkulowała.

- Babcie się jakoś wykiwa, na pewno siedzi w pokojuze słuchawkami na uszach. A jeśli jednak coś usłyszy? - zafrasowała się.

Przypomniał jej się wieczór na cmentarzu, ten, gdy poznała Grega. Obława, starzy partyzanci ze spluwami... Wzdrygnęła się.

- O nie. Babci ani jej kumpli nie wolno lekceważyć!

Zacząła się za drzewem po drugiej stronie ulicy i długie minuty obserwowała dom. Luna buszowała po ogrodzie. Na szczęście Gosia stała po zawietrznej, suka nie zwęszyła jej.

- Trzeba jakoś zneutralizować tego cholernego psa - mruknęła do siebie.

- Kawalek kiełbasy rzucić jak na filmie, ale o tej porze już nie kupię, zresztą i tak nie mam kartek na mięso.

Nagle skrzypnęły drzwi. Babcia Adelajda wyszła, podzwaniając kolczatką. Założyła Lunie obrożę i wyszedłszy przez furtkę, skierowała się w stronę ronda.

Świetnie! Idzie z psem na spacer albo do kościoła, pomyślała dziewczyna. W pierwszym przypadku mam kwadrans, w drugim dobrą godzinę...

Przebiegła przez ulicę. Drzwi były oczywiście zamknięte. Obeszła klomb i podniosła jeden z kamieni skalnego ogródka. Pod nim w słoiku leżał pęczek zapasowych kluczy. Po chwili była już w środku.

- Fiu, fiu, ależ tu się pozmieniało - zakpiła. - Gdyby towarzysz Pierwszy wpadł z wizytą, toby chyba zawału dostał...

Nad wejściem do każdego z pomieszczeń czerniał duży drewniany krzyż. W kuchni wisiały długie warkocze czosnku. Nawet z tej odległości zapach nieprzyjemnie kręcił w nosie. Parszywa roślinka...

Zajrzała kontrolnie do swojego pokoju. Niestety, z wyposażenia nie ocalało nic. Ściany zostały świeżo wytapetowane, najwyraźniej rodzina miała w stosunku do jej królestwa jakieś plany.

- Ja się tułam, śpiam to w grobowcach, to w robo-ciarskiej melinie, a tu mój własny pokój stoi pusty! - syknęła.

Nabuzowana wściekłością ruszyła po schodkach do sypialni rodziców. Otworzyła szafę. Flinty ojca stały w karnym rzędku, lśniąc lufami. Paczki z nabojami zajmowały całą półkę. Niestety nigdy nie interesowała się myślistwem ani bronią palną...

Dwururka jest pewnie dwustrzałowa, pomyślała. To może być ważne! Zawsze lepiej wygarnąć z dwu luf niż z jednej...

Wyciągnęła strzelbę. Po kilku minutach szarpaniny zdołała ją wreszcie „złamać”. Sprawdziła, czy naboje na dzika pasują. Kaliber był odpowiedni. Te na jelenia też wydawały się dobre. Wsypała po garści nabojów do torebki.

Gdzieś tu musi być pokrowiec, nie będę przecież szła przez całe miasto z dubeltówką przez ramię, pomyślała.

I w tym momencie poczuła gwałtowne uderzenie w plecy, piekący ból przeszył ją na wylot. Koniec czworograniastego bagnetu z pierwszej wojny światowej wyszedł jej między piersiami.

- Szlag by trafił, nowiutka bluzka! - jęknęła, odwracając się na pięcie.

Radek cofnął się krok do tyłu.

- Ty palancie, zniszczyłeś mi taki fajny ciuch! - wrzasnęła.

- Złodziejka! - zawył.

Zatrzęsęła flintę.

- Spadaj, głąbie.

- I tak nie masz jaj, żeby strzelić!

- Ja nie mam jaj? - obraziła się i z wściekłością szarpnęła za oba cyngle jednocześnie.

Dwie garści śrutu śmignęły jej tuż koło nosa i po chwili jak grad posypały się z sufitu.

Radek zakaszłał. Dym ze spalonego prochu i pył z tynku wirowały w powietrzu. Gosia oprzytomniała pierwsza. Z całej siły walnęła brata kolbą w żołądek.

- I nigdy więcej mi nie fikaj - huknęła.

- Bo co mi zrobisz? - wystękał, trzymając się za brzuch.

- Bo wyciągniemy zdjęcia, na których widać, jak obłapiasz Ślicznotkę. I nie przekazemy ich ubecji, ale mamusi.

- Jestem dorosły - bąknął, nagle tracąc resztę animuszu.

- Będziesz się mamie tłumaczył - zakpiła.

Sięgnęła do sterczącej jej z pleców tulejki bagnetu, ale draństwo utkwiło naprawdę mocno. A od przodu? Końcówka była ostra, nijak popchnąć.

- Co się gapisz? - syknęła. - Przynies jakies obcęgi!

- Wwww... szsz szuufładzie... - wyjąkał Radek, który jakby pozieleniał, patrząc na jej wysiłki.

Wyjęła największe, ale nie bardzo mogła sobie poradzić.

- Nie stój jak kołek! - huknęła. - Umiałeś wbić? To teraz wyciągnij!

- Jjj... ja... nn... nie...



- Co? To ja cię kryję przed mamuszką, a ty odmawiasz? Rodzonej siostrze nie chcesz pomóc?

Odwrociła się do niego tyłem. Rad nierad złapał za tulejkę obcęgami, zaparł się dłonią o plecy siostry i powolutku wyciągnął całe czterdziestocentymetrowe ostrze z rany.

- I żebyś się więcej nie ważył dźgać dziewczyn nożami w plecy! W ogóle co z ciebie za Polak? Atakować od tyłu, i to kobietę! - parsknęła.

- Jj... jjjj... ja... - Oczy miał zamknięte i wyglądało na to, że nie ma najmniejszej ochoty ich otwierać. No cóż, dziura w bluzce nie wyglądała najpiękniej. Wystawały z niej coś jakby

fioletowe sznurki. Gosia podejrzewała, że to mogą być poszarpane naczynia krwionośne.

- Wisisz mi cztery dolary za zmarnowany ciuch! - przypomniała. - Że o dziurze między cymbalami nie wspomnę. No, rusz się, głupku, kobieta ma ranę na wylot, a ty stoisz jak kołek...

- Ale ccc... co?

- Plaster chociaż z apteczki przynieś!



Przeszmuglowanie szabli do fabryki dla tak doświadczonego pracownika to drobnostka. Gorzej poszło ze znalezieniem wolnej chwili, by podskoczyć na sąsiedni dział. Cały ranek wampir musiał zasuwać jak głupi... Najpierw zawołał go magazynier.

- Panie Marku, niech pan rzuci okiem, co to może być za diabelstwo? - zagadnął przymilnie. - Miały być frezy, a tymczasem Ruskie znowu przysłali cholera wie co...

Otworzył pierwszą z brzegu skrzynkę.

- To mi wygląda na tytanowe końcówki od świdrów rdzeniowych - zawyrokował ślusarz.

- Pewnie znowu robią u nas jakieś nielegalne poszukiwania surowców. Albo i kują nowe sztolnie pod rakiety z głowicami.

- W Warszawie? - zdumiał się pracownik.

- A kto ich tam wie. Nie nasza rzecz. I lepiej się nie interesować za bardzo.

- To co z tym robić?

- Po mojemu niech dział zamówień zadzwoni do ambasady. Skoro my mamy świdry, to pewnie ich zwiad geologiczny dostał nasze frezy. A kogo sobie rozstrzelają za pomyłkę, to już nie nasze zmartwienie.

- W ambasadzie będą wiedzieli?

- Pewnie. Przecież muszą wiedzieć, gdzie ich ludzie kopią.

Ledwo Marek wrócił na swoje stanowisko pracy, wezwano go do awarii starej pompy. Tylko on miał jeszcze pojęcie o budowie tak archaicznego aparatu. Musiał rzucić wszystko, rozkręcać przedpotopowy sprzęt i na gwałt dorabiać złamany tłok.

- Za cara robili z brązu i wytrzymało osiemdziesiąt lat - mrucał pod nosem, uruchamiając maszyny. - Teraz dorabiam, jak każą, ze stali. Można powiedzieć, że sam sobie tworzę miejsce pracy, bo najdalej za czterdzieści lat znowu trzeba będzie tę część wymienić.

Wreszcie o jedenastej wygospodarował kwadrans dla siebie. Z szablą pod pachą pobiegł do sąsiedniej hali. Nie lubił tu zachodzić. Nad kadziami zawsze unosiły się wyjątkowo jadowite opary. Wszędzie uwijali się robotnicy w nowiutkich zachodniemieckich maskach przeciwgazowych, tyle tylko, że bez pochłaniaczy. Ich sprowadzenie okazało się zbyt drogie.

- Marek? Kopę lat! - przywitał go brygadzysta Olgierd. - Cóż cię sprowadza do naszego chemicznego piekielka?

- Potrzebowałbym niewielkiej pomocy - wyjaśnił wampir.

- No to pokaż, co tam ściskasz pod pachą. Szabelka? Śliczna... Słuchaj, nie żebym się wykręcał, ale czy jest sens paprać dobrą stal niklem? Jasne, będzie lśnić jak psu jajca, ale moim zdaniem szlachetny pobłysk stali...

- Nie chcę poniklowania - uspokoił Marek znajomka.

- Co zatem?

- Posrebrzyć klingę.

- Uuuu... - zafrasował się chemik. - Ciężka sprawa.
- Dasz radę?
- Dać bym dał, ale nie mam odpowiednich roztworów... - Rozłożył bezradnie ręce. -
Srebrzyliśmy tylko styki, i to dobrych dziesięć, czy nawet piętnaście lat temu.
- Szlag!
- Jeżeli zdobędziesz azotan srebra, mogę spróbować.
- Gdzie się to kupuje?
- W aptece, ale tylko na receptę. W końcu to trucizna. Skocz do lekarza, pobajeruj, niech ci zapisze.

W czasie przerwy obiadowej Marek rad nierad podreptał do zakładowego łapiducha. Gabinet lekarski umieszczono w przybudówce jednego z głównych budynków. Maszerując po wytartych ceglanych płytach, wampir mimowolnie uśmiechnął się pod nosem. Ostatni raz pokonał tę trasę kilkadziesiąt lat temu, gdy odprowadzał do fabrycznego felczera samego Karola Wójcika.

Dzielnemu rewolucjoniście trzeba było wówczas udzielić doraźnej pomocy, bo majster ciut za mocno dał mu w gębę za agitowanie robotników.

- Ech, piękne czasy - westchnął wampir. - Piwo za cara Mikołaja było takie smaczne, tanie i mogliśmy pić do wypęku...

Zapukał do drzwi i po chwili znalazł się w gabinecie. Trochę się tu pozmieniało. Z dawnego wystroju wnętrza ocalało tylko biurko. Doktor na widok gościa wyraźnie się ucieszył.

- Ślusarz Marek we własnej osobie! - Zatarł dłonie. - Już myślałem, że się nie doczekam!

- He?

- Badania kontrolne! - huknął lekarz.

- W kadrach wam nie mówili, że macie przyjść i się przebadać?

- Coś tam mówili - przyznał wampir.

- Ale ja mam taką życiową zasadę, że bez wyraźnej potrzeby lekarzom głowy nie zawracam. Służba zdrowia jest obłożona robotą, po co ma się jeszcze mną zajmować...

- Migacie się od lat. Ale wreszcie kobyłka u płota! Nie będziecie mi robili bałaganu w papierach. Rozbierajcie się i hopla na wagę. Zdrowy czy nie, badania okresowe rzecz święta.

- O, w mordę... - westchnął, ściągając koszulę.

- Coś pan taki blady? - zdziwił się lekarz. - Albi-nizm? Nie. Przy tak ciemnej barwie włosów to wykluczone. Trzeba więcej przebywać na słończku. Trochę zdrowego wysiłku fizycznego na świeżym powietrzu dobrze robi...

- Akurat wysiłku fizycznego mam pod dostatkiem. - Marek naprężył mięśnie godne Rambo. - A że blady jestem, widać uroda taka - mruknął. - Mam to... no nie powiem, że od dziecka, bobym skłamał, ale od lat.

- Ależ pan niemożliwie posiniaczony... - marudził konował. - Toż to wygląda prawie jak plamy opadowe.

- Nie oszczędzam się w robocie, bo plan napięty. A siniaki kiepsko mi schodzą - bąknął Marek. - Jak już sobie gdzieś nabiję, to się miesiącami trzyma.

- Pewnie skóra cienka, stąd bladeść i skłonność do wylewów podskórnych - postawił diagnozę lekarz. - Może i z tkanką dzieje się coś niedobrego? Na zaawansowany syfilis to wprawdzie nie wygląda, ale na wszelki wypadek dam skierowanie do poradni wenerologicznej.

Podszedł do wagi i poruszył wysuwającym ramieniem.

- Wzrost... Sto siedemdziesiąt sześć. Waga siedemdziesiąt pięć... To ciekawe, przy tak zwartej budowie i muskulaturze powinno być z dychę więcej. Temperatura...

Wyciągnął nowiutki termometr elektroniczny.

- Co to za dziwadło? - nastroszył się pacjent.
- Z RFN-u przywozłem - odparł doktor z dumą. - Byłem tam na kongresie medycyny pracy.
- Czy to nie jest zbyt delikatne urządzenie dla prostego praskiego robota? Jeszcze się bateria wyczerpie. Lepiej zachować to dla naprawdę chorych...
- Nie gadajcie bzdur! Po to jest zaawansowany technologicznie sprzęt medyczny, żeby z niego korzystać. Mamy równość i demokrację socjalistyczną. A nawet jakbyśmy jej nie mieli, to sami wiecie, że klasa robotnicza stanowiąca podstawę naszej gospodarki cieszy się szczególnieymi względami...
- Mierz pan - westchnął Marek, ucinając przemowę.
Doktor wsadził wampirovi termometr pod pachę. Po chwili urządzenie zapikało.
- Jak to siedemnaście stopni!? - Lekarz wytrzeszczył oczy.
- No i sam pan widzi, że elektronika jest zawodna - pouczył go ślusarz.
- Nie ma to jak porządny rtęciowy sprzęt.
Doktor przyłożył mu dłoń do czoła.
- Zimne jak lodowiec! - orzekł.
- Chłodno tu u pana w gabinecie. Mogę się już ubrać?
- Zaraz, tylko osłucham płuca... Proszę oddychać. - Przyłożył słuchawkę stetoskopu.
Marek posłusznie nabrał powietrza i wypuścił. Ponownie nabrał i wypuścił. Odbiło mu się karmelem, ale oddychał nadal.
- Coś jest nie tak z płucami i z oskrzelami. Zaawansowana astma czy ki diabeł? Hmm..
Gruźlica chyba nie? - zaniepokoił się lekarz. - Dam panu skierowanie na rentgen! Pan kaszle?
- Czasem... Mam pylicę albo coś podobnego - wyznał ślusarz. - Wie pan, w Wedlu robiłem...
- W Zakładach Przemysłu Cukierniczego „22 Lipca” - poprawił go konował. - I co? Doznał pan jakiegoś wypadku przy pracy?
- Karmel w powietrzu. Jak dorabiałem uszkodzone detale, najpierw trzeba było odczyszczać mechanizm szczotką drucianą. Staralem się nie oddychać, ale przecież nie da się przez osiem godzin ust nie otwierać. Nawciągałem tego z kilogram. Nijak wykaszleć to, co się wkleiło w oskrzeliki jak cukierki krówki między zęby.
- Kto panu takich głupot nagadał!? - oburzył się lekarz. - To kompletne bzdury! Przecież płuca są niezłe chronione. Wykasłałby pan to od razu z flegmą! Proszę się położyć.
Robotnik z westchnieniem wyciągnął się na obitej dermą leżance. Lekarz kontynuował badania. Obmacał wątrobę, potem znowu sięgnął po stetoskop. Przyłożył do piersi wampira i zastygł.
- Serce... - wykrztusił.
- Co serce? - zirytował się ślusarz.
- Nie bije!
- Nie gadaj pan bzdur, jak może mi serce nie bić? - zbagatelizował. - Przecież umarłbym od tego.
- Hmm, no tak...
- Widocznie słabo bije i nie słyhać - podsunął wampir. - Stetoskop stary, nie łapie...
Lekarz popatrzył na niego podejrzliwie.
- Sprawdzę odruch źrenic!
Wyciągnął z szuflady cienką latarkę, rozchylił przemocą oko ślusarza i poświecił.
- Brak odruchu - mruknął.
- Brak akcji serca. Godzina zgonu... - spojrzął na zegarek.

- Doktorze, pobudka, jakiego, do cholery, zgonu?! Co pan niby chce udowodnić? -
wkurzony ślusarz usiadł i założył swoją flanelową koszulę.

- Ja się na emeryturę nawet nie wybieram, a pan mnie chce w trumnie położyć?

- Ale... Serce...

- To mnie pan reanimuj szybko - syknął. - Zastryk z adrenaliny! Zanim mózg zacznie obumierać! Albo setkę koniaku! Albo aspirynę! Taki sam efekt.

- Przepraszam, zagalopowałem się... - Doktor łypnął na pacjenta. - Tylko te oczy... Nie rozumiem...

- Szwankują - odburknął Marek. - To normalne, niejeden ślusarz stracił wzrok, pracując przy obrabiarkach! To u nas poniekąd choroba zawodowa. Wie pan, ile pyłu przy tym skrawaniu?

- A okulary ochronne?

- Dostaliśmy cztery pary na cały zakład.

- Yyyy... no tak. Obejrzę jeszcze gardło. - doktor ujął w dłoń szpatułkę.

- Proszę otworzyć usta i powiedzieć: Aaaa!

- Aaaa! - Ślusarz posłusznie rozdziawił paszczę.

- O, w mordę!

- Anginę mam? - zaniepokoił się Marek.

- Nie, gardło czyste, ale zębiska jak u jakiegoś wampira. Dam panu skierowanie do dentysty.

- Po cholere? - Nastroszył się.

- A po co ma się pan tak męczyć? Stomatolog zetnie nadmiar masy zębowej i założy koronki. Będzie pan wyglądał po ludzku i jeść będzie wygodniej... - tłumaczył konował.

- Czy jest sens rznąć zdrowe zęby? Przywykłem do nich i w niczym mi nie przeszkadzają.

- Ale w końcach już wypróchniały wielkie dziury! Stanowczo trzeba takie rzeczy leczyć.

- Dobra, da pan to skierowanie - westchnął ślusarz.

- No i wreszcie kartoteka w porządeczku. - Łapiduch skończył wypełniać papiery. - I po co było gadać, że nic panu nie dolega? Jest człowiek, znajdzie się też jednostka chorobowa! Zmierzymy jeszcze ciśnienie...

- Mierzyłem niedawno, wszystko było w porządku. Nie ma sensu powtarzać, zaraz kończy się przerwa, muszę wracać na dział - zełgał Marek. - Bez mojego nadzoru chłopaki zawalą dzisiejszy plan. To grozi katastrofą planu tygodniowego. Gdyby wszyscy podobnie lekceważyli sobie obowiązki, nigdy nie zrealizowalibyśmy założeń na tę pięciolatkę. Przejdźmy do rzeczy i zaraz się zmywam.

- Dobrze zatem, słucham. Po co pan do mnie przyszedł?

- Potrzebuję azotanu srebra, tak z pięć - dziesięć laseczek. Muszę zrobić roztwór do przemywania, eee... Zmian skórnych.

- Nie ma problemu. Tylko żeby pan tym, broń Boże, oczu nie zakrapiał! Dam panu na nie coś innego. Zatem wypisujemy: lapis, krople do oczu, skierowanie na prześwietlenie, do wenerologa i do dentysty. - Lekarz wręczał mu kolejne papierki. - Za miesiąc ma się pan stawić na kontrolę.

Marek opuścił gabinet z ulgą. Skierowania zaraz podarł i wywalił do mijanego kosza.

- Też wymyślił przyczynę siniaków - mrucał pod nosem. - Młody idiota, prawdziwego syfa w karierze nie widział. Ale i nie taki głupi, zaczął podejrzewać, że nie żyję... Najważniejsze, że dał receptę! Ale następnym razem jak będę potrzebował, pójdę do weterynarza!

Robociarskim zwyczajem skoczył przez płot i pobiegł na drugą stronę ulicy - do apteki. Na szczęście mieli lapis. Umieścił pałeczki w torbie. Czuł niemal, jak śmiercionośny metal parzy

go przez warstwy opakowania...



Igor szedł przez bazar Różyckiego, rozglądając się wokoło. Cwaniacy załatwiali interesy. Kombinatorzy polowali na jeleni. Jakaś wiejska babina na jego widok demonstracyjnie odchyliła połę kapoty, pokazując ukryty dotąd sznur czosnku.

- Apage - mruknął rozeźlony.

Przystanął koło murowańca. Staruszek bez nogi i jego współnik o posturze hipopotama siedzieli nad walizką przedwojennych monet. Obejrzał towar, ale nie o to mu chodziło... Przetisnął się przez długie pasaże. Wraz ze zbliżaniem się zimy jeansowe kurtki ustępowały miejsca tureckim i bułgarskim kozuszkom.

Jakbyśmy w Polsce owiec nie mieli, pomyślał. Pewnie skóry produkowane u nas idą na eksport, dlatego trzeba importować.

Może warto by się na coś takiego szarpnąć? Wprawdzie nie odczuwał specjalnie zimna, ale zbyt lekko ubrany zwracał na siebie uwagę... Wreszcie dotarł na miejsce. W alejce wiodącej do ulicy Ząbkowskiej na stolikach wyeksponowano ogromne stopy szmelcu. Były tu kolanka, krany, wagi od zegarów ściennych, pojedyncze numery pism pornograficznych, czeskie pistolety wiatrówkowe, pocztówki i blaszane pudełka. Wśród śmieci, staroci i cennych antyków poniewierały się rozliczne przykłady dawnej sztuki mincerskiej. Niebawem wypatrzył to, po co przybył.

- Ile za „Dziadka”? - zapytał sprzedawcę, wskazując gestem grubą srebrną przedwojenną dychę.

- Siedem tysięcy.

- Drogo.

- Komu innemu może bym co opuścił. Ale wy, wampiry, jesteście bogate. - Handlarz pogardliwie skrzywił wargi.

Igor zaklął w duchu. Lud bazarowy i starsi rzemieślnicy zawsze go rozpoznawali jakimś cholernym praskim szóstym zmysłem.

- A prawdziwa aby? - zapytał.

- Że co? - Sprzedawca obraził się śmiertelnie. - Ja fałszów nie sprzedaję. Sam się pan przekonaj. Łap! - Rzucił mu monetę.

Wampir dał się podpuścić. Odruchowo złapał ją w dłonie i zawył. Zapiekło, jakby dotknął rozżarzonego żelaza.

- Kurde! - zaklął, odrzucając pieniądź handlarzowi niczym gorący kartofel.

- I co? - Spekulant spojrział na klienta z wyższością i pogardą. - Czyściutkie srebro! Nie wydziwiał, krwio pijco, tylko płąć!

- Ożeż w mordę! Głupie żarty!

Patrzył na swoją dłoń. Moneta wypaliła mu na skórze ślad.

- Moje żarty są głupie?

Scysja oczywiście nie przeszła niezauważona. Bazar zareagował jak mrowisko, w które wdepnął dzik. Wokół stolika jak spod ziemi wyrosło kilku kiziorów.

- Co, awanturujemy się? - zapytał słodko najbardziej barczysty i spojrział na wampira ze źle skrywaną niechęcią.

- No skąd - bąknął Igor. - Towar dobry, nie mam już żadnych wątpliwości. Zapłacę tylko i już mnie nie ma.

- Ty, dziadek, też wyluzuj - byczek zwrócił się do handlarza. - Wampir czy nie, klient rzecz święta i nietykalna. Za głupie dowcipy dasz mu dwadzieścia procent zniżki i pamiętaj, parę razy już podpadłeś, mamy cię na oku.

Sprzedawca zawinał dychę w kawałek papieru. Kiziory na wszelki wypadek odprowadziły klienta do wyjścia. Dopiero w tramwaju pechowy wampir mógł dokładniej obejrzeć ranę. Już prawie nie bolało, ale wypalony rysunek nie zniknął. Piętno zbrązowiło i stało się jeszcze wyraźniejsze.

- No, do diabła - syknął. - Piłsudski jak żywy... Nawet wąsy i wężyk na kołnierzu widać! I na co przyszło mnie, komuniście...



Motorowy podszedł do budki telefonicznej. Wrzucił dwuzłotówkę w szczelinę automatu. Wykręcił numer.

- Halo? - kilka przecznic dalej Marek podniósł słuchawkę.

- Cześć, wampirku - zachichotał łowca. - Czarna Wołga na horyzoncie. Jeśli chcesz zobaczyć, jak się sprawy załatwia, to bądź za pięć minut koło parku za kościołem.

Odwiesił słuchawkę i ruszył do boju. Piekielny samochód stał na kocich łbach na końcu ulicy Kawęczyńskiej. Motorowy ruszył w jego stronę, uśmiechając się krzywo. Na boisku ośrodka sportowego było pusto. Paskudna pogoda wypłoszyła z parku kobiety i dzieci.

I dobrze, pomyślał z ponurym zadowoleniem. Mniejsze ryzyko przypadkowych ofiar. A świadek tylko jeden...

I wtedy to zobaczył. Jeden z pasażerów wołgi, blady i wysoki, stał na skraju chodnika i obserwował pobliski park. Żuł obiegł pospiesznie piekielny samochód i zaszedł wroga od tyłu. Odchylił połę kurtki, wyciągnął zza pasa garłacz i wypalił nadwampirowi w plecy niemal z przyłożenia.

Ogłuszający huk odbił się echem od wałów kolejowych. Kilogramowa porcja srebrnego poświęconego śrutu wywaliła w ciele dziurę wielkości borsuczej nory.

Po chwili na ziemi leżał jedynie czarny płaszcz i rozsypująca się w oczach garść kości.

- Ha! - mruknął zadowolony łowca. - O jednego mniej!

Odwrócił się w stronę wołgi. Samochód stał milczący i ciemny. Przez czarne szyby nie było widać wnętrza. Łowca sprawdził po kolei wszystkie cztery klamki. Niestety, auto było zamknięte. Tylko bagażnik dało się otworzyć. Wewnątrz poniewierało się kilka ludzkich czaszek. Ziały w nich dziury, zawartość najwyraźniej wyjedzono łyżkami.

- Nawet posprzątać im się nie chciało - mruknął oburzony. - Jak jacyś turyści, mięso taki wyżre, a pustą konserwę rzuci byle gdzie.

Obszukał resztki swojej ofiary, jednak zastrzelony nie miał przy sobie kluczyków. Motorowy wyjął z kieszeni rozek z prochem. Wsypał dwie miarki do lufy garłacza. Ubił. Dosypał śrutu z woreczka. Właśnie szukał w kieszeni filcu na przybitkę, gdy jakiś dźwięk oderwał go od nabijania flinty. Podniósł wzrok. Szyba w oknie wołgi powoli opadała w dół.

- Chcecie się dogadać? - warknął. - Za późno, frajerzy!

Upchnął przybitkę w lufie. Dali ognia jednocześnie. Na grad siekańców pasażerowie odpowiedzieli ogniem z co najmniej dwu pepeszy. Na szczęście chybili.

Motorowy przetoczył się za drzewo. Broń zgubił, zresztą i tak nie było już czasu, by kolejny raz załadować.

- Krucafuks! - zaklął.

Z torby wyciągnął granat. Docisnął łyżkę, odgiął wężą zawleczeni. Czekał. W kamieniczce po drugiej stronie uliczki otworzyło się okno.

- Co to za hałas?! - rozległ się gderliwy głos jakiejś staruszki. - Wynocha stąd, łobuzy, bo zadzwonię po milicję!

Trzasnęły drzwiczki. Motorowy wyjrzał ostrożnie zza drzewa. Z wnętrza pojazdu wygramolił się kolejny wysoki, bladej typy w czarnym płaszczu.

- Ha, draniu! - wrzasnęła triumfalnie staruszka.

Doniczka z pelargoniami roztrzaskała się na głowie nadwampira. Ten zgiął się wpół. Drzwiczki samochodu szczęknęły i zaczęły się uchylać. Żul czekał cierpliwie z granatem w ręce. Jeszcze trochę... Jeszcze pół metra. Teraz! Wychylił się, robiąc piękny zamach, i w tym momencie seria z pepeszy przecięła go wpół. Granat potoczył się w stronę wołgi, lecz nim zadziałał opóźniacz i zapalnik, przekłęta machina rozviała się jak dym.

Marek dobiegł na miejsce kilka chwil później. Po Czarnej Wołdze pozostał tylko zjadliwy smród spalin. Ślusarz stanął nad podziurawionym ciałem znajomka.

- Mówiłeś, że będzie okazja zobaczyć robotę profesjonalisty - prychnął. - I gdzie niby ten profesjonalizm? Na każdego kozaka znajdzie się większy kozak, a na ciebie starczył zupełnie malutki.

Podniósł flintę. Przerzucił rzemień przez bark. Obejrzał drzewo okaleczone pierwszym wystrzałem.

- Jednego dopadł - mruknął. - Wielki mi sukces...

Z daleka dobiegło wycie syreny milicyjnej i w perspektywie ulicy pojawiły się błękitne błyski koguta radiowozu.

- Diabli nadali! - Zarzucił sobie Motorowego na ramię i puścił się kłusem przez chaszczkę między wałem kolejowym a murem fabryki sprężyn.

Nikt go na szczęście nie ścigał. Obszedł zabudowania dziką ścieżką wzdłuż wału. Nie zasapał się, bo wampiry nie muszą oddychać, nie spociał, bo się nie pocią, ale w krzyżu zdrowo go łupało.

- Gównu z ciebie, nie fachowiec - gderał pod adresem żula. - Ale przecież kumpla nie zostawię, z kostnicy nie byłoby łatwo nawiać...

Wreszcie dotarł na przystanek autobusu 179. Motorowy ciut już dochodził do siebie. W kurtce Marka zasłaniającej rany i krwawe wybroczyny wyglądał akurat jak stary pijak, którego ślusarz holuje do domu. Wysiedli przy sklepie i zaułkami dotarli na kwatere Motorowego. Zacinający deszcz ułatwił zadanie, nikt nie zwracał na nich uwagi. Marek rzucił kumpla na barłóg. Żul wieczny tułacz uchylił powieki.

- Wygrałem? - wybełkotał.

- Nie, znowu byłeś drugi na podium. Leż tu spokojnie, niech się wszystko pozrasta. A tak swoją drogą... Wpadłeś na nich przypadkiem?

- Czarna Wołga pojawia się z dala od miejsca, gdzie mogliby to spostrzec postronni - wymamrotał żul. - Nie wjedzie do dzielnicy od strony centrum, tylko materializuje się tu, koło wałów. Poluje na mnie, więc stałem koło kościoła i cierpliwie czekałem...

- Rozumiem. Pozwól, że teraz ja się tym zajmę.

- Dzięki, stary - dobiegło spod koca.

- Podziękujesz, jak ożyjesz do końca - warknął ślusarz na pożegnanie i poczłapał do domu.



W piątek po południu Marek wrócił z roboty najwyraźniej w dobrym humorze. Przyniósł szablę, posrebrzoną jak należy. Na wszelki wypadek zawinął ją w koc azbestowy. Miał też ze sobą siatkę z ubraniami. Gosia z dumą zaprezentowała mu cztery naboje na jelenia nabite już srebrnym śrutem.

- Jesteśmy gotowi! - zameldowała, salutując.
- No i świetnie! Dziś ją dopadniemy - oświadczył gromko ślusarz. - Czarną Wołgę znaczy.
- Niby jak? - zainteresował się Igor, odkładając „Trybunę Ludu”.
- Pojazd krąży i węszy za łupem. Najwyraźniej nie może zbyt dokładnie namierzyć ofiary. Może czeka, aż Maryśka wyjdzie z kryjówki? A tu figa, ferajna ją ukryła.
- Samochód pojawia się i znika w sposób kompletnie nieprzewidywalny - mruknął Igor. - Co zrobimy? Żeby przygotować zasadzkę, musimy znać czas i miejsce.
- Albo zwabić wołgę - uśmiechnął się ślusarz. - Wymyśliłem rano plan. Odwiedziłem też ferajnę i zdobyłem pewne, nazwijmy to, rekwizyty.
- W jaki sposób chcesz wywabić Czarną Wołgę z kryjówki?
- Na przynętę... - Spojrzał na Gosię z błyskiem w oku.
- Że niby ja? - Skrzywiła się. - A czemu miałyby na mnie zapolować?
- Bo jesteś dziewczyną. A ubierzemy cię w łaszki tamtej Maryśki. Wołga się pomyli i nadjedzie zapolować, a wtedy my ją cap...
- Może to i pomysł - przyznała. - Zgadzam się.
- No to się przebieraj. - Rzucił jej siatkę.
Wyciągnęła ciuchy i obejrzała krytycznie.
- Łe. - Skrzywiła się, odkładając bluzkę. - Co za wieśniara z tej dziewczyny!
- O co chodzi? - zirytował się Marek.
- Kto w dzisiejszych czasach nosi bluzkę z Depeche Mode? - Wydeła pogardliwie wargi. - Albo to. - Wskazała cekiny naszyte na zadku minispódniczki.
- Kółko jakieś z widelcem. Też źle? - nie zrozumiał Igor.
- Pacyfka to jeszcze jak cię mogę. Ale dzęty różowe zamiast srebrnych... Jak ja w tym będę wyglądała?! I jeszcze te espadryle! Kto chodzi jesienią w zielonych szmacianych butach?! I klamerki doszyła kij wie po co, w dodatku obciachowe. A ten pasek? Różowy, dobrze chociaż, że z plastiku. Ta kurtka? - Obracała jeansowe wdzianko. - Że marmurkowa, to jeszcze ujdzie, ale skąd ta idiotka wytrzasnęła żółtą podpinkę!?

- Nie wydziwiaj! - huknął ślusarz. - Te istoty z pewnością nie mają pojęcia o modzie!
- Albo mają i dlatego właśnie chciały ją załatwić! W imię walki z wieśniactwem i krzewienia wyższych wartości estetycznych! - Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami, jednak po chwili wróciła, demonstracyjnie skrzywiona, ale już w nowym stroju.
Zatrzymali się na skraju parku. Zapadał wieczór. W oknach domów po drugiej stronie ulicy pobłyskiwała błękitna poświata od telewizorów. Wokół prawie nie było żywej duszy. Tylko pod siatką ośrodka sportowego siedzieli dwaj żule w kufajkach i bawili się flaszką. Gosia

zaczepiła ich przelotnym spojrzeniem. Wyglądali jak typowy produkt dzielnicy, tylko ten wyższy nie wiedzieć czemu założył na głowę wyżartą przez mole papachę.

Grupka wampirów minęła ich obojętnie. Stanęli w miejscu, gdzie uliczka zakręcała wzdłuż niskiego wału.

- Czarna Wołga pojawia się gdzieś tutaj - wyjaśnił Marek. - Stoisz tu na wabia. My z Igorem ukryjemy się w krzakach. Gdy machina się zmaterializuje, uciekaj do parku. Będą musieli wysiąść, wtedy ich załatwimy. Igor, ty lepiej strzelasz. - Podał mu flintę ojca Gosi. - Rannych dobijemy, pojazd wysadzimy w powietrze granatami od Dziadka. Są pytania?

Pokręcili głowami.

Gosia zaczęła spacerować po zroszonych mżawką kocich łbach. Espadryle szybko jej przemokły.

- I jeszcze wyglądam jak kretyńka - mruzczała pod nosem, obciągając kusą bluzeczkę.

Gniewnie pofukując, odwróciła się na pięcie, by iść w drugą stronę. Potknęła się o zderzak i walnęła w maskę. Czarna Wołga zmaterializowała się nie dalej niż pięć centymetrów od niej.

- Aaaaa!!! - wrzasnęła i rzuciła się do ucieczki.

Trzasnęły drzwiczki, a potem usłyszała za sobą tupot.

Nieoczekiwanie przed jej nosem wyrósł pień buka. Nie wyhamowała, rąbnęła weń całym ciałem. I nagle poczuła przeszywający ból. Długi sztylet ciśnięty mocną ręką przyszpilił ją jak motyla do planszy w gablotce.

- Znowu na wylot!? - jęknęła.

Powietrze rozdarł huk wystrzału, a po chwili drugi. Igor wypalił z obu luf, spudłował i dopadłszy drzewa, szarpnął za rękojeść, usiłując uwolnić dziewczynę. Niestety, trzej wrogowie już nadbiegali.

Wampir komunista, trafiony kulą, przeleciał w powietrzu dobre sześć metrów i runął w krzaki. Marek ciął przeciwnika szablą. Obcy błyskawicznym ruchem zasłonił się przedramieniem. Musiał nosić stalowy kar-wasz, bo klinga zazgrzytała o metal. Ślusarz poczuł, jakby walnął w lokomotywę. Uderzenie nawet nie zachwiało przeciwnikiem. Od strony auta nadszedł jeszcze jeden wróg w czapce szofera. Marek ponownie złożył się do ciosu. Tym razem poszło jeszcze gorzej. Drugi z obcych wyrwał mu szablę, łapiąc ją za główkę. Szarpnięcie było tak silne, że ślusarz runął na ziemię.

- I czego się nas czepiasz? - zapytał ten najwyższy po rosyjsku. - I ty wampir, i my wampiry.

- Bo to moja dzielnica - wymamrotał. - Nie będą mi tu obcy frajerzy bydła robić!

- A kto nas powstrzyma? - zapytał ten drugi.

- Motorowy mnie pomści.

W tym momencie rozległ się świst i w piersi obcego utkwiał osikowy kołek rozmiarów xxi. Wampir zgiął się wpół i rozsypał w pył. Kupa łachów i opancerzenia upadła z brzękiem tuż obok powalonego ślusarza.

Marek patrzył zdumiony. Czarny skórzany płaszcz rozchylił się, odsłaniając gęstą kolczugę i garść kości. Jakim cudem drewno przebiło siatkę stalowych kółeczek? Naraz spostrzegł jakby lekki dymek unoszący się nad kolkiem. Drewno na jego oczach pokrywało się szronem.

Zamrozili w ciekłym azocie, pomyślał. Dlatego osika nabrała twardości stali!

- Szto...- Drugi pasażer Czarnej Wołgi rozejrzał się i w tym momencie na twarzy roztrzaskał mu się plastikowy woreczek z poświęconą naftą. Wampir zawył, usiłując wytrzeć płyn z oczu. Ktoś nadchodził, szeleszcząc w krzakach. W ciemności błysnęła nadlatująca zapalka sztormówka i po

chwili krwio pijca płonął jak świeca. Kierowca nie czekał. Rzucił się biegiem w stronę Czarnej Wołgi. Coś świsnęło w powietrzu i jego stopy oplółł bolas zrobiony ze srebrnego łańcuszka. Łydki tylko za-skwierczały. Runął jak długi.

Z krzaków wyłonili się dwaj starcy, ci sami, którzy pół godziny wcześniej pili pod płótem ośrodka sportowego. Byli do siebie podobni, tylko jeden miał na głowie czapkę uszanke, a drugi wysoką papachę. Ubrani byli jednakowo w kufajki, drelichowe spodnie i wysokie wojskowe trepy.

Gosia odruchowo wyszczerzyła zęby.

- Jaka urocza wampiryczka! - Dziadyga w uszan-ce tylko się uśmiechnął i jednym szarpnięciem wyrwał sztylet, uwalniając dziewczynę.

- Wampireczka - poprawił go starszy kumpel. - Faktycznie ładniutka i tak uroczo się złości.

- Kim wy, do cholery, jesteście? - parsknął ślusarz.

- Łowcy. A co, nie widać? - zirytował się ten pierwszy, pomagając mu wstać. - No, nie obrażaj się. Wiemy, że to wy chcieliście ich załatwić. Po prostu byliśmy pierwsi, ścigamy tych ruskich popaprańców od dwu tygodni.

Jego towarzysz w międzyczasie przyklęknął nad skrępowanym szoferem. Z cholewy prawego buta wyciągnął kolejny osikowy kołek, tym razem już niezamrożony, a z cholewy lewego - młotek.

- To sprawa osobista - wyjaśnił dziadyga powalonemu. - Po prostu jestem zapiekłym wrogiem nadużywania aut służbowych do celów prywatnych.

I wbił kołek jednym zdecydowanym uderzeniem. Stwór rozsypał się w pył. Łowca wytrząsnął resztki kości z płaszcza.

- Rzuć to w cholere - zirytował się jego towarzysz. - Nie będziesz chyba chodził w łachach zdjętych z ruskiego umrzyka?

- Dobra skóra, prawie nowy. Tylko jedna dziura na plecach. Spylimy na targu jakiemuś glinowinie.

I obaj zarechotali. Marek dźwignął się z trudem. Podniósł kluczyki leżące na ziemi. Przypięto do nich złoty breloczek. Z jednej strony widniał na nim obrazek z „Wilka i Zająca”, z drugiej straszyla gęba Lenina. Ślusarz podszedł ostrożnie do wołgi.

- A ty gdzie? - usłyszał warknięcie.

Spojrzał przez ramię. Ten w papasze automatycznym ruchem wycelował w niego kuszokołkownicę.

- Chcę tylko sprawdzić, czy w środku nie ma ich więcej - wyjaśnił wampir.

- A to w porządku. - Uspokojony starzec opuścił broń.

Marek szarpnął za drzwiczki od strony pasażera. Spodziewał się oporu, ale otworzyły się miękko, odsłaniając niezgłębioną mroczną czeluść. Wnętrze pojazdu było znacznie większe, niż wskazywałyby na to prawa fizyki.

- Ja bym tam raczej nie włąziła - bąknęła Gosia. - To wygląda jakoś niepokojąco...



- Trzeba - uciął.

- Proszę. - Ten w uszance podał mu wojskową latarkę. - Jakbyś nie wyszedł w ciągu godziny, idziemy ci na ratunek.

- Dzięki - mruknął wampir.

Wszedł do wnętrza. Światło latarki wydobyło z mroku rozległy salon. Na podeście stały cztery trumny: trzy luksusowe i jedna zwykła. Pierwsza okazała się pusta, tylko na jej dnie poniewierała się czapka budionówka. Zajrzał do drugiej. Też pusta. W trzeciej znalazł łyżkę z długim trzonkiem.

- Do wyjadania mózgow - domyślił się.

Ostatnia trumna, upačkana smarem, należała chyba do kierowcy. Czuł, że musi się pospieszyć. Feliks Dzierżyński uśmiechał się z wiszącego na ścianie portretu. Marek omiótł światłem latarki regał. Zabłyły złocone literki na grzbietach. Dzieła Marksa, Lenina, Trockiego, Bucharina, Zinowiewa, Kamieniewa... Obok leżał jeszcze gruby wolumin w zniszczonej skórzanej okładce.

Marek zdjął go z półki, odpiął zatrzaski i otworzył na stronie tytułowej.

- Некрономикон - odczytał ze zdumieniem. - A niech mnie, odpis po rosyjsku!? - Czym prędzej ukrył bezcenne dzieło za pazuchą.

Wyskoczył z wnętrza pojazdu i zamarł. W czasie gdy buszował w środku, auto wytoczono na tory kolejowe.

- Szybko - ponaglił go starzec w papasze. - Wsiadaj i chodu!

- Ale co...

- Wasi przyjaciele żule twierdzą, że za dwie minuty będzie tędy jechał towarowy.

Rozwali grata w *drabiezgi!*

Marek puścił się kłusem. Zatrzymał się na skraju parku. Stał tu ten drugi dziadyga w otoczeniu kiziorów ze Szmulek. Towarzyszyli mu Gosia i Igor.

- Rozjechanie przez pociąg raczej nie zniszczy Czarnej Wołgi całkowicie, ale paskuda namyśli się, zanim znowu tu przyjedzie - klarował starzec. - A jeśli zostaną jakieś kawałki, to wybierajcie i zabetonujcie.

Pociąg towarowy wypadł zza zakrętu. Uszy wszystkich zebranych poraził straszliwy pisk hamulców, huk i zgrzyt dartych blach.

- Dobra - burknął koleś w papasze. - Zadanie wykonane, podziękujcie, ferajna, swoim wampirom za pomoc i chodźmy się napić. Jako miejscowi pewnie wiecie, gdzie tu można sobie golnąć dobrego bimbru...

Marek, Gosia i Igor pożegnali się i we trójkę ruszyli Kawęczyńską. Dopiero gdy byli w bezpiecznej odległości, ślusarz pokazał im swój łup.

- „Necronomicon” po rosyjsku? - zdumiała się dziewczyna. - Czy to zadziała?

- Sprawdzimy. Wydaje mi się, że to fonetyczny zapis cyrylicą łacińskiego tekstu. Trochę z tym będzie roboty... A ty czego tak milczysz? - zwrócił się do przyjaciela.

- Mówiłeś, że Wędrowycz to tylko legenda...

- Nie kapuję? - Wzruszył ramionami.

- A jak myślisz, kim byli ci dwaj starzy łowcy? Dam sobie rękę uciąć, że to Jakub i jego kumpel Semen!

- Zabili nas? - zapytał ostro Marek.

- Nie...

- A mówił pan, że Jakub zabija każdego wampira, którego dopadnie - zauważyła rezolutnie Gosia.

- Ale bimber pili... to znaczy chcieli się napić.

- Zanim staliśmy się wampirami, też piliśmy. Bo to raz? Pamiętasz, jak jeszcze za cara kupowało się go na szklanki w bramach przy Stalowej?

- No, niby tak...

- Śmierdzieli starymi skarpetkami? - indagował ślusarz.

- No też nie - przyznał komunista.

- Ubiór się zgadza z opowieściami?

- Nie bardzo...

- Czyli to nie mogli być oni - orzekł Marek.

- Ale...
- Przestań wreszcie bredzić. Żaden Wędrowycz nie istnieje!

Lot



WampirSławek zwany Profesorem siedział na rozklekotanym krześle i wpatrywał się w akwarium. Pijawa wielkości węża boa wiała się wśród wodorostów. Na stoliku obok leżała kserokopia kilku kartek „Necronomiconu”, akurat tych poświęconych przemianie w zwierzęta.

- Ekstrakt pozyskany z istoty, w którą chcemy się zmienić... - mruknął, po raz setny

odczytując łacińskie formułki zapisane fonetycznie cyrylicą.

Pociągnął z kubka obrzydliwej zawiesiny.

Odnosił wrażenie, że pijawka spogląda z wyrzutem. Wprawdzie nie miała oczu, ale wręcz fizycznie czuł świdrujący wzrok.

- Wybacz, że zmieliłem twojego kumpla w mikserze - powiedział. - Prawdziwa nauka wymaga poświęceń, a od niektórych jednostek wymaga nawet poświęcenia własnego życia... - Wzniósł natchnione spojrzenie ku sufitowi.

W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że pijawka uszu nie ma, więc pewnie go nie słyszy, ale postanowił ten fakt olać. Stworzenie przestało się gapić i podjęło monotony taniec pomiędzy wodorostami.

- Jesteś śliczna. - Wampir posłał jej całusa.

- I to ja cię stworzyłem! - wypiął dumnie chuderlawą pierś.

- Razem zmienimy świat. Już niebawem!

Pijawka konsekwentnie go ignorowała. Pływała po akwariu nerwowo, coraz bardziej głodna i zła.

- Tak, wiem - westchnął.

- Kratka w odpływie wanny. Wymyślili duractwo i moje biedne robalki nie mogą się pożywić. Ale nic się nie martw. Dzięki ofierze twojego kumpla niebawem zbadam osobiście ten problem.

Zamieszał w kubku i dopił ekstrakt do końca. Pociągnął dla odmiany solidny łyk kawy zbożowej. Fusy na dnie układały się w dziwne wzory.

- Coś jakby powierzchnia księżycy... - mruknął.

Z zamyślenia wyrwało go stukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał, przekręcając klucz w zamku.

- Z gazowni.

To dziwne, przecież tu nie ma gazu!? - zdążył pomyśleć, nim kopnięte butem skrzydło rąbnęło go w czoło.

Runął na wznak. Do wnętrza wpadło czterech osiłków. Wszyscy ubrani byli w mundury. Na ich piersiach połyskiwały srebrem okazałe krucyfiksy. Czerwone berety na głowie nie pozostawiały wątpliwości. Komandosi... Dwaj wycelowali w zaskoczonego wampira kuszokółkownice.

- Jeden fałszywy ruch i zrobimy z ciebie sito - warknął ich dowódca, przekraczając próg.

- Sławomir Boćko zwany Profesorem? - sprawdził tożsamość.

- To ja - wykrztusił wampir.

- No i doskonale! Żywy lub - tu puścił oko - martwy, idziesz z nami.

- Ale ja nic nie zrobiłem - jęknął Profesor.

- Jestem tu zameldowany, mam pracę, nie łamię żadnych przepisów! Nawet akt zgonu posiadam!

- A to?

- Jeden z żołnierzy wskazał lufą akwariu.

- Przeprowadza pan nielegalne eksperymenty hodowlane, grożące straszliwym skażeniem biologicznym naszych wód powierzchniowych.

- W żadnym razie powierzchniowych - zaperzył się wampir.

- Chciałem to wpuścić do kanalizacji!

- Ja bym to raczej podciągnął pod chałupniczą produkcję broni masowego rażenia - zadumał się drugi.

- Tak czy inaczej, jesteś zatrzymany. A teraz grzecznie, bo posmakujesz wody święconej i

osikowego kołka. Łapy przed siebie!

Posłusznie wyciągnął dłonie. Sprawnie założyli mu kaftan bezpieczeństwa. Zawiązali rękawy na plecach. Na głowę naciągnęli worek i gdzieś powlekli... Potem długo jechał furgonetką. Wreszcie zaprowadzono go do budynku, zawieszono windą, szedł długim, wilgotnym korytarzem i koniec końców znalazł się u celu. Posadzono go na krześle i zdjęto worek z głowy.

Wampir rozejrzył się nerwowo. Znajdował się w niewielkim, bezosobowym pokoju biurowym. W pomieszczeniu cuchnęło stęchlizną, papierosami i przetrawionym alkoholem. Jeden z kątów zajmowała metalowa szafka na akta, za biurkiem z laminowanej płyty paździerzowej siedział otyły mężczyzna w mundurze.

- Serdecznie witamy w naszej tajnej bazie. - Uśmiechnął się do więźnia.

- Dzień dobry - wymamrotał uczony, rozglądając się nerwowo na boki.

Betonowe ściany nosiły ślady szalunków. Stalowe drzwi pokryła kaszka korozji. Pod sufitem czerniał dodatkowy nawiew powietrza. Bunkier jakiś? Godło państwowe i portret towarzysza Pierwszego zawieszono na sterzących z muru prętach zbrojeniowych. Część ściany zasłaniała zagadkowa kotara.

- Generał Nowak - przedstawił się wojskowy.

- Jestem dowódcą ściśle tajnego zespołu badawczego, testującego nowe środki techniczne, które w przyszłości wprowadzone zostaną na wyposażenie wojsk Układu Warszawskiego.

- Siepacze!? O Boże! - jęknął wampir.

- Tak. Tajna jednostka Siepacze. I czego cykoru-jesz? - parsknął generał. - To, co o nas opowiadają niektóre wampiry, to głównie plotki i insynuacje. Od dwudziestu lat żaden z was nie zginął w wyniku naszych testów. Wcześniej, przyznam, bywało różnie, ale okres błędów i wypaczeń nasza instytucja ma już dawno za sobą. Zresztą wtedy jeszcze tu nie pracowałem.

- Wpadłem jak śliwka w gówno - westchnął Profesor.

- Nie przesadzajmy! Nie ma już potrzeby testowania gazów bojowych ani toksyn na wampirach, bo po pierwsze konwencje międzynarodowe zabroniły ich stosowania, a po drugie wyniki poprzednich doświadczeń są poprawne i nie ma sensu powtarzania eksperymentów.

- W takim razie czego ode mnie chcecie?

- No cóż, wiele słyszeliśmy o panu, pańskich szerokich zainteresowaniach naukowych, żądzy wiedzy...

Chcielibyśmy zaproponować panu udział w pewnym prostym doświadczeniu.

- Jakim?

- Cieszę się, że się pan zgadza. - Generał posłał mu promienny uśmiech.

- Ale ja przecież...

- Oficjalnie i tak nie żyjesz - syknął.

- Możemy zrobić z tobą wszystko. Wracając zaś do naszej współpracy - uśmiechnął się ponownie.

- Zaraz pozna pan szczegóły. Czytaliśmy pański artykuł zamieszczony przed wojną w „Przeglądzie Technicznym”. Ten, w którym polemizował pan z teoriami dotyczącymi oddziaływania siły Coriolisa na obiekty poruszające się po orbicie wokół-ziemskiej.

- Napisałem to tak dawno temu... - Profesor znów nerwowo strzelił spojrzeniem na boki.

- Od dziesięcioleci nie interesuję się astronomią!

- Za to astronautyką i owszem. Pańskie felietony w „Świecie Młodych” wychowują całe pokolenie nastoletnich zapaleńców. Dlatego właśnie panu chcemy zaproponować udział w bardzo ciekawym doświadczeniu astronautycznym.

- Astronautycznym!? - Teraz naprawdę się przestraszył.

Generał odsunął zasłonkę. Za jego biurkiem znajdowało się okno. Przez nie widać było rozległą halę, w której technicy kończyli montować jakąś konstrukcję.

- Co to jest? - Wampirowi z wrażenia opadła szczeka.

- Rakieta kosmiczna - oświadczył Nowak ze śmiertelną powagą. - Na rozkaz towarzysza Pierwszego niebawem zagramy na nosie Ruskim.

- Proszę o dodatkowe wyjaśnienia...

- A co tu niby wyjaśniać? Sprawa prosta jak drut! Jako jedyny kraj kontrolowany przez Sowietów samodzielnie wystrzelimy człowieka w kosmos. A pan jest idealnym kandydatem.

- Z całą pewnością się nie nadaję! - zawył Profesor.

- Proszę spojrzeć pragmatycznie - tłumaczył cierpliwie generał. - Polska nie miała własnego programu raketowego od lat. Od chwili, gdy na polecenie Moskwy wygaszono prace nad rakieta Meteor. Musieliśmy zacząć testy niemal dokładnie tam, gdzie skończyliśmy.

- Rakieta Meteor osiągnęła pułap około dziewięćdziesięciu kilometrów - bąknął wampir. - To trochę za mało, żeby marzyć o lotach kosmicznych...

- A wy skąd wiecie o tym pułapie? - zachmurzył się generał Nowak. - To przecież najściślej strzeżona tajemnica państwowa!

- Eeee... Była o tym audycja w „Głosie Ameryki”.

- To, co pan widzi, to nieco rozwinięta wersja tamtej konstrukcji. Oczywiście rozwijaliśmy ją głównie teoretycznie, bo nie było szans na próby z prawdziwego zdarzenia. Wzmocniliśmy silnik, ale, niestety, bardzo daleko nam do wyników uzyskiwanych przez Sowietów czy USA. W dodatku prawdopodobnie ta próba będzie pierwszą i ostatnią. Rosjanie znowu dadzą nam po łbie i zakazą dalszych prac. Dlatego już od pierwszego, że się tak wyrażę, strzału musimy osiągnąć miażdżący efekt propagandowy. Żywy Polak w kosmosie.

- To weźcie Hermaszewskiego! On już tam był! Ma wprawę, doświadczenie, zna teren... Ja się nie nadaję. Mam białoruskie nazwisko! No i nie jestem żywy...

- I właśnie o to nam chodzi, wampirku! Silnik mocny nie jest, a musi wynieść konstrukcję na orbitę. Możemy dokonać tego tylko w jeden sposób: radykalnie zmniejszając masę ładunku, który zostanie wystrzelony. Wysyłając ciebie, możemy zapomnieć o takich pierdołach, jak moduł podtrzymywania życia, woda, tlen, powietrze w butlach, kible, żywność i tak dalej. To kilkaset kilogramów oszczędności.

- Nie zgadzam się!

- A masz wybór?

- Nie zmusicie mnie!

- Zawsze byłem ciekaw, jak wygląda wampir biegający po hali, w której rozpylono wodny roztwór azotanu srebra. Starsi pracownicy sporo opowiadali o podobnych doświadczeniach, ale na filmach z tamtego okresu, niestety, widać niewiele...

Profesor zgrzytnął zębami, ale nic nie odpowiedział.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. - Generał zatarł tłuste rączki.

- Start za dwie godziny. Masz jakieś ostatnie życzenie? Nie? To świetnie. Technik zaznajomi cię z zakresem obowiązków.

- Jeśli się z tego wykaraskam, ślubuję nigdy więcej nie pisać artykułów o kosmonautyce! - zawył wampir.

- Ale dlaczego się pan denerwuje? - Generał widać nabral humoru, bo znowu zaczął go tytułować.

- Przecież to normalne, że w ustroju socjalistycznym przynajmniej część postępu naukowo-technicznego wytwarzają uczeni pozbawieni części wolności osobistej. Taka tradycja... Prawdziwa nauka wymaga poświęceń, a od niektórych jednostek wymaga nawet poświęcenia

własnego życia.

Wampirowi jakoś zabrakło hartu ducha, by się odgryźć... Dwaj wachmani uwolnili go z kaftana i po wąskich betonowych schodkach zaprowadzili na dół, do hali. Tu czekał już na niego mężczyzna w poplamionych smarem spodniach na szelkach.

- Zaraz wszystko sobie wyjaśnimy.

- Nigdzie nie lecę! - pisał Profesor.

- Niech pan się nie zachowuje jak dziecko. Partia zdecydowała i nie nam, szaraczkom, zmieniać jej decyzje. Wracając zaś do tematu... Polska od dziesięcioleci prowadzi swój skromny, ale ambitny program podboju kosmosu. Oczywiście wszystko jest ściśle tajne. Tak ściśle tajne, że nie bardzo było jak wystąpić o dotacje. Te i owe rozwiązania musieliśmy więc ukraść.

Wampir odetchnął z ulgą. Czyli ukradli amerykańcom patenty i urządzenia, to dobrze, pomyślał. Ta technika jest naprawdę niezłej klasy. Jak zaiwanili Ruskim, to trochę gorzej, ale i tak rośnie szansa, że jednak przeżyje!

- Ten pojazd... - zaczął.

- Nazwaliśmy go „Celestia” - wyjaśnił technik. - Na cześć panów Borunia i Trepki.

Wdrapali się po schodkach. Technik otworzył wąż i gestem zachęcił wampira, by wszedł do środka. Profesor pochylił się i niemal natychmiast runął jak długi.

- Trzeba patrzeć pod nogi. - Mężczyzna pomógł mu wstać.

- Co to jest, do cholery!?! - Uczony oglądał szary papierowy worek leżący w przejściu.

- Cement. Portlandzki, ze Szczakowej. Deficytowy towar, ale zdobyliśmy. Generał poświęcił część własnego przydziału materiałów budowlanych.

- Co, do cholery, robi wór cementu na pokładzie statku kosmicznego!?! - jęknął wampir.

- Po zmieszaniu z wodą - przewodnik trącił nogą plastikowy kanister walący się obok worka - powstanie z niego beton. Zabiera go pan do uszczelniania przecieków reaktora.

- Tu jest reaktor atomowy? - Profesor wytrzeszczył oczy.

- Oczywiście. A jak gdzieś pęka pancierz osłony reaktora, to taką szczelinę można zaklajstrować betonem.

- Kto wymyślił podobną bzdurę?

- Stanisław Lem. Cały ten statek zbudowano, opierając się na pomysłach zamieszczonych w jego genialnej i wizjonerskiej prozie... A tu mamy sterówkę. - Technik pchnął drzwi.

Weszli do ciasnego półkolistego pomieszczenia wyłożonego dębową boazerią. Przypominało kajutę okrętu.

- Lotem zawiaduje komputer Odra. - Przewodnik z dumą pokazał rząd metalowych szaf.

- Wprawdzie ibm robi już mniejsze i wydajniejsze maszyny obliczeniowe, ale zależało nam na promowaniu polskiej myśli technicznej. A jakby się panu nudziło, jest także biblioteczka pokładowa. - Uchylił drzwiczki szafki. - Dwadzieścia tysięcy książek na mikrofilmach. Proszę uzupełniać dziennik podróży! - Rzucił na obudowę komputera ciężką, oprawioną w skórę księgę.

- Tylko robotów brakuje - zażartował Profesor.

- Niczego nie brakuje, mamy i robota. - Technik wskazał blaszaną postać przypiętą do jednego z foteli.

- Wygląda jak z „Gwiezdných wojen” - burknął wampir.

- Nie starczyło pieniędzy na projekt, to skopiowaliśmy. Ale przynajmniej powłokę daliśmy innego koloru. To prototyp. Tranzystorowy, oprogramowanie wczytuje z taśm perforowanych. Trochę się psuje, więc lepiej go nie włączać. Jest tu w zasadzie tylko dla ozdoby, z pewnością spodoba się fotografom.

- A co ja mam robić?

- Nic. Po prostu siedzieć i ładnie wyglądać. Z kamery na pokładzie będzie nadawana

bezpośrednia transmisja. Wszystko jest zautomatyzowane.

- Eee...

- Oczywiście jeśli coś się zacznie psuć - przewodnik zawiesił głos - pańskim obowiązkiem jest ratować pojazd wedle instrukcji, które przyślemy z Ziemi przez radio. Za stan techniczny pojazdu odpowiada pan własnym życiem, bo jak się statek kosmiczny zwali na ziemię, to oczywiście z kosmonauty też zostanie mokra plama... - zachichotał.

- No, niechże pan wykrzesze z siebie trochę entuzjazmu, nie co dzień tworzy się historię. Proszę siadać w fotelu i zapiąć pasy. Start za dwadzieścia minut.

- Czy nie powinienem dostać przynajmniej kombinezonu kosmicznego? - zirytował się Sławek.

- Powinien pan, ale zabrakło funduszy. Za to w skrytce pod tablicą rozdzielczą jest dla pana furażerka z naszywką instytutu - poinformował go technik, odwracając się na pięcie.

I wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą włącznik.

- Kurza dupa! - Więzień miotał się po pojeździe.

- Nie dam się przecież wystrzelić jak jakiś palant!

Rozejrzał się po wnętrzu. Kamery...



- Furda, przecież i tak

się nie nagram - parsknął.

- Dobra, nie kijem go, to pałką. Albo znajdę włącz awaryjny, albo zepsuję to urządzenie, żeby nie mogło polecieć!

Niestety, włącz był tylko jeden, w dodatku właśnie go zaśrubowywano. Od środka nie było żadnych mechanizmów umożliwiających jego otwarcie. Komputer sterujący lotem miał pancerną obudowę. Kable zasilające puszczono pod podłogą, aby nie mógł się do nich dostać.

- Młotek i przecinak! - W panice zaczął szukać skrzynki z narzędziami.

Bez skutku. Nieoczekiwanie w kącie odkrył małą klapkę.

- „Awaryjny wyrzut śmieci” - odczytał.

Przekręcił zawór i podniósł pokrywę. Tak jak się domyślał, rura prowadziła na zewnątrz.

- Dobra - westchnął. - Teraz tylko odpowiednio się skoncentrować...

Ścisnął skronie palcami, wyrzucił z siebie długie łańciskie zaklęcie i zamieniwszy się w ogromną pijawę, przepelźł spieszenie przez wąski otwór. Płasnął na ziemię z wysokości paru metrów i czym prędzej popelźł w stronę wyjścia z bunkra startowego. Pokonał ziemny nasyp. Gdy dotarł do krzaków, zamienił się ponownie w wampira.

- O, w mordę - sapnął.

Obejrzał się. Odliczanie z pewnością już trwało. Ruszył klusem przez chaszczę. Byle dalej od przeklętego instytutu. Nagle ziemia zadrżała, a okolicę rozświetlił błysk płonących gazów odrzutowych. Rakieta, ciągnąc za sobą warkocz ognia, wzbiła się w niebo. Obserwował jej lot.

- Kurde, a może jednak trzeba było lecieć? - westchnął. - Druga taka przygoda już mi się pewnie w życiu nie trafi.

Ognista plamka na nieboskłonie stawała się coraz mniejsza, a potem nieoczekiwanie urosła, rozbłysła i statek kosmiczny eksplodował niczym ogromny fajerwerk...

- Wiedziałem - mruknął wampir.

- Gęsi wam macać, a nie rakiety budować.

Uśmiechnął się pod nosem, a potem podjął marsz. Na zachód - ku Warszawie. Daleko za nim pozostała luna pożaru i wycie syren alarmowych. Wojsko otaczało teren katastrofy. Będą musieli pozbierać resztki pojazdu, zatrzeć ślady, rozbity reaktor z pewnością wywołał nieliczne skażenie... Ale Profesor miał to gdzieś.

A może to moja wina, pomyślał nagle. Może rakieta była dobra, a wybuchła tylko dlatego, że zapomniałem zamknąć za sobą klapkę zsypu? Tak czy inaczej, mój preparat działa. Wracam do domu, zmieniam się raz jeszcze w pijawę i zacznę badać kanalizację. To przynajmniej konkret...

Na poligonie jeszcze coś wybuchło.

- Loty kosmiczne - prychnął.

- I komu to potrzebne?



Epilog Trzecia krew



Dopieropod koniec tygodnia Gosia zdecydowała się wyskoczyć na Powązki. W trumnie został śpiwór Marka, postanowiła też zabrać zdjęcie Limahla. Może i jest homo, ale po co ma ładny fotos zgnić na jakiejś zagrzybionej ścianie? Weszła przez bramę i już miała się zagłębić w płataninę cmentarnych alejek, gdy spostrzegła Bronka. Chłopak siedział na ławce, czytając książkę. W jednej chwili zrozumiała, że czeka właśnie na nią. Podeszła trochę niepewnie.

- Cześć - mruknęła. -
Co cię tu przyniosło?
- Witaj - bąknął.
- Wiesz, ja... Od tygodnia tu przychodzę.
- No, wykrztuś wreszcie! - zirytowała się.
- Chciałem cię spotkać! Kocham cię! - powiedział z emfazą.
- Zawsze cię kochałem i podziwiałem twoją urodę!
- No i...? - nie zrozumiała.
- Marta powiedziała mi, że zostałeś wampirem. A Konrad i Mariolka, jak usłyszą o tobie, to się robią bladzi ze strachu.
- A to plotkarze! No dobra, jestem wampirem. - wyszczerzyła kły.
- I co z tego?
- Ugryź mnie!
Zdziwiła się nieco. Wampirem była krótko, ale jeszcze nigdy nie przytrafiło jej się, żeby obiad sam pchał się na talerz. Poczowała, że chyba faktycznie pora znów się napić.
- Proszę... - spojrzał na nią psim wzrokiem.
Teraz dopiero spostrzegła, że ma brązowe oczy.
- No zgoda, zaraz cię dziabnę. Tylko nie tak na widoku, chodź w krzaki.
- Dzięki! A czy możemy to zrobić u ciebie, w grobie? W trumnie? Położymy się razem, przytulimy i wtedy...
- Jeść w łóżku? - zdziwiła się.
- Czy to wypada? Ostatecznie jestem hrabianką... No, w sumie czemu nie? Chodź. Skoro sam się podstawiał, uznała, że może wyświadczyć mu tę drobną przysługę.
Poduszkę się potem najwyżej zabierze do Marka i upierze w pralce...
Poszli przez cmentarz. Otworzyła drzwiczki i zaprosiła kolegę do grobowca. Zapaliła cztery znicze. Zrobiło się jaśniej, przytulnie, domowo, wręcz trochę jakby nawet romantycznie. Broniek rozglądał się po krypcie oczarowany.
- Fantastycznie - szepnął. - Jak w horrorze... Tylko mchu i pajęczyn brakuje.
- I nietoperzy? - zakpiła.
Limahl uśmiechał się z fotosu, jakby cieszył go widok gościa. Gosia zdjęła wieko trumny i ułożyła się wygodnie na boku, robiąc miejsce koledze.
- Zapraszam. - Uśmiechnęła się kusząco.
Odwiesił kurtkę na uchwycie sterczącym z trumny właściciela browaru. Odpiął kołnierzyk koszuli. Zdjął buty i przetarte niemieckie skarpetki frotté. Wreszcie położył się obok koleżanki. Objął ją ramieniem. Było trochę ciasno, ale zarazem jakoś tak intymnie.
- Zarąbiście - szepnął.
- Ale chłodna jesteś... - krzywił się.
- To u nas normalne - wyjaśniła.
- Temperatura otoczenia plus kilka stopni z przemian chemicznych. Tak mi to jeden starszy wampir kiedyś wyjaśnił.
- Brzmi logicznie. Bo barki i łokcie masz ciut cieplejsze. I kolana pewnie też. - jego dłoń zawędrowała tam, gdzie nie powinna.
Gosia zeszywniała.
- Nie pozwalaj sobie - syknęła.
- Przepraszam. - zaczerwienił się jak panienka.
- Widocznie tarcie przy poruszaniu się musi generować ciepło. Stawy mają inną temperaturę - pokrył zmieszanie pseudonaukową teorią.

- Tylko czemu mięśnie pozostają zimne? Przecież też powinny się kurczyć i rozkurczać, żebyś mogła się poruszać...

- Pojęcia nie mam - westchnęła.

- Wielu rzeczy po prostu nie rozumiemy. Dlaczego w lustrze nie odbijają się ubrania? Czemu nie rzucamy cieni i tak dalej...

Dłoń Bronka wędrowała po jej plecach. W pierwszej chwili miała ochotę dać mu po gębie, ale machnęła ręką. Niech się nacieszy jeszcze przez chwilę.

- A tak właściwie dlaczego chcesz, żebym cię ugryzła? - ta myśl jakoś nie dawała jej spokoju.

- Bo cię kocham.

- A po cholere się we mnie kochasz? Zdasz maturę, pójdziesz na studia, tam sobie znajdziesz jakąś fajną dziewczynę... Życie ci się znudziło czy co? Przygód szukasz?

- Trochę tak - przyznał. - Ale bardziej się liczy to, że też chcę być wampirem. Z tobą... Ugryź mnie wreszcie - poprosił.

Odchylił głowę, odsłaniając szyję. Oblizwała się, ale resztki sumienia sprawiły, że wołała jednak postawić sprawę uczciwie.

- Tylko wiesz, nie da się w ten sposób zostać wampirem. To musi być wrodzone. Od takiego ugryzienia to będziesz tylko przez parę tygodni osłabionym fizycznie impotentem.

- Co!? Nie!!!

Zerwał się przerażony, przydzwonił czachą w strop krypty, a potem sforsował drzwiczki i rzucił się do ucieczki. Biegał naprawdę szybko, ale bosy na żwirze nie miał szans. Prędko go dogoniła.